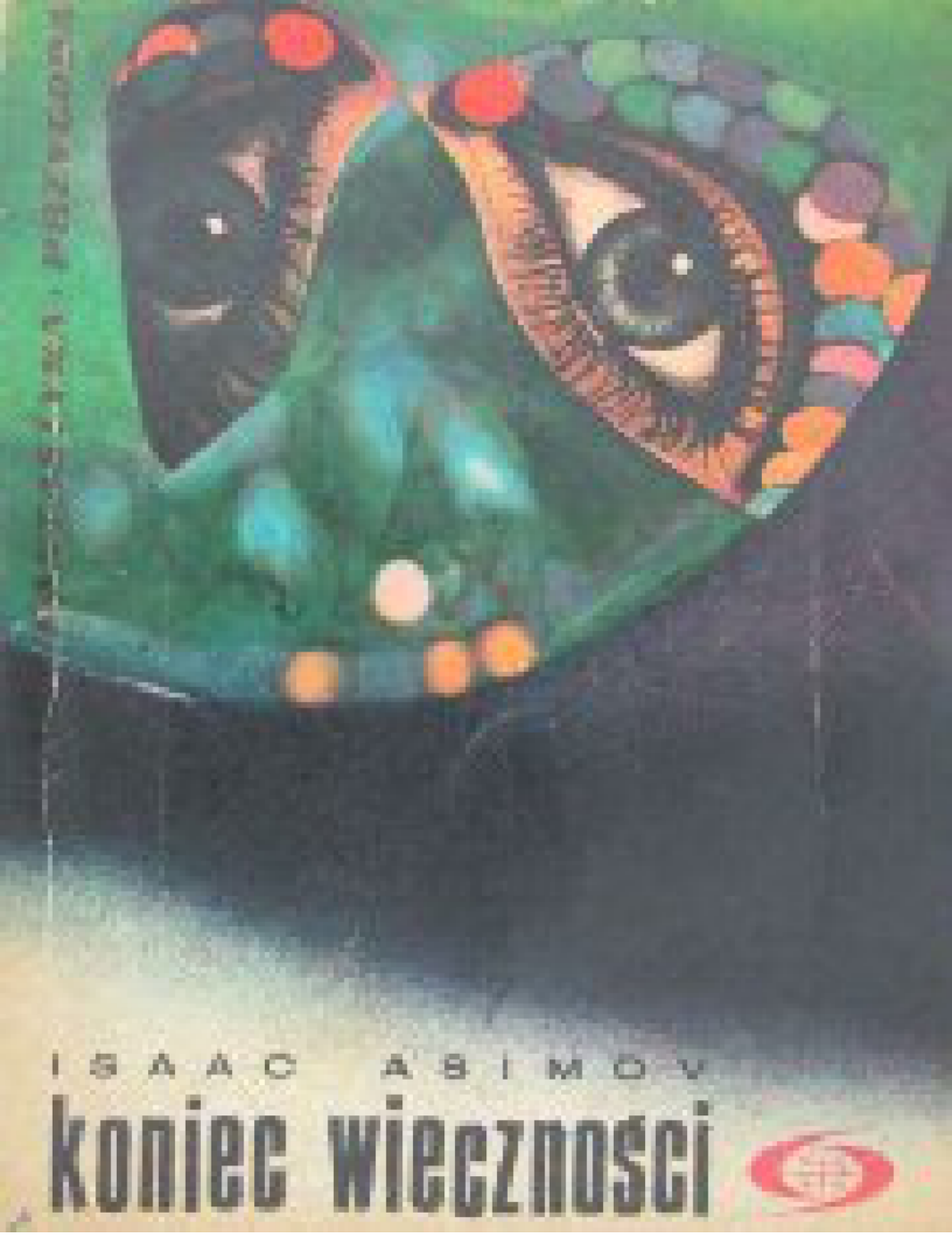

ISAAC ASIMOV

koniec wieczności

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Wiek 2456 (wiek — nie rok). Ludzkość nauczyła się nie tylko podróżować w czasie, ale także zmieniać Rzeczywistość. Technik Andrew Harlan przemierza stulecie, oceniając wpływ Zmian dokonywanych przez Starszych Kalkulatorów. Pewnego dnia spotyka na swej drodze kobietę, która uświadamia mu, że Wieczność wcale nie musi trwać w nieskończoność…

- Isaac Asimov
  - 1. Technik
  - 2. Obserwator
  - 3. Nowicjusz
  - 4. Kalkulator
  - 5. Kobieta z Czasu
  - 6. Biografista
  - 7. Preludium zbrodni
  - 8. Zbrodnia
  - 9. Interludium
  - 10. W pułapce!
  - 11. Pełny krąg
  - 12. Początek Wieczności
  - 13. Poniżej dolnej granicy
  - 14. Wcześniejsza zbrodnia
  - 15. Poszukiwania w Prymitywie
  - 16. Ukryte Stulecia
  - 17. Krąg się zamyka
  - 18. Początek Nieskończoności

Isaac Asimov
Koniec wieczności

1. Technik

Andrew Harlan wszedł do kotła. Ściany kotła były doskonale okrągłe i przylegały dokładnie do pionowego szybu, sporządzonego z rzadko rozmieszczonych prętów, które sto osiemdziesiąt centymetrów nad głową Harlana przekształcały się w migotliwą, niewyraźną mgiełkę. Włączył zespół sterowania i poruszył lekko chodzący starter.

Kocioł ani drgnął.

Harlan bynajmniej nie spodziewał się ruchu ani w górę, ani w dół, w prawo czy w lewo, naprzód czy w tył. Jednak odstępy między prętami stopniały w szarawą czerń, która była twarda w dotyku, jakkolwiek niematerialna. Przy tym czuł lekki niepokój w żołądku i nieznaczny (psychosomatyczny?) zawrót głowy, wskazujący, że wszystko, co kocioł zawiera, łącznie z samym Harlanem, pędzi przez Wieczność.

Wszedł do kotła w 575 Stuleciu — bazowym stuleciu operacji, przydzielonym mu dwa lata wcześniej. Wiek 575 był najodleglejszy ze wszystkich, do których podróżował. A teraz przemieszczał się ku 2456 Stuleciu.

Normalnie czułby się nieco zagubiony w tej sytuacji. Jego ojczyste stulecie leżało w odległej przeszłości — mówiąc dokładnie był to wiek 95. Wiek 95 surowo ograniczający użycie energii atomowej, dość sielankowy, lubujący się w naturalnym drzewie jako materiale konstrukcyjnym, nastawiony na eksport pewnych gatunków destylowanych napojów do wszystkich niemal epok i import nasienia koniczyny. Jakkolwiek Harlan nie był w 95 wieku od czasu, gdy przeszedł specjalne przeszkolenie i jako piętnastoletni chłopiec został Nowicjuszem, to jednak zawsze czuł się nieco zagubiony, gdy oddalał się od „domu". Wiek 2456 będzie okrągłym dwustu czterdziestym tysiącleciem od narodzin Harlana, a jest to szmat czasu, nawet dla zahartowanego Wiecznościowca.

W normalnych okolicznościach wszystko by tak wyglądało.

Lecz teraz Harlan był w zbyt kiepskim nastroju, by myśleć o czymkolwiek, poza tym, że dokumenty ciążą mu w kieszeni, a cały plan działania ciężko leży na sercu. Był nieco przestraszony, trochę podniecony i zmieszany.

Jego ręce odruchowo zatrzymały kocioł na właściwym przystanku we właściwym stuleciu.

Dziwne, że Technik mógł czuć się podniecony czy zdenerwowany czymkolwiek. Co to kiedyś mówił Edukator Yarrow?

„Technik musi być przede wszystkim beznamiętny. Zmiana Rzeczywistości, jakiej dokonuje, może wpływać na życie nawet pięćdziesięciu miliardów ludzi. Dla miliona czy więcej spośród nich

efekty będą tak drastyczne, że trzeba ich uważać za całkowicie nowe jednostki. W tych warunkach emocjonalne podejście do sprawy stanowi poważną przeszkodę".

Harlan gwałtownym potrząśnięciem głowy wyrzucił ze swego umysłu wspomnienie suchego głosu nauczyciela. W tamtych czasach nawet sobie nie wyobrażał, że zostanie właśnie Technikiem. Ale emocje zaczął przeżywać mimo wszystko. Nie z racji pięćdziesięciu miliardów ludzi. Kto w Czasie troszczy się o pięćdziesiąt miliardów ludzi? Chodzi tylko o jednego. O jedną osobę.

Uświadomił sobie, że kocioł stoi, w króciutkiej przerwie, dla zebrania myśli, wprawił się w ten chłodny, rzeczowy nastrój, jaki musi cechować Technika. Potem wysiadł. Kocioł, który opuścił, nie był oczywiście tym samym, do którego wsiadł — w tym sensie, że nie składał się z tych samych atomów. Nie troszczył się o to bardziej niż inni Wiecznościowcy. Tylko Nowicjusze i nowi przybysze do Wieczności interesowali się bardziej mistyką podróży w Czasie niż samym jej faktem.

Znowu zrobił krótką przerwę przy nieskończenie cienkiej kurtynie z Nie-Przestrzeni i Nie-Czasu, która z jednej strony oddzielała go od Wieczności, a z drugiej — od zwykłego Czasu.Znalazł się w całkiem dla siebie nowej sekcji Wieczności. Oczywiście cokolwiek z grubsza o niej wiedział, przejrzawszy odpowiedni rozdział Podręcznika Czasu. Jednak nie mogło to zastąpić osobistych odwiedzin, więc przygotował się na początkowy szok adaptacji.

Odpowiednio nastawił zespół sterowania (prosta sprawa przy wkraczaniu do Wieczności, natomiast bardzo skomplikowana w przej ściu do Czasu, lecz ten typ podróży zdarzał się rzadziej). Przekroczył kurtynę i przymrużył oczy od blasku. Odruchowo podniósł rękę, by je osłonić.

Naprzeciw niego stał tylko jeden człowiek. Z początku Harlan widział go bardzo niewyraźnie.

Człowiek odezwał się:

— Jestem Socjolog. Kantor Voy. Pan jest pewnie Technikiem Marianem?

Harlan skinął głową i powiedział:

— Ojcze Czasie! Czy tę iluminację można trochę przygasić? Voy obejrzał się, a potem powiedział wyrozumiale:

— Myśli pan o emulsjach cząsteczkowych?

— Oczywiście — odparł Harlan. — Podręcznik wspominał o nich, ale nie mówił o tak szaleńczych refleksach świetlnych.

Harlan uważał swe oburzenie za dość uzasadnione. 2456 Stulecie orientowało się na materię, podobnie jak większość stuleci, więc od samego początku miał prawo oczekiwać, że wszystko będzie dość podobne. Nie spodziewał się tu straszliwego chaosu (straszliwego dla

kogoś, kto urodził się w epoce zorientowanej na materię) wirów energii trzechsetnych stuleci ani dynamiki pola sześćsetnych wieków. W wieku 2456 dla wygody przeciętnego Wiecznościowca materii używano do wszystkiego — od ścian do gwoździ tapicerskich.

Nawiasem mówiąc, jest materia i materia. Obywatel zorientowanego na energię stulecia może sobie tego nie uświadamiać. Dla niego wszelka materia może wyglądać jak drobne odmiany czegoś grubego, ciężkiego, barbarzyńskiego. Jednak nastawiony na materię Harlan rozróżniał drzewo, metale (ciężkie i lekkie), plastik, krzem, wapno, skórę i tak dalej.

Lecz materia składająca się wyłącznie z luster!

To było pierwsze wrażenie z 2456 Stulecia. Każda powierzchnia odbijała światło i błyszczała. Wszędzie była iluzja absolutnej gładkości: efekt emulsji cząsteczkowej. W tych nie kończących się odbiciach samego Harlana i Socjologa Voya, wszystkiego, co tylko mógł zobaczyć w ułamkach i całościach, pod wszystkimi kątami, był chaos. Jaskrawy chaos, wywołujący obrzydzenie.

— Bardzo mi przykro — powiedział Voy. — To obyczaj Stulecia, a odpowiednia sekcja uważa, że należy przyjmować miejscowe obyczaje, jeśli są praktyczne. Przyzwyczai się pan do tego po pewnym czasie.

Voy ruszył gwałtownie po stopach innego Voya, odwróconego głową w dół pod posadzką, który wraz z nim podszedł do stołu. Przesunął do punktu zerowego cienką jak włos wskazówkę na spiralnej skali.

Odbicia znikły, jaskrawe światło zbladło. Harlan poczuł, jakjego świat się zestala.

— Proszą teraz za mną — rzekł Voy.

Harlan poszedł za nim przez puste korytarze, które przed paroma chwilami musiały jarzyć się orgią sztucznego światła i refleksów, po pochylni i przez przedpokój do gabinetu.

Na tej krótkiej drodze nie spotkali nikogo. Harlan tak był do tego przyzwyczajony, że z pewnością zaskoczyłoby go i niemal wywołało wstrząs, gdyby ujrzał oddalającą się szybko postać ludzką. Bez wątpienia rozeszły się już wieści, że przybywa Technik. Nawet Voy trzymał się na dystans, a gdy przypadkowo dłoń Harlana otarła się o jego rękaw, Socjolog drgnął i cofnął się.

Harlana nieco zaskoczyła odrobina goryczy, jakiej przy tym wszystkim doznawał. Myślał, że muszla, która wyrosła wokół jego duszy, jest grubsza, bardziej nieprzenikliwa. Jeśli się mylił, jeśli ten pancerz stał się cieńszy, przyczyna mogła być tylko jedna:

Noys!

Socjolog Kantor Voy pochylił się ku Technikowi niby w dość przyjacielski sposób, lecz Harlan zauważył, że siedzą po przeciwnych

końcach podłużnej osi dość dużego stołu.

Voy powiedział:

— Cieszę się, że tak słynny Technik interesuje się naszym drobnym problemem.

— Tak — odparł Harlan z chłodną obojętnością, jakiej ludzie po nim oczekiwali. — Ten problem ma swoje interesujące aspekty. (Czy był dość obojętny? Z pewnościąjego prawdziwe motywy muszą być widoczne, a wina ujawnia się w kropelkach potu na czole).

Wydobył z wewnętrznej kieszeni arkusik folii z sumarycznym projektem Zmiany Rzeczywistości. Była to ta sama kopia, którą miesiąc wcześniej wysłano do Rady Wszechczasów. Dzięki swym kontaktom ze Starszym Kalkulatorem Twissellem (samym Twissellem!) Harlan nie miał wiele kłopotu z uzyskaniem tego egzemplarza.

Przed rozwinięciem rolki upuścił ją na powierzchnię stołu, gdzie została zatrzymana przez słabe pole paramagnetyczne, i zamyślił się na chwilę.

Pokrywająca stół emulsja cząsteczkowa była przygaszona, ale nie ciemna. Ruch własnej ręki przyciągnął na chwilę jego wzrok, odbicie twarzy zdawało się patrzeć na niego ponuro z blatu stołu. Miał trzydzieści dwa lata, lecz wyglądał starzej. Wiedział o tym. Może to właśnie jego długa twarz i czarne brwi nad czarnymi oczyma powodowały po części, że miał ów marsowy wygląd i chłodne nieruchome spojrzenie, typowe dla karykaturalnego obrazu Technika w wyobrażeniach Wiecznościowców. A może powodował to fakt, że Harlan stale pamiętał o tym, iż jest Technikiem.

Rozpostarł folię na stole i wrócił do sprawy.

— Nie jestem Socjologiem — rzekł. Voy uśmiechnął się.

— To brzmi wspaniale. Gdy ktoś zaczyna mówić o braku kompetencji w danej dziedzinie, zazwyczaj zaraz potem występuje z jakąś stanowczą opinią.

— Nie — powiedział Harlan. — To nie opinia. Tylko prośba. Chciałbym, żeby pan rzucił okiem na to podsumowanie i sprawdził, czy gdzieś tu nie ma drobnej pomyłki.

Voy natychmiast spoważniał.

— Mam nadzieję, że nie — powiedział.

Harlan trzymał jedną rękę na oparciu fotela, drugą na kolanach. Musiał uważać, żeby nie bębnić palcami. Ani nie zagryzać ust. Nie mógł w żadnym wypadku wyjawiać swych uczuć.

Od czasu gdy cała orientacja jego życia się zmieniła, studiował konspekty projektowanych Zmian Rzeczywistości, które napływały poprzez pracujący na wysokich obrotach młyn administracyjny do Rady Wszechczasów. Jako przyboczny Technik Starszego Kalkulatora Twissella potrafił to zorganizować, lekko tylko naginając zasady

zawodowej etyki. Szczególnie że Twissell coraz więcej uwagi poświęcał swemu gigantycznemu przedsięwzięciu. (Harlan gorączkował się. Teraz wiedział coś niecoś o naturze tego przedsięwzięcia).

Nie miał pewności, że we właściwym czasie znajdzie to, czego szukał. Gdy pierwszy raz rzucił okiem na projekt Zmiany Rzeczywistości 2456-2781, numer seryjny V-5, był prawie przekonany, że pragnienia zmąciły mu umysł. Przez cały dzień sprawdzał równania i związki w przygniatającej niepewności, zmieszanej ze wzrastającym podnieceniem i gorzką satysfakcją, że nauczył się przynajmniej podstaw psychomatematyki.

Teraz Voy przeglądał te same perforowane wzory na pół zdumionym, na pół gniewnym wzrokiem.

Powiedział:

— Wydaje mi się, powiadam: wydaje mi się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Harlan powiedział:

— Polecam panu szczególnie sprawę charakterystyki okresu narzeczeństwa w bieżącej Rzeczywistości tegoż stulecia. To należy do socjologii i za to chyba pan odpowiada. Dlatego też chciałem się spotkać raczej z panem niż z kimkolwiek innym.

Voy zmarszczył czoło. Nadal był grzeczny, lecz chłodny. Powiedział:

— Obserwatorzy przydzieleni do naszej sekcji są wysoce kompetentni. Mam absolutną pewność, że ci, których wyznaczono do tego projektu, dostarczyli dokładnych danych. Ma pan powody sądzić, że było inaczej?

— Bynajmniej, Socjologu. Przyjmuję ich materiały. Kwestionuję natomiast opracowanie materiałów. Czy nie można znaleźć alternatywnego rozgałęzienia w tym punkcie, jeśli weźmie się właściwie pod rozwagę dane o narzeczonych?

Voy spojrzał, a potem odetchnął z ulgą.

— Oczywiście, Techniku, oczywiście, lecz to rozgałęzienie przekształca się w tożsamość. To pętla małych rozmiarów bez żadnych świadczeń z którejkolwiek strony. Sądzę, że wybaczy mi pan ten malowniczy język zamiast precyzyjnych wyrażeń matematycznych.

— Lubię go — powiedział Harlan sucho. — Nie jestem bardziej Kalkulatorem niż Socjologiem.

— Doskonale. Alternatywne rozgałęzienie, o którym pan mówi, albo rozwidlenie drogi, jak byśmy powiedzieli, jest nieznaczne. Oba ramiona się łączą i powstaje znowu jedna droga. Nie ma nawet potrzeby o tym wspominać w naszych zaleceniach.

— Skoro pan tak twierdzi, to przyjmuję, że pan ma rację. Jednak nadal pozostaje kwestia MPZ.

Socjolog jęknął przy tych inicjałach, ale Harlan spodziewał się tego. MPZ — Minimum Potrzebnych Zmian. Tutaj Technik był mistrzem. Socjolog mógł się uważać za niedostępnego dla krytyki niższych istot we wszystkim, co dotyczyło matematycznej analizy nieskończenie możliwych Rzeczywistości w Czasie, ale w sprawach MPZ Technik stał wyżej.

Mechaniczne komputowanie nie wystarczy. Największy komputaplex, jaki kiedykolwiek zbudowano, obsługiwany przez najmądrzejszego i najbardziej doświadczonego Starszego Kalkulatora, potrafi najwyżej wskazać granice, w których można ustalić MPZ. Dopiero Technik, przeglądając dane, wybierał określony punkt w tym zakresie. Dobry Technik rzadko się mylił, Technik wybitny nie mylił się nigdy.

Harlan nie mylił się nigdy.

— Tymczasem zalecane przez waszą sekcję MPZ — odezwał się Harlan — (mówił chłodno, obojętnie, precyzyjnie wymawiając zgłoski standardowego języka międzyczasowego) — łączy się ze spowodowaniem wypadku w przestrzeni kosmicznej i gwałtowną, okrutną śmiercią dziesięciu czy więcej ludzi.

— Nieuniknione — powiedział Voy wzruszając ramionami.

— Ze swej strony — odparł Harlan — uważam, że MPZ można zredukować do zwykłego przeniesienia zasobnika z jednej półki na drugą. Proszę! — Wskazał palcem, podkreślając wypielęgnowanym paznokciem malutki znaczek obok kolumny perforacji.

Voy w milczeniu rozmyślał nad wzorami. Harlan powiedział:

— Czy to nie zmienia sytuacji pańskiego nieprzewidzianego rozwidlenia? Czy nie zmienia widełek mniejszego prawdopodobieństwa niemal w pewność i nie prowadzi do…

— Do MPO — szepnął Voy.

— Właśnie, do Maksymalnie Pożądanej Odpowiedzi — rzekł Harlan.

Voy podniósł głowę, na jego ciemnej twarzy malowała się walka między strachem a gniewem. Harlan mimowolnie zauważył, że między dwoma dużymi górnymi siekaczami tego człowieka jest szpara, co nadawało mu króliczy wygląd, dziwnie kłócący się z tłumioną energią j ego słów.

— Więc będę przesłuchany przez Radę Wszechczasów? — zapytał Voy.

— Nie sądzę. O ile się orientuję, Rada Wszechczasów nie wie o tym. W każdym razie projekt Zmiany Rzeczywistości przekazano mi bez komentarzy. — Nie wyjaśnił słowa „przekazano”, ale Voy nie zadał żadnego pytania.

— Więc to pan wykrył tę pomyłkę?

— Ja.

— I nie złożył pan raportu Radzie Wszechczasów?

— Nie złożyłem.

Najpierw ulga, a potem stężenie rysów twarzy.

— Dlaczego nie?

— Mało kto potrafiłby uniknąć tej omyłki. Wydawało mi się, że mogę ją naprawić, zanim stanie się szkoda. Zrobiłem to. Po co ciągnąć sprawę dalej?

— No cóż… dziękuję. Techniku. Postąpił pan jak przyjaciel. Omyłka sekcyjna, która, jak pan sam stwierdził, praktycznie była nie do uniknięcia, bardzo nieprzyjemnie wyglądałaby w raporcie. — Zrobił krótką przerwę i ciągnął dalej: — Oczywiście, w obliczu zmian w osobowości, jakie zostaną wprowadzone przez tę Zmianę, śmierć paru ludzi na wstępie nie ma większego znaczenia.

Harlan myślał obojętnie: nie wygląda na to, żeby był szczególnie wdzięczny. Prawdopodobnie jest zły. Gdy przestanie myśleć, będzie jeszcze bardziej zły, że Technik uchronił go przed naganą służbową. Gdybym był Socjologiem, uściskałby mi rękę, ale Technikowi… Z zimną krwią potrafi skazać dziesięciu ludzi na śmierć, lecz nie dotknie Technika.

A ponieważ czekanie, aż gniew Voya wzrośnie, byłoby fatalne, Harlan oznajmił bez zwłoki:

— Myślę, że pana wdzięczność sięga tak daleko, iż pańska sekcja wykona dla mnie pewną małą robótkę.

— Robótkę?

— Problem Biografii. Mam przy sobie odpowiednie informacje. Mam również dane dotyczące proponowanej Zmiany Rzeczywistości w 482. Chciałbym znać wpływ tej zmiany na prawdopodobną przyszłość pewnej osoby.

— Chyba niezupełnie pana rozumiem — powiedział z wolna Socjolog. — Z pewnością ma pan przecież możność załatwienia tego w swojej sekcji?

— Mam. Jestem jednak zaangażowany w prywatne badania, których jeszcze nie chciałbym wykazywać w raportach. Byłoby trudno wykonać to w mojej sekcji bez… — Gestem wyraził konkluzję nie dokończonego zdania.

Voy powiedział:

— Więc nie chce pan robić tego oficjalnie?

— Chcę, żeby to zostało zrobione poufnie. Pragnę poufnej odpowiedzi.

— Hm… to jest wbrew przepisom. Nie mogę się na to zgodzić. Harlan zmarszczył czoło.

— Chyba nie bardziej wbrew przepisom niż moja rezygnacja z zameldowania Radzie Wszechczasów o pańskiej omyłce. Przeciwko temu nie zgłosił pan zastrzeżeń. Jeśli mamy postępować ściśle

oficjalnie w jednej sprawie, musimy być również oficjalni w drugiej. Sądzę, że pan mnie rozumie?

Wystarczyło spojrzeć na twarz Voya. Socjolog wyciągnął rękę:

— Czy mogą zobaczyć dokumenty?

Harlan poczuł pewną ulgę. Główna przeszkoda została pokonana. Patrzył w napięciu, jak Voy pochyla głowę nad arkuszami. Tylko raz Socjolog się odezwał:

— Och, Czasie, to jest mała Zmiana Rzeczywistości. Harlan wykorzystał okazję i zaczął improwizować:

— Tak jest. Chyba bardzo mała. O to toczy się cały spór. To Zmiana poniżej krytycznej różnicy, więc wybrałem pewną jednostkę na próbę. Oczywiście byłoby niedyplomatycznie wykorzystywać środki naszej sekcji, póki nie uzyskam pewności, że mam rację.

Voy nie odpowiadał i Harlan urwał. Nie było sensu przeciągać tego dalej. Voy wstał.

— Dam to jednemu z naszych Biografistów. Sprawę utrzymamy w tajemnicy. Rozumie pan chyba, że nie można tego uważać za precedens.

— Oczywiście, że nie.

— I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chętnie poszedłbym popatrzeć, jak się dokonuje Zmiana Rzeczywistości. Mam nadzieję, że zrobi pan nam ten zaszczyt i przeprowadzi MPZ osobiście.

Harlan skinął głową.

— Przyjmuję całkowitą odpowiedzialność.

Kiedy weszli do sali obserwacyjnej, działały tam dwa ekrany. Inżynierowie ześrodkowali je już wedle dokładnych koordynat w Przestrzeni i Czasie, a potem wyszli. Harlan i Voy byli sami w błyszczącej sali. (Urządzenia z emulsji cząsteczkowych były widoczne i nawet trochę więcej niż widoczne, lecz Harlan patrzył na ekrany).

Oba obrazy tkwiły nieruchomo. Wyglądały na fotografie, ponieważ przedstawiały matematyczne momenty Czasu.

Jeden obraz był w ostrych, naturalnych barwach i ukazywał jakieś maszyny; Harlan wiedział, że jest to maszynownia doświadczalnego statku kosmicznego. Zamykały się właśnie drzwi i w szczelinie tkwił połyskujący but z czerwonego, na pół przezroczystego materiału. Ale nie poruszał się. Nic się nie poruszało. Gdyby obraz był na tyle ostry, że byłoby na nim widać drobiny pyłu w powietrzu, one też byłyby nieruchome.

Voy powiedział:

— Przez dwie godziny i trzydzieści sześć minut od obserwowanego momentu ta maszynownia pozostanie pusta. To znaczy — w bieżącej Rzeczywistości.

— Wiem — mruknął Harlan. Wkładał rękawiczki i utrwalał sobie w pamięci położenie na półce zasobnika o decydującym znaczeniu,

mierząc kroki do niego, wybierając najlepsze miejsce, w które należało go przenieść. Pospiesznie rzucił okiem na drugi ekran.

Podczas gdy maszynownia znajdująca się w polu określonym jako „teraźniejszość” — w odniesieniu do tej sekcji Wieczności, w jakiej się znajdowali — była jasna i w naturalnych kolorach, to drugi obraz, późniejszy o jakieś dwadzieścia pięć Stuleci, miał błękitną poświatę, taką jak widoki z „przyszłości”.

To był port kosmiczny. Intensywnie niebieskie niebo, niebieskawo zabarwione budynki z surowego metalu na niebieskozielonym gruncie. Niebieski cylinder dziwnego kształtu o wybrzuszonym dnie stał na pierwszym planie. Dwa podobne znajdowały się w głębi. Wszystkie trzy wznosiły swe rozdwojone dzioby do góry, a rozcięcia sięgały głęboko w kadłub statku.

— Bardzo dziwaczne — powiedział zamyślony Harlan.

— Elektrograwitacyjne — odparł Voy. — Tylko 2481 Stulecie ma elektrograwitacyjne pojazdy kosmiczne. Bez dysz, bez silników jądrowych. Konstrukcja, która daje duże przeżycia estetyczne. Wielka szkoda, że musieliśmy to poddać Zmianie. Wielka szkoda. — Utkwił oczy w Marianie z widoczną dezaprobatą.

Harlan zacisnął wargi. Wyraźna dezaprobata! Czemu nie? Przecież jest Technikiem.

Tak to jest: był kiedyś pewien Obserwator, który stwierdził zjawisko narkomanii. Był jakiś Statystyk, który wykazał, że najnowsze Zmiany pomnożyły liczbę narkomanów; osiągnęła ona największy procent w całej bieżącej Rzeczywistości człowieka. Jakiś Socjolog, prawdopodobnie sam Voy, opracował ten problem z psychiatrycznego punktu widzenia. Wreszcie jakiś Kalkulator udowodnił, że w celu ograniczenia narkomanii do bezpiecznego poziomu konieczna jest Zmiana Rzeczywistości, i wykrył, że w efekcie ubocznym musi na tym ucierpieć elektrograwitacyjna komunikacja kosmiczna. Dziesięciu czy stu ludzi w całej Wieczności przykładało do tego rękę.

Lecz wreszcie, na koniec, musi wkroczyć Technik, taki jak Harlan. Wypełniając dyrektywy, jakie wszyscy inni wymyślili i mu przekazali, musi zapoczątkować aktualną Zmianę Rzeczywistości. A potem wszyscy patrzą na niego i oskarżają wyniośle. Ich spojrzenia mówią: „To nie my, to ty zniszczyłeś to piękno”.

I za to będą go potępiać i unikać. Zrzucać własną winę na jego barki i będą nim pogardzali.

Harian powiedział szorstko:

— Statki się nie liczą. Jesteśmy zainteresowani tylko tymi istotami. „Istoty” były ludźmi, wyglądającymi karłowato na tle statku kosmicznego, tak jak Ziemia i ziemskie społeczeństwa wyglądają na tle Kosmosu.

Ci ludzie przypominali grupę marionetek. Ich malutkie rączki i

nóżki zastygły w nienaturalnych pozach uchwyconych w określonym momencie Czasu.

Voy wzruszył ramionami.

Harian właśnie przymocowywał mały generator pola do swego lewego przegubu.

— Trzeba wykonać tę robotę.

— Chwileczkę. Chcę się skontaktować z Biografistąi dowiedzieć, ile czasu zajmie mu ta praca dla pana. Chciałbym, żeby i to zostało wykonane.

Jego ręce manipulowały sprawnie przy małym ruchomym przycisku, a ucho słuchało uważnie serii tyknięć, które nadeszły w odpowiedzi. (Jeszcze jedna charakterystyczna cecha tej sekcji Wieczności, myślał Harian — kody dźwiękowe. Mądre, ale afektowane, podobnie jak emulsje cząsteczkowe).

— Mówi, że nie zajmie mu to więcej niż trzy godziny — rzekł wreszcie Voy. — Poza tym podziwia imię badanej osoby. Noys Lambent. To kobieta, prawda?

Harlanowi zaschło w gardle.

— Tak.

Wargi Voya rozciągnęły się w uśmiechu.

— To brzmi interesująco. Chciałbym ją poznać. Od miesięcy nie mieliśmy kobiet w naszej sekcji.

Harian bał się odpowiedzieć. Przez chwilę wpatrywał się w Socjologa, a potem gwałtownie się odwrócił.

Jeśli istniała jakaś skaza na Wieczności, to właśnie w związku z kobietami. Wiedział o tym niemal od pierwszego wejścia w Wieczność, lecz osobiście zaczął odczuwać dopiero od tego dnia, kiedy spotkał Noys. Od tego momentu była już prosta droga do punktu, w którym się teraz znalazł, zakłamany wobec swej przysięgi Wiecznościowca i wszystkiego, w co wierzył.

— Dla kogo?

Dla Noys.

I nie wstydził się. To właśnie było najbardziej wstrząsające. Nie wstydził się. Nie czuł się winny lawiny zbrodni, jaką spowodował, zbrodni, wobec których ostatnia — nielegalne użycie poufnego Biografowania — była zaledwie drobnym grzechem.

Jeśli będzie trzeba, nie cofnie się przed najgorszym.

Po raz pierwszy nasunęła mu się wyraziście pewna myśl. I chociaż ją odrzucił ze zgrozą, wiedział, że skoro raz już się pojawiła, to na pewno wróci.

Myśl była prosta: jeśli zajdzie potrzeba, zniszczy Wieczność.

2. Obserwator

Harlan stał w bramie Czasu i myślał o sobie na nowy sposób. Kiedyś wszystko było bardzo proste. Istniało coś takiego jak ideały albo przynajmniej hasła, dla których się żyło. Każde stadium życia Wiecz-nościowca miało swój sens. Jak się zaczynają „Podstawowe zasady"?

„Życie Wiecznościowca można podzielić na cztery okresy…".

Wszystko to działało dotychczas gładko, lecz teraz się zmieniło. A co się raz rozpadło, nie da się złożyć znowu w jedną całość.

Przeszedł jednak wytrwale przez wszystkie cztery stadia życia Wiecznościowca. Przez pierwsze piętnaście lat w ogóle nie był Wiecznościowcem, tylko mieszkańcem Czasu. Jedynie istota ludzka istniejąca poza Czasem, mianowicie Czasowiec, mogła stać się Wiecznościowcem; nikt nie mógł się urodzić w tej roli.

Mając lat piętnaście, po przebyciu starannego procesu eliminacji, o którego istocie nie miał wtedy pojęcia, został wybrany. Po dramatycznym pożegnaniu z rodziną przeniesiono go za kurtynę Wieczności. (Już wtedy wyjaśniono mu, że cokolwiek się zdarzy, on nigdy nie wróci. Prawdziwego powodu tej zasady miał się dowiedzieć w długi czas potem).

Znalazłszy się w Wieczności, spędził dziesięć lat w szkole jako Nowicjusz, a potem awansował, by zacząć trzecie stadium w charakterze Obserwatora. Dopiero potem miał zostać Specjalistą, prawdziwym Wiecznościowcem. Było to czwarte i ostatnie stadium życia w Wieczności: Czasowiec, Nowicjusz, Obserwator i Specjalista.

Harlan gładko przeszedł przez to wszystko. Można nawet powiedzieć, że z powodzeniem.

Wyraźnie przypomniał sobie chwilą, gdy ukończył Nowicjat i wraz ze swymi kolegami został niezależnym członkiem Wieczności: chwilę, gdy nie będąc jeszcze Specjalistami, otrzymali już tytuł Wiecznościowca.

Pamiętał to dokładnie. Skończył szkołę i Nowicjat i wraz z pięcioma kolegami stał słuchając ze splecionymi z tyłu rękami.

Edukator Yarrow przemawiał do nich siedząc przy biurku. — Harlan dobrze pamiętał Yarrowa: mały, energiczny mężczyzna, ze zmierzwioną czupryną, piegowatymi rękami i nieprzytomnym wyrazem oczu (ten nieprzytomny wyraz oczu nie był u Wiecznościowca niczym niezwykłym — powodowała go utrata domu i rodzinnego otoczenia, utajona i zakazana tęsknota za jedynym Stuleciem, którego nigdy żaden z nich nie mógł zobaczyć).

Harlan oczywiście nie pamiętał dokładnie słów Yarrowa, lecz ich treść ostro wryła mu się w pamięć.

Yarrow powiedział mniej więcej tak:

— Będziecie teraz Obserwatorami. Nie jest to wysokie stanowisko. Specjaliści nie traktują go poważnie. Możliwe, że wy, Wiecznościowcy (specjalnie zrobił przerwę po tym słowie, żeby każdy mógł się wyprostować i uśmiechnąć), również. Jeśli tak, jesteście głupcami i nie zasługujecie na miano Obserwatorów.

Kalkulatorzy nie mieliby czego kalkulować. Biografiści nie mieliby materiału do biografii. Socjologowie nie mieliby społeczeństw do profilowania. Żaden ze Specjalistów nie miałby nic do roboty, gdyby nie było Obserwatorów. Wiem, że już wam to mówiono, ale chciałbym, żebyście byli absolutnie przekonani i nie mieli żadnej wątpliwości w tej sprawie.

To wy, najmłodsi, będziecie wychodzili w Czas, w najbardziej niepomyślnych warunkach, żeby dostarczyć faktów, suchych, obiektywnych, niezależnych od osobistych opinii i upodobań. Faktów wystarczająco ścisłych, by nakarmić nimi komputery, a dość określonych, by mogły posłużyć do rozwiązywania równań społecznych. Faktów wystarczająco uczciwych, by mogły tworzyć podstawę dla Zmian Rzeczywistości.

I jeszcze jedno musicie zapamiętać: wasza służba w roli Obserwatorów nie jest czymś, co należy odbębnić możliwie szybko i bez kłopotów. Właśnie jako Obserwatorzy wyrabiacie sobie markę. Nie to, coście robili w szkole, lecz to, co zrobicie jako Obserwatorzy, będzie określało waszą specjalizację i stopień, do jakiego w niej dojdziecie. To będzie wasz podyplomowy staż, Wiecznościowcy, a niepowodzenie w nim, nawet małe niepowodzenie, zepchnie was do Obsługi, niezależnie od tego, jak wyglądają teraz wasze potencjalne możliwości. To wszystko.

Podał rękę każdemu z nich, a Harlan, poważny, uroczysty, dumny w swej wierze, iż największym przywilejem Wiecznościowca jest przywilej odpowiedzialności za szczęście wszystkich istot ludzkich, które są albo będą w zasięgu Wieczności, był pełen nabożnego szacunku dla samego siebie.

Pierwsze zadanie Harlana było drobne i wykonał je pod ścisłym nadzorem, lecz potem rozwijał swe talenty w kilkunastu Stuleciach na kilkunastu Zmianach Rzeczywistości.

W piątym roku pracy otrzymał awans na Starszego Obserwatora ze skierowaniem do 482 wieku. Po raz pierwszy miał wykonać pracę bez nadzoru i gdy sobie to uświadomił, meldując się Kalkulatorowi sekcji, stracił nieco pewność siebie.

Był to zastępca Kalkulatora Hobbe Finge; podejrzliwie ściągnięte usta i zmarszczone brwi wyglądały śmiesznie w jego twarzy. Brakowało mu tylko kolorów i kosmyka siwych włosów, a mógłby uchodzić za wizerunek świętego Mikołaja.

Święty Mikołaj albo Santa Claus, albo Kriss Kringle. Harlan znał wszystkie trzy imiona. Wątpił, czy choćby jeden na sto tysięcy Wiecznościowców słyszał o którymś z nich. Harlan czerpał sekretną wstydliwą dumę ze swej tajemnej wiedzy. Od najwcześniejszych dni w szkole jeździł na swym koniku historii Prymitywu, a Edukator Yarrow zachęcał go do tych studiów. Harlan ogromnie polubił te dziwaczne, przewrotne Stulecia, które znajdowały się nie tylko przed początkiem Wieczności, w wieku 27, lecz nawet przed wynalezieniem Pola Czasowego, w 24 wieku. Studiował stare książki i periodyki. Podróżował nawet daleko w przeszłość, do najwcześniejszych Stuleci, gdy tylko mu na to pozwolono, by korzystać z lepszych źródeł. Przez piętnaście z górą lat zgromadził znaczną bibliotekę, prawie w całości składającą się z książek drukowanych na papierze. Miał w niej tom pisarza zwanego H.G. Wells i inny — W. Szekspira, oba dość postrzępione. A najciekawszy był komplet oprawnych tygodników z epoki Prymitywu, które zajmowały ogromną przestrzeń, lecz Harlan nie miał serca zredukować ich do mikrofilmu.

Od czasu do czasu gubił się w świecie, gdzie życie było życiem, a śmierć śmiercią; gdzie człowiek podejmował decyzje nieodwołalne, gdzie nie można było zapobiec złu ani popierać dobra i gdzie przegrana bitwa pod Waterloo była naprawdę przegrana na zawsze.

A potem był trudny, niemal szokujący powrót myśli do Wieczności i świata, w którym Rzeczywistość jest czymś giętkim i szybko znikającym, czymś, co ludzie, tacy jak on sam, mogą utrzymać w dłoniach i ukształtować w lepszą formę.

Skojarzenie ze świętym Mikołajem prysło, gdy Hobbe Finge zaczął mówić energicznie i rzeczowo.

— Może pan rozpocząć jutro od zwykłego przeglądu bieżącej Rzeczywistości. Ma to być zrobione wnikliwie i dokładnie. Nie zezwala się na żadną niedbałość. Pana pierwsza karta przestrzenno-czasowa będzie gotowa na jutro rano. Wszystko jasne?

— Tak, Kalkulatorze — powiedział Harlan. Już wtedy zorientował się, że stosunki między nim a zastępcą Kalkulatora nie ułożą się dobrze, i żałował tego.

Następnego ranka otrzymał kartkę pokrytą skomplikowanymi perforowanymi wzorami, tak jak wyszła z komputapleksu. Użył swego kieszonkowego odkodywacza w celu przetłumaczenia ich na standardowy język międzyczasowy, bojąc się, żeby nie popełnić najdrobniejszej pomyłki na samym początku. Oczywiście osiągnął ten etap, że mógł czytać perforacje bezpośrednio.

Karta mówiła mu, gdzie i kiedy ma się znaleźć w 482 Stuleciu; dokąd może się udać, a dokąd nie; czego ma unikać za wszelką cenę. Jego obecność miała się ograniczyć tylko do tych miejsc i czasu, w których nie byłaby niebezpieczna dla Rzeczywistości.

Nie lubił 482 Stulecia. Nie było podobne do jego ojczystej, poważnej i nonkonformistycznej ery. Były to jego zdaniem czasy bez etyki i bez zasad. Stulecie hedonistyczne, materialistyczne i trochę nad miarę matriarchalne. Była to jedyna era (sprawdził to w raportach bardzo dokładnie) z ektogenicznymi urodzinami, a w okresie ich największego rozwoju czterdzieści procent kobiet miało dzieci składając tylko zapłodnione jajo w owarium. Małżeństwa łączyły się i rozwiązywały za obopólną zgodą, prawo nie uznawało ich za nic więcej niż prywatne porozumienie bez mocy obowiązującej. Związek zawarty dla urodzin dziecka był oczywiście ściśle oddzielony od społecznych funkcji małżeństwa i działał na czysto eugenicznych zasadach.

Pod wieloma względami Harlan uważał to społeczeństwo za chore i dlatego pragnął Zmiany Rzeczywistości. Wielokrotnie przychodziło mu do głowy, że jego obecność w Stuleciu, jako człowieka z innych czasów, mogłaby rozdwoić jego historię. Jeśli zakłócenia tą obecnością spowodowane byłyby dość silne w pewnym kluczowym punkcie, rzeczywisty stałby się inny nurt prawdopodobieństwa, nurt, w którym miliony szukających przygód kobiet przekształciłyby się w prawdziwe matki o czystych sercach. Znalazłyby się w innej Rzeczywistości ze wszystkimi wspomnieniami do niej przynależnymi, niezdolne mówić, śnić, wyobrażać sobie, że kiedykolwiek były kimś innym.

Na nieszczęście, żeby tego dokonać, musiałby przekroczyć granice wyznaczone mu w karcie przestrzenno-czasowej, a to było nie do pomyślenia. Ale nawet gdyby było, wyjście poza te granice na chybił trafił mogłoby zmienić Rzeczywistość na wiele sposobów. Mogłaby stać się jeszcze gorsza. Tylko staranna analiza i kalkulacja pozwalały precyzyjnie określić charakter Zmiany Rzeczywistości.

Zewnętrznie, mimo swych osobistych poglądów, Harlan pozostał Obserwatorem, idealny Obserwator zaś był jedynie zestawem ośrodków zmysłowo-percepcyjnych dołączonych do mechanizmu piszącego raporty. Między percepcją a raportem nie powinno być miejsca na uczucia.

Pod tym względem raporty Harlana stanowiły szczyt doskonałości.

Zastępca Kalkulatora Finge wezwał go po drugim tygodniowym raporcie.

— Gratuluję, Obserwatorze — powiedział głosem, w którym nie wyczuwało się ciepła — kompozycji i jasności pana raportów. Ale co pan właściwie myśli?

Harlan przybrał taki wyraz twarzy, jakby była mozolnie wycięta z 95-wiecznego drzewa. Powiedział:

— Nie mam żadnych własnych myśli w tej sprawie.

— Ale, ale! Pan jest z 95 Stulecia i obaj wiemy, co to znaczy. Z pewnością tamto stulecie działa panu na nerwy.

Harlan wzruszył ramionami.

— Czy cokolwiek w moich raportach skłania pana do wniosku, że moje nerwy są nie w porządku?

Było to niemal bezczelne pytanie. Finge zaczął bębnić tępymi paznokciami po blacie biurka.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie — rzekł. Harlan powiedział:

— Socjologicznie wiele aspektów tego stulecia osiągnęło skrajność. Spowodowało to ostatnie trzy Zmiany Rzeczywistości w tej epoce. Sądzę, że w końcu sprawa zostanie uregulowana. Skrajności nigdy nie są zdrowe.

— Więc zadał pan sobie trud sprawdzenia ostatnich Rzeczywistości Stulecia?

— Jako Obserwator muszę sprawdzić wszystkie zasadnicze fakty.

To był mocny argument. Harlan oczywiście miał prawo i obowiązek sprawdzać te fakty i Finge o tym wiedział. Każdym Stuleciem wstrząsały ciągłe Zmiany Rzeczywistości. Żadne obserwacje, niezależnie od tego jak pracochłonne, nie mogły utrzymać się długo bez ponownego sprawdzania. W Wieczności przestrzegano procedury ciągłego obserwowania każdego Stulecia. A żeby właściwie obserwować, trzeba było znać nie tylko fakty bieżących Rzeczywistości, lecz również ich związki z poprzednimi Rzeczywistościami.

Harlan zauważył, że to sprawdzanie przez Finge'a poglądów Obserwatora to nie tylko nieżyczliwość. Finge był nastawiony zdecydowanie wrogo.

Innym razem Finge powiedział do Harlana, wchodząc do jego małego gabinetu:

— Pańskie raporty robią doskonałe wrażenie na Radzie Wszechczasów.

Harlan milczał niepewnie, a potem wymamrotał:

— Dziękuję panu.

— Wszyscy się zgadzają, że wykazuje pan niezwykłą przenikliwość.

— Staram się, jak mogę. Finge zapytał nagle:

— Czy pan zna Starszego Kalkulatora Twissella?

— Kalkulatora Twissella? — Harlan wytrzeszczył oczy. — Nie. Dlaczego pan pyta?

— Wydaje się, że pańskie raporty szczególnie go interesują. — Finge zamyślił się i zmienił temat. — Wydaje mi sią, że pan sobie wypracował własną filozofię, pewien punkt widzenia na historię.

Harlana dręczyła pokusa. Próżność i ostrożność walczyły ze sobą i wreszcie próżność zwyciężyła.

— Studiowałem historię Prymitywu.

— Historię Prymitywu? W szkole?

— Niezupełnie, Kalkulatorze. Sam. To jest… mój konik. To jest zupełnie tak, jakby się obserwowało historię stojącą nieruchomo, zamrożoną! Można j ą studiować w szczegółach, podczas gdy Stulecia Wieczności stale się zmieniają. — Zapalił się na myśl o tym. — To jest tak, jakbyśmy wzięli serię kadrów z książkowego filmu i studiowali uważnie każdy kadr. Zobaczymy o wiele więcej, niż gdybyśmy po prostu puścili film. To mi bardzo pomaga w mojej pracy.

Finge popatrzył rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma i wyszedł bez słowa.

Jednak później, przy jakiejś okazji, wrócił do tematu historii Prymitywu i przyjął pełne skruchy komentarze Harlana bez żadnego zdecydowanego wyrazu na swej tłustej twarzy.

Harlan nie był pewny, czy ma żałować całej sprawy, czy traktować ją jako szansę przyśpieszenia swego awansu. Zdecydował jednak, że to ostatnie nie wchodzi w grę, gdyż mijając go pewnego dnia na korytarzu A, Finge odezwał się niespodziewanie, tak by inni słyszeli:

— Wielki Czasie, Harlan, czy pan się nigdy nie uśmiecha? Uświadomił sobie, że Finge go nienawidzi. Ale wkrótce jego stosunek do Finge'a zaczął przypominać wstręt.

W ciągu trzech miesięcy badań nad 482 sprawdzono wszystko, co było w tym Stuleciu ciekawego, i gdy Harlan otrzymał nagłe wezwanie do biura Finge'a, nie był zaskoczony. Spodziewał się zmiany zadania. Jego ostateczny raport był gotowy już od kilku dni. 482 wiek pragnął eksportować więcej tekstyliów, produkowanych na bazie celulozy, do Stuleci, w których lasy zostały wytrzebione, takich jak 1174, lecz nie chciał otrzymywać w zamian wędzonej ryby. Do tego dołączona była długa lista podobnych pozycji z odpowiednią analizą.

Wziął ze sobą brulion raportu.

Ale o 482 Stuleciu nawet nie wspomniano. Natomiast Finge przedstawił Harlana staremu, pomarszczonemu człowieczkowi o rzadkich, siwych włosach i twarzy gnoma. Twarz ta przez cały czas rozmowy była uśmiechnięta. W pożółkłych palcach tkwił zapalony papieros.

Był to pierwszy papieros, jaki Harlan w życiu widział; gdyby nie to, poświęciłby więcej uwagi człowiekowi, a mniej płonącej rurce, i byłby lepiej przygotowany na prezentację Finge'a.

Finge powiedział:

— Starszy Kalkulatorze, to jest Obserwator Andrew Harlan. Oczy Harlana gwałtownie przeskoczyły z papierosa na twarz człowieczka.

Starszy Kalkulator Twissell odezwał się piskliwym głosem:

— Jak się masz? A więc to ty jesteś tym młodym człowiekiem,

który pisze znakomite raporty?

Harlan nie mógł wykrztusić słowa. Laban Twissell był legendą, żyjącym mitem. Laban Twissell był człowiekiem, którego powinien natychmiast rozpoznać. Był wybitnym Kalkulatorem w Wieczności, innymi słowy — najwybitniejszym żyjącym Wiecznościowcem i dziekanem Rady Wszechczasów. Kierował większą liczbą Zmian Rzeczywistości niż ktokolwiek inny… był… miał…

Harlana całkiem opuściła przytomność umysłu. Skinął głową uśmiechając się głupio i nie powiedział nic.

Twissell przyłożył papierosa do ust, zaciągnął się szybko i odsunął go.

— Zostaw nas, Finge. Chcę porozmawiać z chłopakiem. Finge wstał, mruknął coś i wyszedł.

Twissell powiedział:

— Wyglądasz na zdenerwowanego, chłopcze. Nie ma się co denerwować.

Lecz spotkanie z Twissellem było jak wstrząs. Zawsze człowiek jest zbity z tropu, gdy stwierdzi, że ktoś, kogo uważał za olbrzyma, w rzeczywistości ma sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Czy za cofniętym, gładkim czołem kryje się mózg geniusza? Czy to przenikliwa inteligencja, czy tylko jowialność promieniuje z małych oczek otoczonych tysiącem zmarszczek?

Harlan nie wiedział, co sądzić. Zdawało się, że widok papierosa do reszty odebrał mu przytomność umysłu. Wyraźnie wzdrygnął się, gdy dotarł do niego kłąb dymu.

Oczy Twissella zwęziły się, jakby próbowały przeniknąć dym, i Kalkulator powiedział w straszliwym dialekcie dziesiątego tysiąclecia:

— Czy pędziesz się czuł lepiej, kdy pędę mówił twój dialekt, chłobcze?

Harlan omal nie wybuchnął histerycznym śmiechem, lecz powiedział ostrożnie:

— Mówię dość biegle standardowym międzyczasowym, Kalkulatorze.

Powiedział to w języku międzyczasowym, którego on i wszyscy inni Wiecznościowcy używali od pierwszych miesięcy pobytu w Wieczności.

— Nonsens — oznajmił władczo Twissell. — Nie obchodzi mnie międzyczasowy. Mój język dziesiątego tysiąclecia jest aż za dobry.

Harlan domyślał się, że musiało minąć przynajmniej czterdzieści lat, od chwili gdy Twissell miał w użyciu czasowe dialekty.

Lecz Kalkulator zrobiwszy tę uwagę, najwidoczniej dla własnej satysfakcji, przeszedł na międzyczasowy i już dalej się nim posługiwał.

Powiedział:

— Zaproponowałbym ci papierosa, ale jestem pewny, że nie

palisz. Rzadko kiedy w dziejach przyjmowało się palenie. Naprawdę dobre papierosy robiono jedynie w 72 wieku, a moje są specjalnie importowane z tej epoki. Dają ci tę wskazówką na wypadek, gdybyś zaczął palić. To wszystko jest bardzo smutne. W ubiegłym tygodniu musiałem na dwa dni wyskoczyć do 123 wieku. Palenie wzbronione. Nawet w sekcji Wieczności poświęconej 123 wiekowi Wiecznościowcy przyjęli tamtowieczne obyczaje. Gdybym zapalił papierosa, nastąpiłoby coś w rodzaju katastrofy kosmicznej. Czasami myślę, że chętnie skalkulowałbym jedną wielką Zmianą Rzeczywistości i zniósł zakazy palenia we wszystkich Stuleciach. Niestety, jakakolwiek Zmiana w tym rodzaju spowodowałaby wojny w pięćdziesiątym ósmym i niewolnictwo w tysięcznym. Zawsze coś przeszkadza.

Harlan najpierw był zmieszany, potem zaciekawiony. Z pewnością w tej gadaninie coś się kryło.

Czuł lekkie ściskanie w gardle, gdy zapytał:

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego pan chciał mnie poznać, Kalkulatorze?

— Podobają mi się twoje raporty, chłopcze.

W oczach Harlana pojawił się błysk przytłumionej radości.

— Dziękuję panu — powiedział.

— Jest w nich polot artysty. Masz intuicją. Przeżywasz wszystko silnie. Wiem, jaka powinna być twoja pozycja w Wieczności, i przybyłem ci ją zaofiarować.

Harlan pomyślał: nie mogę w to uwierzyć.

Starał się, by w jego głosie nie zabrzmiała nuta triumfu.

— Czuję się bardzo zaszczycony, Kalkulatorze — powiedział. Starszy Kalkulator Twissell, skończywszy jednego papierosa, niedostrzegalnym ruchem wyciągnął i zapalił drugiego, po czym odezwał się wśród kłębów dymu:

— Na miłość Czasu, chłopcze, mówisz tak, jakbyś recytował wyuczoną lekcję. Bardzo zaszczycony… bzdura. Po prostu mów, co czujesz. Cieszysz się?

— Tak, Kalkulatorze — potwierdził Harlan ostrożnie.

— W porządku. Powinieneś się cieszyć. Chciałbyś zostać Technikiem?

— Technikiem! — wykrzyknął Harlan, zrywając się z fotela.

— Siadaj. Siadaj. Wyglądasz na zaskoczonego.

— Nie spodziewałem się, że bada Technikiem, Kalkulatorze.

— Dziwnym trafem — odparł Twissell sucho — nikt sią tego nigdy nie spodziewa. Oczekują wszystkiego, tylko nie tego. Jednak o Techników jest trudno i stale ich potrzebujemy. Ani jedna sekcja w Wieczności nie uważa, że ma ich dosyć.

— Chyba się nie nadaję.

— Masz na myśli, że nie nadajesz się do podjęcia kłopotliwej

roboty? Ale na miłość Czasu, jeśli jesteś oddany Wieczności, tak jak przypuszczam, nie będzie ci to przeszkadzało. Owszem, głupcy będą cię unikali i spotkasz się z ostracyzmem. Ale przyzwyczaisz się do tego. A zyskasz satysfakcję, że jesteś potrzebny, i to bardzo. Właśnie mnie.

— Panu? Właśnie panu?

— Tak jest. — Stary człowiek uśmiechnął się chytrze. — Nie będziesz tylko Technikiem. Będziesz moim Technikiem osobistym na specjalnych prawach. Jak ci się to podoba?

— Nie wiem. Kalkulatorze — odparł Harlan. — Mogę się nie nadawać.

Twissell energicznie potrząsnął głową.

— Potrzebuję cię. Właśnie ciebie. Twoje raporty dają mi pewność, że jesteś akurat odpowiednim człowiekiem. — Dotknął czoła upierścienionym palcem. — Jako Nowicjusz zyskałeś dobrą opinię. Sekcje, dla których prowadziłeś obserwacje, oceniły cię bardzo pozytywnie. Wreszcie raport Finge'a był bardzo korzystny.

To naprawdę poruszyło Harlana.

— Kalkulator Finge wystawił mi korzystną opinię?

— Nie spodziewałeś się tego?

— Ja… nie wiem.

— Dobrze chłopcze. Nie mówię, że raport był przychylny. Mówię, że był korzystny. W gruncie rzeczy raport Finge'a nie był przychylny. Zalecał, żeby cię odsunięto od wszelkich zajęć związanych ze Zmianami Rzeczywistości. Sugerował, że trzymanie cię gdziekolwiek poza działem obsługi jest niebezpieczne.

Harlan poczerwieniał.

— Jak on to uzasadniał, Kalkulatorze?

— Wygląda na to, że masz hobby, chłopcze. Jesteś zainteresowany historią Prymitywu, co? — Zrobił szeroki gest ręką z papierosem, a Harlan, zapominając w gniewie o kontrolowaniu oddechu, połknął haust dymu i rozkaszlał się gwałtownie.

Twissell, dobrodusznie obserwując ten atak kaszlu, zapytał:

— Czy to prawda?

— Kalkulator Finge nie ma prawa… — zaczął Harlan.

— Ale, ale! Powiedziałem ci, co było w raporcie, ponieważ łączy się to z celem, do którego przede wszystkim cię potrzebuję.

Ponadto raport był poufny i musisz zapomnieć, że ci mówiłem, co w nim jest. Raz na zawsze, chłopcze.

— A co w tym złego, że ktoś interesuje się historią Prymitywu?

— Finge uważa, że twoje zainteresowanie wskazuje na silny popęd do Czasu. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Harlan rozumiał. Nie sposób było nie przyswoić sobie pewnych określeń z żargonu psychiatrycznego, a tego określenia przede

wszystkim. Przyjmowało się, że każdy członek Wieczności ma silny popęd (tym silniejszy, że oficjalnie tłumiony we wszystkich przejawach), by wrócić, niekoniecznie do swojej epoki, ale przynajmniej do jakiegoś określonego Czasu: by stać się raczej częścią określonego Stulecia niż być wędrowcem po wszystkich Stuleciach. Oczywiście u większości Wiecznościowców popęd ten pozostawał bezpiecznie ukryty w podświadomości.

— Nie myślę, żeby zachodził ten przypadek — rzekł Harlan.

— Ja również nie przypuszczam. Uważam, że twoje hobby jest interesujące i cenne. Jak już wspomniałem, właśnie dlatego wybieram ciebie. Chcę, żebyś wszystkiego, co umiesz i czego możesz się nauczyć z historii Prymitywu, nauczył pewnego Nowicjusza, którego ci przyprowadzą. Poza tym będziesz również moim osobistym Technikiem. Rozpoczniesz pracę za kilka dni. Jesteś zadowolony?

Zadowolony? Mieć oficjalne zezwolenie na nauczanie wszystkiego o czasach sprzed Wieczności? Być osobiście związanym z najwybitniejszym ze wszystkich Wiecznościowców? Nawet nieprzyjemny status Technika wydawał się znośny w tych warunkach.

Lecz ostrożność nie całkowicie opuściła Harlana. Powiedział:

— Jeśli to jest potrzebne dla dobra Wieczności, Kalkulatorze…

— Dla dobra Wieczności? — wykrzyknął podobny do gnoma Kalkulator w nagłym podnieceniu. Rzucił papierosa tak gwałtownie, że niedopałek trafił w przeciwległą ścianę i rozprysnął się fontanną iskier. — Potrzebuję cię dla istnienia Wieczności.

3. Nowicjusz

Harlan przebywał kilka tygodni w 575 stuleciu, nim poznał Brinsleya Sheridana Coopera. Miał czas przyzwyczaić się do nowego mieszkania i antyseptyki szkła i porcelany. Nauczył się nosić znaczek Technika nie kurcząc się przy tym zbytnio i nie stając w ten sposób, by znaczek był zwrócony do ściany albo zasłonięty jakimś przedmiotem.

Inni bowiem uśmiechali się pogardliwie, kiedy to robił, i zaczynali odnosić się do niego z rezerwą, jakby podejrzewali próbę zdobycia ich przyjaźni pod fałszywymi pretekstami.

Starszy Kalkulator Twissell codziennie przedstawiał mu swe problemy. Harlan studiował je, pisał analizy, które przepisywano po cztery razy, i ostatnią wersję oddawał też jeszcze nie bez oporów.

Twissell chwalił je, kiwał głową, powtarzał:

— Dobre. Dobre.

Potem rzucał szybkie spojrzenie swych starych niebieskich oczu na Harlana, a jego uśmiech przygasał nieco, gdy mówił:

— Sprawdzę tę prognozę na komputapleksie.

Analizę zawsze nazywał prognozą. Nigdy nie podawał Harlanowi wyniku sprawdzenia na komputapleksie, a Harlan nie śmiał pytać. Był przygnębiony faktem, że nigdy nie polecono mu zrealizować ani jednej z jego analiz. Czy oznaczało to, że komputaplex ich nie potwierdza? Że Harlan wybiera niewłaściwy punkt do wprowadzenia Zmiany Rzeczywistości? Że braknie mu sprytu do wykrycia Minimum Potrzebnych Zmian we wskazanym zakresie? (Dopiero później zaczął swobodnie używać snobistycznego określenia „MPZ”).

Pewnego dnia Twissell przyszedł z jakimś wystraszonym osobnikiem, który nie śmiał nawet spojrzeć Harlanowi w oczy. Twissell powiedział:

— Techniku Harlan, to jest Nowicjusz B.S. Cooper.

Harlan odruchowo powiedział „Cześć”. Ale nie był zachwycony tym człowiekiem. Facet był niski, o czarnych włosach, z przedziałkiem na środku. Miał spiczastą brodę, oczy jasnobrązowe, uszy nieco za duże, paznokcie poogryzane.

— To ten chłopak, którego będziesz uczył historii Prymitywu — powiedział Twissell.

— Wielki Czasie! — zawołał Harlan z gwałtownie wzrastającym zainteresowaniem. — Cześć! — Niemalże zapomniał o tym.

Twissell rzekł:

— Ułóż z nim plan, jaki ci odpowiada, Harlan. Jeśli dasz radę — dwa popołudnia tygodniowo; myślę, że to wystarczy. Stosuj własną metodę nauczania. Zostawiam to do twego uznania. Jeśli potrzeba ci

mikrofilmów albo starych dokumentów, to mi powiedz, dostaniemy je, jeśli istnieją gdziekolwiek w Wieczności czy w jakiejkolwiek osiągalnej części Czasu. Zgoda, chłopcze?

Wyciągnął zapalonego papierosa znikąd (jak się zawsze wydawało) i zapachniało dymem. Harlan zakaszlał, a zaciśnięte usta Nowicjusza świadczyły, że zrobiłby to samo, gdyby tylko śmiał.

Po wyjściu Twissella Harlan powiedział:

— No, siadaj — zawahał się chwilę, a potem dodał zdecydowanym tonem — synu. Siadaj, synu. Mój gabinet jest dość marny, ale należy również do ciebie, ilekroć jesteśmy razem.

Harlana ogarnęła fala zapału. To był jego projekt! Historia Prymitywu to było coś całkowicie własnego. Nowicjusz podniósł oczy (po raz pierwszy chyba) i powiedział jąkając się:

— Pan jest Technikiem.

Część podniecenia i zapału Harlana od razu się ulotniła.

— Więc co z tego?

— Nic — odparł Nowicjusz. — Ja po prostu…

— Słyszałeś, jak Kalkulator Twissell tytułował mnie Technikiem?

— Tak, proszę pana.

— Czyżbyś myślał, że się pomylił? Że to zbyt złe, żeby było prawdziwe?

— Nie, proszę pana.

— Czemu tak bełkoczesz? — zapytał Harlan brutalnie i zawstydził się tego.

Cooper zaczerwienił się gwałtownie.

— Niezbyt biegle mówię standardowym międzyczasowym.

— Dlaczego? Jak długo jesteś Nowicjuszem?

— Mniej niż rok, proszę pana.

— Mniej niż rok? Ile ty masz lat, na miłość Czasu?

— Dwadzieścia cztery lata fizjologiczne, proszę pana. Harlan wytrzeszczył oczy.

— Usiłujesz mi wmówić, że wzięli cię do Wieczności, kiedy miałeś dwadzieścia trzy lata?

— Tak, proszę pana.

Harlan usiadł i zatarł ręce. Czegoś takiego się po prostu nie stosowało. Do Wieczności wchodziło się w wieku piętnastu do szesnastu lat. Więc co to może znaczyć? Czy Twissell robi z nim jakąś nową próbę, żeby go sprawdzić?

— Siadaj i zaczynamy. Twoje pełne nazwisko i epoka?

Nowicjusz wystękał:

— Brinsley Sheridan Cooper z 78 Stulecia.

Harlan niemal odetchnął. To było blisko. Zaledwie tysiąc siedemset lat od jego ojczystego stulecia. Nowicjusz był niemal jego sąsiadem w Czasie.

— Jesteś zainteresowany historią Prymitywu? — zapytał.

— Kalkulator Twissell polecił mi się uczyć. Niewiele wiem na ten temat.

— Czego się jeszcze uczysz?

— Matematyki. Inżynierii Czasu. Na razie studiuję podstawy. W 78 Stuleciu byłem reperatorem szybkopróżni.

Nie było sensu pytać o istotę szybkopróżni. Mógł to być odkurzacz ssący, komputer albo odmiana pistoletu do malowania. Harla-na niespecjalnie to interesowało.

— Czy wiesz coś o historii? — zapytał. — O jakiejkolwiek historii?

— Uczyłem się historii europejskiej.

— Twojej odrębnej jednostki politycznej, jak rozumiem?

— Urodziłem się w Europie. Głównie, oczywiście, uczono nas historii nowożytnej. Po rewolucjach 54 roku. To znaczy 7554 roku.

— Doskonale. Przede wszystkim musisz o tym zapomnieć. To zupełnie nic nie znaczy. Historia, której próbują uczyć Czasowców, zmienia się z każdą Zmianą Rzeczywistości. Oni sobie tego nie uświadamiają. W każdej Rzeczywistości ich historia jest jedyną historią. Historia Prymitywu wygląda zupełnie inaczej. Na tym polega cały jej urok. Niezależnie od tego, co każdy z nas robi, historia Prymitywu istnieje tak, jak zawsze istniała. Kolumb i Waszyngton. Mussolini i Hereford, oni wszyscy istnieją.

Cooper uśmiechnął się lekko. Małym palcem potarł górną wargę i po raz pierwszy Harlan dostrzegł nad nią ślad zarostu, jakby Nowicjusz zapuszczał wąsy.

Cooper powiedział:

— Odkąd tu jestem, niezbyt potrafię… przyzwyczaić się do tego.

— Przyzwyczaić się do czego?

— Do tego, że jestem pięćset Stuleci od mojej rodzinnej epoki.

— Znajduję się niemal w identycznej sytuacji. Ja pochodzę z dziewięćdziesiątego piątego.

— To inna sprawa. Pan jest starszy ode mnie, a jednak pod pewnym względem ja jestem starszy od pana. Mógłbym być pana pra-pra- prą-… i tak dalej, dziadkiem.

— Co za różnica? A przypuśćmy, że tak jest?

— No, do tego trzeba się przyzwyczaić. — W tonie Nowicjusza zabrzmiała buntownicza nuta.

— Wszyscy musimy się przyzwyczajać — odparł Harlan bez współczucia i zaczął mówić o Prymitywie. Po trzech godzinach pochłonięty był wyjaśnianiem, dlaczego istniały Stulecia przed pierwszym Stuleciem.

— Ale czy pierwszy wiek nie był pierwszy? — Zapytał Cooper żałośnie.

Harlan skończył, dając Nowicjuszowi książkę, niezbyt dobrą, co prawda, ale na początek mogła ujść.

— Dam ci lepsze materiały, kiedy się dalej podkształcisz — powiedział.

Pod koniec tygodnia wąsy Coopera wyglądały jak czarna szczoteczka, która postarzała go o dziesięć lat i podkreślała wąskość jego dolnej szczęki. Harlan uznał, że te wąsy nie przydają urody Nowicjuszowi.

— Skończyłem pana książkę — odezwał się Cooper.

— Co o niej myślisz?

— W pewnym sensie… — Nastąpiła dłuższa przerwa, zanim Cooper zaczął na nowo. — Po części późny Prymityw przypomina 78 Stulecie. Wie pan, wskutek tego zacząłem myśleć o domu. Dwa razy śniła mi się moja żona.

— Twoja żona?! — wybuchnął Harlan.

— Byłem żonaty, zanim wzięli mnie tutaj.

— Wielki Czasie! Czy twoją żonę również tu sprowadzili? Cooper potrząsnął głową.

— Nie wiem nawet, czy została zmieniona w ubiegłym roku. Jeśli tak, to nie jest właściwie moją żoną.

Harlan oprzytomniał. Oczywiście, jeśli Nowicjusz miał dwadzieścia trzy lata, gdy wzięto go do Wieczności, mógł być żonaty. Jedna sprawa bez precedensu pociąga za sobą drugą.

Gdy do regulaminu zacznie się raz wprowadzać modyfikacje, nie potrwa długo i wszystko się zamieni w jeden wielki chaos. Wieczność jest zbyt subtelnie wyważoną konstrukcją, by mogła znieść zmiany.

Najprawdopodobniej obawa o Wieczność dodała mimowolnej surowości głosowi Harlana:

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz wracać do 78 wieku, żeby jej szukać?

r. Nowicjusz podniósł głową, jego wzrok był twardy i nieruchomy.

— Nie.

Harlan poruszył się niespokojnie.

— Właśnie. Nie masz rodziny. Nikogo. Jesteś Wiecznościowcem i nigdy nie myśl o nikim, kogo znałeś w Czasie.

Cooper zacisnął wargi i powiedział szybko i ostro:

— Mówi pan jak Technik.

Harlan zacisnął pięści na biurku. Odezwał się ochrypłym głosem:

— O co chodzi? Jestem Technikiem, więc przeprowadzam Zmiany. Więc bronię ich i żądam, żebyś je uznawał. Słuchaj, dzieciaku, jesteś tu niecały rok, nie potrafisz mówić po międzyczasowemu, nie odróżniasz jeszcze Czasu od Rzeczywistości, ale wydaje ci się, że już znasz Techników i możesz ich lekceważyć.

— Przepraszam — odezwał się szybko Cooper. — Nie chciałem pana obrazić.

— Nie, nie, dlaczego obrazić? Po prostu słyszałeś, że ktoś tak mówił, prawda? Mówią: „Zimny jak serce Technika", co? Mówią tak. Mówią: „Bilion osobowości zmienionych — to jedno ziewnięcie Technika". Mówią jeszcze inne rzeczy. I co z tego, panie Cooper? Czy czujesz się wielkim intelektualistą biorąc w tym udział? Stajesz się przez to wielkim człowiekiem? Wielkim kołem Wieczności?

— Powiedziałem przepraszam.

— W porządku. Chciałbym, żebyś wiedział, że Technikiem jestem niespełna miesiąc i osobiście nie przeprowadzałem nigdy Zmiany Rzeczywistości. A teraz do roboty.

Następnego dnia Kalkulator Twissell wezwał Andrew Harlana do swego biura.

— Jakby ci się podobała mała MZR, chłopcze? — zapytał.

Pytanie padło w samą porę. Przez cały ów ranek Harlan żałował, że tchórzliwie wyparł się osobistego zaangażowania w pracę Technika. I ten protest zupełnie dziecinny: przecież ja do tej pory nic złego nie zrobiłem, nie gańcie mnie.

To było równoznaczne z przyznaniem, że jest coś złego w pracy Technika, a że on sam nie zasługuje na potępienie jedynie dlatego, że jest zbyt nowy w grze.

Rad był teraz z okazji wycofania się z tego. To będzie niemal pokuta. Może powiedzieć Cooperowi: „Tak, z powodu czegoś, co ja zrobiłem, te miliony ludzi mają teraz nową osobowość, lecz to było potrzebne i jestem dumny, że brałem w tym udział". Harlan oznajmił więc z radością:

— Jestem gotów, Kalkulatorze.

— Dobrze. Dobrze. Na pewno będzie ci przyjemnie usłyszeć, chłopcze (kłąb dymu i koniec papierosa rozżarzył się rubinowo), że wszystkie twoje analizy potwierdziły się z bardzo dużą dokładnością.

— Dziękują panu. (Teraz to są już analizy, nie prognozy- pomyślał Harlan).

— Masz talent. Jakieś wyczucie, chłopcze. Spodziewam się po tym wielkich rzeczy. A możemy zacząć od 223 wieku. Twoje stwierdzenie, że zablokowane sprzęgło stworzy niezbędne widełki czasowe bez niepożądanych ubocznych skutków, jest całkowicie słuszne. Chcesz zablokować to sprzęgło?

— Tak, Kalkulatorze.

To było prawdziwe wprowadzenie Harlana w Technikę. Teraz był już czymś więcej niż człowiekiem z różowo-czerwoną naszywką. Przekształcał Rzeczywistość. Manipulował przy mechanizmie przez kilka krótkich minut wyjętych z 223 wieku i wskutek tego pewien młody człowiek nie dotarł na odczyt z mechaniki, którego zamierzał

wysłuchać. W konsekwencji nigdy już nie studiował inżynierii słonecznej, przez co został zatrzymany rozwój pewnego zupełnie prostego urządzenia na dziesięć kluczowych lat. O dziwo, w rezultacie wojna w 224 wieku została usunięta z Rzeczywistości. Czy to jest dobre? Cóż stąd, że zmieniono osobowości? Nowe osobowości są tak samo ludzkie jak stare i tak samo zasługują na to, żeby żyć. Jeśli życie niektórych zostało skrócone, za to inni żyli dłużej i byli szczęśliwi. Wielkie dzieło literackie, pomnik ludzkiego intelektu i uczucia, nie zostało napisane w nowej Rzeczywistości, lecz parę egzemplarzy przechowano w bibliotekach Wieczności, prawda? A za to pojawiły się nowe twórcze dzieła.

Lecz ową noc Harlan spędził w męce bezsenności i kiedy wreszcie się zdrzemnął, przeżył coś, czego nie przeżywał od lat.

Śniła mu się jego matka.

Mimo tak trudnego początku wystarczył jeden fizjorok, by Harlan stał się znany w Wieczności jako Technik Twissella albo — z przekąsem — Cudowne Dziecko czy Nieomylny.

Jego kontakty z Cooperem stały się niemal wygodne. Nigdy się na dobre nie zaprzyjaźnili. (Gdyby nawet Cooper mógł się zmusić do robienia mu awansów. Harlan pewnie by nie wiedział, jak na to odpowiedzieć). Mimo to dobrze im się razem pracowało, a zainteresowanie Coopera historią Prymitywu wzrosło do tego stopnia, że niemal rywalizował z Harłanem.

Pewnego dnia Harlan powiedział do Coopera:

— Słuchaj, Cooper, nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby przyjść jutro? W tym tygodniu muszę się wybrać do wieku trzytysięcznego, żeby sprawdzić pewną obserwację, a człowiek, z którym chcę się zobaczyć, jest wolny dziś po południu.

W oczach Coopera zabłysła ciekawość:

— A czyja nie mógłbym pojechać?

— Chcesz?

— Pewnie. Nigdy nie byłem w kotle, poza tym, jak mnie tu przywozili z siedemdziesiątego ósmego, a wtedy w ogóle nie wiedziałem, co się dzieje.

Harlan używał kotła w szybie C, który niepisanym zwyczajem na całej swej niezmierzonej długości przez Stulecia był zarezerwowany dla Techników. Cooper nie zdradzał żadnego zakłopotania, gdy go tam zaprowadził. Wsiadł do kotła bez wahania i zajął miejsce w jego wklęsłej krzywiźnie.

Gdy jednak Harlan zaktywizował pole i uruchomił kocioł w przyszłość na twarzy Coopera odmalował się niemal komiczny wyraz zaskoczenia.

— Nic nie czuję — powiedział. — Czy coś jest nie w porządku?

— Wszystko w porządku. Nie czujesz nic, bowiem faktycznie się

nie poruszasz. Jesteś przepychany wzdłuż czasowego przedłużenia kotła. W rzeczy samej — Harlan wpadł w ton dydaktyczny — w tej chwili ty i ja, mimo pozorów, wcale nie jesteśmy materialni. Stu ludzi mogłoby używać tego samego kotła jednocześnie, poruszając się (jeśli można użyć tego słowa) z różnymi prędkościami w dowolnych kierunkach Czasu, przechodząc przez siebie nawzajem i tak dalej. Prawa zwykłego świata nie mają zastosowania w szybie kotła.

Cooper skrzywił się nieco, a Harlan pomyślał zawstydzony: chłopak uczy się inżynierii Czasu i wie więcej na ten temat niż ja. Gadam i robię z siebie durnia.

Zamilkł i patrzył z powagą na Coopera. Wąsy młodego człowieka urosły w ciągu miesięcy i opadły w dół, obramowując usta, jak to nazywali Wiecznościowcy — linią Mallansohna. Jedyna bowiem autentyczna fotografia wynalazcy Pola Czasowego (przy tym zła i nieostra) przedstawiała go właśnie z takimi wąsami. Z tego powodu zyskały one niejaką popularność wśród Wiecznościowców, jakkolwiek niewielu było z nimi do twarzy.

Cooper wpatrywał się z respektem w przesuwające się liczby oznaczające Stulecia.

— Jak daleko w przyszłość sięga ten szyb?

— Nie uczyli was tego?

— Ledwie wspomnieli o kotłach. Harlan wzruszył ramionami.

— Wieczność nie ma końca. I ten szyb też.

— Jak daleko w przyszłości pan bywał?

— Dziś jadę najdalej. Doktor Twissell był w 50 000 wieku.

— Wielki Czasie! — szepnął Cooper.

— To jeszcze nic. Niektórzy Wiecznościowcy docierali do 150 000 Stulecia.

— No i jak tam wygląda?

— Nijak — powiedział Harlan niechętnie. — Życie rozwija się bujnie, ale bez ludzi. Człowiek zniknął.

— Wszyscy wymarli? Wyginęli?

— Wątpię, czy ktoś to wie.

— Czy można by coś zrobić, żeby to zmienić?

— Owszem, od wieku 70000… — zaczął Harlan, a potem urwał nagle. — Och, do Czasu z tym. Zmieńmy temat.

Jeśli istniał przedmiot, który Wiecznościowcy traktowali niemal zabobonnie, były to właśnie Ukryte Stulecia, epoka między 70 000 a 150 000 wiekiem. Ten temat poruszało się rzadko. Tylko dzięki bliskiemu związkowi z Twissellem Harlan wiedział coś niecoś o tej erze. Chodziło o to, że Wiecznościowcy nie mogli wchodzić w Czas w tych tysiącach stuleci. Drzwi między Czasem i Wiecznością były nieprzenikliwe. Dlaczego? Nikt nie wiedział.

Z rzeczowych uwag Twissella Harlan wnioskował, że próbowano

dokonać Zmiany Rzeczywistości w Ukrytych Stuleciach, poczynając, od 70 000, lecz bez odpowiednich obserwacji w tej erze niewiele można było zdziałać.

Raz Twissell powiedział ze śmiechem:

— I tak któregoś dnia się przedrzemy. Tymczasem 70 000 Stuleci pod opieką to aż nadto.

Nie brzmiało to przekonująco.

— Co stanie się z Wiecznością po 150 000 wieku? — zapytał Cooper.

Harlan westchnął. Najwidoczniej nie da się zmienić tematu.

— Nic — odparł. — Sekcje istnieją, lecz po 70 000 Stuleciu nie ma Wiecznościowców. Sekcje trwająprzez miliony wieków, aż zniknie wszelkie życie, i dalej, aż Słońce przekształci się w gwiazdę Nova, i potem również. Nie ma końca Wieczności. Dlatego przecież nazywa się Wiecznością.

— Więc Słońce naprawdę przekształci się w Novą?

— Niewątpliwie. Nie mogłaby istnieć Wieczność, gdyby się to nie stało. Nova Soi jest naszym źródłem energii. Słuchaj, jak myślisz, ile energii potrzeba, by uruchomić Pole Czasowe? Pierwsze Pole Mallansohna trwało dwie sekundy i nie mogło utrzymać więcej niż główkę zapałki, a zużyło całodzienną produkcję elektrowni atomowej. Minęło prawie sto lat, nim stworzono Pole Czasowe grubości włosa i dość szerokie, by przyjąć energię promienistą Novej, i wtedy dało się rozbudować je tak, że mogło utrzymać człowieka.

Cooper westchnął:

— Chciałbym, żeby wreszcie przestali mnie uczyć równań i mechaniki Pola i zaczęli mówić coś interesującego. Gdybym żył w czasach Mallansohna…

— To nie nauczyłbyś się niczego. On żył w wieku 24, a Wieczność uruchomiono dopiero pod koniec 27 Stulecia. Wynalezienie Pola to nie to samo, co skonstruowanie Wieczności, wiesz przecież, a ludzie 24 wieku nie mieli najmniejszego pojęcia, co oznacza odkrycie Mallansohna.

— Wyprzedził swoje pokolenie?

— W dużym stopniu. Nie tylko wynalazł Pole Czasowe, ale opisał podstawowe związki, które umożliwiają Wieczność, i przepowiedział niemal wszystkie jej aspekty, z wyjątkiem Zmiany Rzeczywistości. Również i tego był już blisko… Ale zdaje się, że się zaraz zatrzymamy, Cooper. Wysiadaj pierwszy.

Opuścili pojazd.

Nigdy przedtem Harlan nie widział, żeby Starszy Kalkulator Laban Twissell się złościł. Ludzie mówili, że jest niedostępny jakimkolwiek wzruszeniom, że jest bezdusznym funkcjonariuszem Wieczności do tego stopnia, iż zapomniał dokładnie numeru swego

ojczystego Stulecia. Mówili, że we wczesnej młodości cierpiał na atrofię serca i że ma zamiast niego malutki komputer, zupełnie podobny do modelu, który zawsze nosi w kieszeni spodni.

Twissell nie robił nic, żeby zdementować tego rodzaju pogłoski. Wiele ludzi uważało, że sam w gruncie rzeczy w nie wierzy.

Harlan, jeśli nawet przeraził się jego wybuchu, to przede wszystkim był zdumiony faktem, że Twissell może okazywać gniew. Myślał, czy Twissell, gdy już nieco dojdzie do siebie, nie będzie się czuł upokorzony, że zawiodło go komputerowe serce, które okazało się jedynie nędznym narzędziem z mięśni i zastawek, podległym wrażeniom.

Twissell mówił skrzeczącym, starczym głosem:

— Ojcze Czasie, chłopcze, czy ty jesteś członkiem Rady Wszechczasów? Ty tutaj rządzisz? Ty mi mówisz, co mam robić, czy ja tobie? Czy ty wydajesz dyspozycje na wszystkie podróże w Czasie w tej sekcji? Czy mamy teraz wszyscy prosić ciebie o pozwolenie?

Przerywał sobie od czasu do czasu okrzykami w rodzaju: „Odpowiadaj!", po czym kipiąc z gniewu wywrzaskiwał dalsze pytania. Na ostatku powiedział:

— Jeśli jeszcze raz pozwolisz sobie na coś podobnego, skieruję cię do łatania instalacji, i to raz na zawsze. Zrozumiano?

Harlan odparł blady ze zdenerwowania:

— Nigdy mi nie mówiono, że Nowicjusza Coopera nie można zabierać do kotła.

To wyjaśnienie bynajmniej nie zadowoliło Twissella.

— Co to za tłumaczenie oparte na podwójnym przeczeniu, człowieku? Nigdy ci nie mówiono, żebyś go nie upijał, żebyś go nie ogolił do łysiny, nigdy ci nie mówiono, żebyś go nie kłuł cyrklem. Ojcze Czasie, a co ci powiedziano, żebyś z nim robił?

— Powiedziano mi, żebym go uczył historii Prymitywu.

— Więc rób to. I nic więcej! — Twissell rzucił na ziemię papierosa i gwałtownie zmiażdżył go nogą, jakby to była twarz jego śmiertelnego wroga.

— Chciałbym zwrócić uwagę, Kalkulatorze — odezwał się Harlan — że wiele Stuleci poprzedzających bieżącą Rzeczywistość przypomina w pewnym sensie specyficzne epoki Prymitywu pod takim czy innym względem. Moim zamiarem było zabrać go do tych Czasów, oczywiście pod staranną kontrolą przestrzenno-czasową. Miało to być coś w rodzaju wycieczki w teren.

— Co?! Czy nigdy nie zamierzasz, idioto, pytać mnie o pozwolenie? Dosyć tego. Ucz go historii Prymitywu. Żadnych wycieczek w teren. Żadnych doświadczeń laboratoryjnych. Następnym razem jeszcze weźmiesz się za Zmiany Rzeczywistości tylko po to, żeby mu pokazać, jak to się robi.

Harlan oblizał suche wargi, wymamrotał z trudem, że się zgadza na wszystko, i wreszcie pozwolono mu odejść…

Minęły dwa tygodnie, zanim jakoś się uspokoił po tej awanturze.

4. Kalkulator

Harlan był dwa lata Technikiem, zanim ponownie wstąpił w 482 Stulecie, po raz pierwszy od chwili, gdy je opuścił z Twissełlem. Ledwie mógł poznać tę epokę.

Ale epoka się nie zmieniła. To on się zmienił.

Dwuletni staż Technika to sprawa nie bez znaczenia. W pewnym sensie wzrosło jego poczucie stabilizacji. Nie potrzebował już uczyć się nowego języka, przyzwyczajać do nowych stylów ubierania i nowych sposobów życia przy każdym nowym projekcie Obserwacji. Z drugiej strony wywołało to pewnego rodzaju cofnięcie się w rozwoju. Niemal zapomniał, jak wygląda koleżeństwo, które jednoczyło wszystkich pozostałych Specjalistów w Wieczności.

Ale przede wszystkim rozwinęło się w nim poczucie siły, wynikające z faktu, że jest Technikiem. Trzymał w ręku losy milionów ludzi, a jeśli musiał z tego powodu kroczyć samotnie, to przynajmniej mógł kroczyć dumnie.

Mógł też, patrząc chłodno na Łącznika przy biurku w 482 Stuleciu, zaanonsować samego siebie urywanymi sylabami:

— Technik Andrew Harlan do Kalkulatora Finge'a w sprawie czasowego przydziału do 482 — lekceważąc błysk oczu mężczyzny, przed którym stał.

To było to, co niektórzy nazywali „spojrzeniem technicznym" — szybkie mimowolne zerknięcie na różowo-czerwony emblemat na ramieniu Technika, a potem wyraźny wysiłek, żeby nie spojrzeć znowu.

Harlan przypatrzył się znaczkowi na ramieniu tamtego mężczyzny. Nie był to żółty emblemat Kalkulatora, zielony — Biografisty, niebieski — Socjologa czy biały — Obserwatora. Nie był to żaden jednolity kolor Specjalisty. Po prostu niebieska naszywka na białym.

Ten człowiek był Łącznikiem, należał do pododdziału Obsługi, w ogóle nie był Specjalistą.

I on również obdarzył go „technicznym spojrzeniem".

Harlan zapytał z niejakim smutkiem:

— No?

Łącznik odpowiedział szybko:

— Dzwonię do Kalkulatora Finge'a, Techniku.

Harlan zapamiętał 482 wiek jako solidny i masywny, lecz teraz wydawał mu się niemal żałosny.

Przyzwyczaił się do porcelany i szkła 575 Stulecia, do fetysza czystości. Przyzwyczaił się do światła bieli i jasności, złamanej skąpymi smugami pastelowych barw.

Ciężkie stiukowe ozdoby 482 wieku, rozmazane kolory, płaszczyzny barwionego metalu były niemal odpychające.

Nawet Finge wyglądał inaczej, jakby pomniejszony. Dwa lata temu każdy jego gest wydawał się Obserwatorowi Harlanowi złowrogi i potężny.

Teraz, oglądany z samotnych wyżyn Techniki, ten człowiek robił wrażenie żałośnie zagubionego. Harlan przyglądał mu się, szukał czegoś w stosie arkuszy. Wyglądał tak, jakby miał zaraz podnieść głowę, z wyrazem człowieka, który uważa, że kazał swemu gościowi czekać akurat tyle, ile potrzeba.

Finge pochodził z nastawionego na energię 600 Stulecia. Twissell mówił o tym Harlanowi i to wyjaśniało wiele. Napady złego humoru Finge'a mogły wynikać z naturalnej niepewności ciężkiego mężczyzny, przyzwyczajonego do stabilności sił Pola i speszonego w kontakcie z nietrwałą materią. Jego skradający się krok (Harlan pamiętał dobrze koci chód Finge'a — często unosił głowę znad biurka i spostrzegał przed sobą Kalkulatora, nie usłyszawszy przedtem, że nadchodzi) nie był już teraz taki lekki i podstępny, lecz raczej trwożliwy i niepewny, jakby żył w ciągłym podświadomym strachu, że podłoga załamie się pod jego ciężarem.

Harlan pomyślał z satysfakcją: ten facet jest źle przystosowany do swojej sekcji. Prawdopodobnie tylko przekwalifikowanie mogłoby mu pomóc.

— Pozdrowienie, Techniku Harlan — powiedział Finge.

— Pozdrowienie, Kalkulatorze — odparł Harlan. Finge powiedział:

— Zdaje się, że w ciągu dwóch lat od chwili…

— Dwóch fizjolat — poprawił Harlan. Finge spojrzał ze zdziwieniem:

— Dwóch fizjolat, oczywiście — potwierdził.

W Wieczności nie było czasu w tym sensie, co w świecie zewnętrznym, lecz ciała ludzkie starzały się i to była nieunikniona miara czasu, nawet gdy nie towarzyszyły temu istotne zjawiska fizyczne. Fizjologicznie czas mijał, a w ciągu jednego fizjoroku w Wieczności człowiek starzał się tak jak w ciągu zwykłego roku w Czasie.

Lecz nawet najbardziej pedantyczni Wiecznościowcy rzadko pamiętali o tej różnicy. Przyjęte były zwroty: „Zobaczymy się jutro" albo „Nie widziałem się z tobą wczoraj", albo „Spotkamy się w przyszłym tygodniu" — jak gdyby istniało w Wieczności jutro czy wczoraj, czy przeszły tydzień w jakimkolwiek sensie poza fizjologicznym.

Przyjęto w Wieczności dwudziestoczterogodzinną „fizjologiczną" dobę, z uroczystym założeniem istnienia dnia i nocy, dziś i jutra.

Zaspokajało to instynkty ludzkie.

Finge powiedział:

— Od dwóch fizjolat, od chwili gdy pan odszedł, 482 Stuleciu grozi kryzys. Dość szczególny. Potrzebujemy teraz tak dokładnej obserwacji, jak nigdy dotychczas.

— Chcecie, żebym ja obserwował?

— Tak. W pewnym sensie powierzanie Technikowi obserwacji jest marnowaniem jego kwalifikacji, lecz pańskie poprzednie obserwacje były doskonałe pod względem jasności i wnikliwości. Znowu są nam potrzebne. A teraz naszkicuję tylko parę szczegółów.

Jakie miały być te szczegóły, nigdy się nie dowiedział, bo właśnie drzwi się otworzyły i Harlan przestał cokolwiek słyszeć.

Patrzył na osobę, która weszła.

Nie to, żeby nigdy przedtem nie widział w Wieczności dziewczyny. „Nigdy" byłoby zbyt mocnym słowem. Rzadko — owszem, ale nie nigdy.

Ale taka dziewczyna! I to w Wieczności!

Harlan spotykał wiele kobiet w swoich wędrówkach przez Czas, lecz w Czasie były one dla niego tylko przedmiotami, takimi jak ściany i sześciany, brony i wrony, koty i płoty. Były faktami, które należało obserwować.

W Wieczności dziewczyna była czymś zupełnie innym. A w dodatku taka dziewczyna! Ubrana była wedle mody wyższych klas 482

Stulecia, to znaczy: od góry niewiele więcej niż przezroczysta zasłona i skąpe, sięgające kolan spodnie poniżej. Spodnie, jakkolwiek nieprzezroczyste, podkreślały subtelne okrągłości sylwetki.

Włosy miała połyskliwie czarne, sięgające ramion, usta czerwono uszminkowane, górna warga leciutko, a dolna mocno, w przesadny łuk. Powieki i muszle uszne były pomalowane na bladoróżowo, reszta zaś młodej, niemal dziewczęcej twarzy pozostała mleczno-blada. Wysadzone klejnotami breloki opadały z barków na zgrabne piersi, zwracając na nie uwagę.

Usiadła przy biurku w rogu gabinetu Finge'a raz tylko unosząc powieki, by rzucić powłóczyste spojrzenie ciemnych oczu na Harlana.

Gdy Harlan znowu usłyszał głos Finge'a, Kalkulator właśnie mówił:

— Wszystko to uwzględni pan w oficjalnym raporcie, a tymczasem może pan się urządzić w swoirn dawnym gabinecie i sypialni.

Harlan znalazł się poza biurem Finge'a, ale nie pamiętał nawet, jak je opuścił. Prawdopodobnie wyszedł.

Uczucie, którego doznawał, można było określić jako gniew. Na miłość Czasu, Finge'owi nie powinno się na to pozwalać. To obraża

moralność. To kpiny…

Zatrzymał się, rozwarł zaciśniętą pięść, rozluźnił mięśnie twarzy. Ano, zobaczymy! Energicznie pomaszerował ku Łącznikowi.

Łącznik nie spojrzał mu w oczy i odezwał się ostrożnie:

— Tak, proszę pana?

— W biurze Kalkulatora Finge'a jest jakaś kobieta. Czy ona jest tu nowa? — zapytał Harlan.

Chciał to powiedzieć spokojnie. Zwykłym, obojętnym tonem. Tymczasem zabrzmiało to jak dźwięk cymbałów.

Ale obudziło Łącznika. W jego oku pojawiło się coś, co brata wszystkich mężczyzn. Jego spojrzenie było pojednawcze, uznał Technika za swojego chłopa.

— Myśli pan o tej babce… Ale ona jest zbudowana, co? Jak pole siłowe!

Harlan jąkał się nieco.

— Niech pan mi odpowie na pytanie.

Łącznik wytrzeszczył oczy i jego ożywienie znikło po części.

— To nowa — powiedział. — Czasowa.

— Co ona tu robi?

Powoli na twarz Łącznika wypełzał uśmiech, który zamienił się w kpiący grymas.

— Podobno ma być sekretarką szefa. Nazywa się Noys Lambent.

— W porządku. — Harlan obrócił się na pięcie i wyszedł.

Wyprawa obserwacyjna Harlana do 482 wieku odbyła się następnego dnia, lecz trwała tylko trzydzieści minut. Była to oczywiście jedynie wycieczka w celu zorientowania siew sytuacji. W drugim dniu wyruszył na półtorej godziny, a w trzecim w ogóle nie wyjeżdżał.

Zajmował się studiowaniem swych dawnych raportów, przypominaniem sobie tego, czego się poprzednio nauczył, szlifował swoją znajomość systemu językowego epoki, od nowa przyzwyczajał do ówczesnych ubrań.

Jedna Zmiana Rzeczywistości objęła już 482 Stulecie, ale była dość nieznaczna. Pewna klika, która była u władzy, odeszła, lecz poza tym nie wyglądało na to, by w społeczeństwie nastąpiły jakieś zmiany.

Nawet sobie nie uświadamiając, co robi, zaczął szukać w starych raportach wiadomości o arystokracji. Przecież z pewnością ją obserwował.

Obserwował, lecz z oddalenia, raporty były ogólnikowe. Jego dane dotyczyły arystokracji jako klasy, nie zaś poszczególnych jednostek.

Oczywiście zlecenia przestrzenno-czasowe nigdy nie wymagały ani nawet nie pozwalały mu na obserwowanie arystokracji od wewnątrz. Jakie były tego przyczyny? Oserwator nie wiedział. Teraz

denerwował się na samego siebie, czując wzrastające zaciekawienie tym tematem.

W ciągu trzech wspomnianych dni zdarzyło mu się przelotnie widzieć Noys Lambent cztery razy. Najpierw dostrzegał tylko jej strój i ozdoby. Teraz zauważył, że ma sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jest o pół głowy niższa od niego i dość szczupła; nosi się prosto i zgrabnie, co daje złudzenie, że jest wysoka. Jest starsza, niż wygląda na pierwszy rzut oka, być rnoże pod trzydziestkę, w każdym razie ma z pewnością ponad dwadzieścia pięć lat.

Zachowywała się spokojnie i z rezerwą, raz uśmiechnęła się do niego, gdy mijał ją w korytarzu, ale szybko spuściła oczy. Harlan odskoczył, by uniknąć otarcia się o nią, a potem ruszył dalej, czując gniew.

Pod koniec trzeciego dnia doszedł do przekonania, że jako Wiecznościowcowi pozostaje mu tylko jedno. Bez wątpienia jej sytuacja była dla niej wygodna. Bez wątpienia Finge działał zgodnie z prawem. Lecz jego niedyskrecja w tej materii, jego beztroska, pewność siebie niewątpliwie wykraczały przeciwko duchowi prawa i coś należało z tym zrobić.

Harlan zdecydował, że mimo wszystko nie ma nikogo w Wieczności, kogo by tak nie lubił jak Finge'a. Usprawiedliwienie, jakie dla niego znajdował jeszcze parę dni temu, teraz już nie istniało.

Rankiem czwartego dnia poprosił o prywatne spotkanie z Finge'em i otrzymał na to zgodę. Wszedł zdecydowanym krokiem i ku swemu zdziwieniu od razu przystąpił do rzeczy.

— Kalkulatorze Finge, proponuję, żeby pannę Lambent zwrócić Czasowi.

Oczy Finge'a zwęziły się. Wskazał Harlanowi krzesło, swój miękki, okrągły podbródek podparł złożonymi dłońmi, i zrobił grymas odsłaniający zęby.

— Proszę siadać. Uważa pan, że pannie Lambent brak kwalifikacji? Nie nadaje się na swoje stanowisko?

— O jej kwalifikacjach i zdolnościach, Kalkulatorze, nie mogę nic powiedzieć. Zależy to od zadań, do jakich jest przeznaczona, a ja nie zlecałem jej nic. Ale musi pan sobie uświadomić, że oddziałuje ona ujemnie na moralność tej sekcji.

Finge wpatrywał się w niego tak obojętnie, jakby umysł Kalkulatora rozważał abstrakcje niedostępne dla zwykłego Wiecznościowca.

— W jaki sposób oddziałuje ujemnie na moralność, Techniku?

— Nie trzeba nawet pytać — powiedział Harlan coraz bardziej wściekły. — Jej strój jest ekshibicjonistyczny. Jej…

— Chwileczkę, chwileczkę. Zaraz, Harlan. Był pan Obserwatorem w tej erze. Wie pan chyba, że jej strój jest zupełnie standardowy dla

482 Stulecia.

— W jej środowisku i w jej kręgu kulturowym nie miałbym o to żadnych pretensji, jakkolwiek twierdzę, że ten strój jest wyzywający nawet jak na 482 wiek. Pozwoli pan, że zachowam własne zdanie w tej sprawie. Tutaj, w Wieczności, taka osoba z pewnością jest nie na miejscu.

Finge wolno pokiwał głową. Wyglądało na to, że się świetnie bawi. Harlan zesztywniał. Finge powiedział:

— Jest tu w określonym celu. Spełnia bardzo ważną funkcję. Przebywa tu tylko czasowo. Niech pan tymczasem spróbuje znosić jej obecność.

Harlanowi drżały usta. Zaprotestował, a zbywano go byle czym. Do diabła z ostrożnością. Powie, co myśli.

— Mogę sobie wyobrazić, co jest tą „bardzo ważną funkcją". Ale to niemożliwe, żeby popisywał się pan nią tak jawnie.

Odwrócił się sztywno i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał go głos Finge'a.

— Techniku, pana związek z Twissellem przewrócił panu w głowie. To się powinno zmienić. A tymczasem niech mi pan powie, czy miał pan kiedyś (zawahał się, szukając odpowiedniego słowa) przyjaciółkę?

Z mozolną i obraźliwą dokładnością, nie odwracając się, Harlan cytował:

— „W celu uniknięcia uczuciowych komplikacji z Czasem Wiecznościowiec nie może się żenić. W celu uniknięcia uczuciowych komplikacji rodzinnych Wiecznościowiec nie może mieć dzieci".

Kalkulator powiedział poważnie:

— Nie pytałem o małżeństwo ani o dzieci. Harlan cytował dalej:

— „Przejściowe związki z Czasowcami mogą być zawierane tylko po złożeniu w Centralnym Zarządzie Zleceń Rady Wszechczasów podania o właściwą Biografię dla wchodzącej w grę kobiety z Czasu. Te związki wolno utrzymywać tylko wedle wymogów określonego zlecenia przestrzenno-czasowego".

— Istotnie. Czy występował pan kiedy o zezwolenie na związek czasowy, Techniku?

— Nie. Kalkulatorze.

— A nie zamierza pan?

— Nie, Kalkulatorze.

— Może jednak należałoby to zrobić. Dałoby to panu szerszy pogląd. Mniej by się pan interesował szczegółami stroju kobiety, mniej by się pan denerwował jej stosunkiem osobistym do innych Wiecznościowców.

Harlan wyszedł oniemiały z wściekłości.

Doszedł do wniosku, że dokonanie kolejnej niemal całodniowej

wycieczki do 482 Stulecia jest prawie niemożliwe (największy limit czasu ciągłego wynosił około dwóch godzin).

Był zdenerwowany i wiedział dlaczego. Finge! Finge i jego brutalna rada w sprawie związków z kobietami z Czasu.

Związki istniały. Wszyscy o tym wiedzieli. W Wieczności zawsze uświadamiano sobie konieczność kompromisu na rzecz potrzeb ludzi (już to sformułowanie budziło obrzydzenie Harlana), lecz ograniczenia związane z wyborem kochanek powodowały, że związki te nie były wcale łatwe ani częste. A od tych, co mieli szczęście uzyskać zezwolenie na taki związek, wymagano, by zachowywali jak najściślejszą dyskrecję ze zwykłej przyzwoitości i ze względu na innych Wiecznościowców.

Wśród niższych klas Wiecznościowców, szczególnie w Obsłudze, stale krążyły pogłoski (nadzieja mieszała się z oburzeniem) o imporcie kobiet, mniej lub bardziej na stałe, w celach oczywistych. Zawsze wymieniano Kalkulatorów i Biografistówjako grupy uprzywilejowane. Oni i tylko oni mogli decydować, które kobiety można wydobyć z Czasu bez groźby większej Zmiany Rzeczywistości.

Mniej sensacyjne (i w związku z tym mniej godne powtarzania) były plotki o kobietach z Czasu angażowanych w każdej sekcji przejściowo (jeśli pozwalała na to analiza czasowo-przestrzenna) do żmudnych zadań, takich jak gotowanie, sprzątanie i ciężka praca.

Ale zatrudnienie kobiety z Czasu, i to takiej kobiety, w charakterze sekretarki mogło oznaczać tylko, że Finge kicha na ideały, które uczyniły Wieczność tym, czym jest.

Niezależnie od życiowych wymogów, którym praktyczni mężczyźni Wieczności chcąc nie chcąc musieli ulegać, nikt nie wątpił, że idealny Wiecznościowiec jest człowiekiem pełnym poświęcenia, oddanym misji, którą ma spełniać dla poprawy Rzeczywistości i zwiększenia sumy ludzkiego szczęścia. Harlan uważał, że Wieczność jest czymś w rodzaju klasztorów w czasach Prymitywu.

Śniło mu się w nocy, że rozmawiał w tej sprawie z Twissellem. Twissell, idealny Wiecznościowiec, podzielał jego oburzenie. Śnił, że Finge został złamany, pozbawiony znaczenia. Śnił o sobie samym, że ma żółty znaczek Kalkulatora i wprowadza nowy porządek w 482 wieku, wielkodusznie wyznaczając Finge'owi stanowisko w Obsłudze. Twissell siedział obok niego, uśmiechając się z podziwem, gdy Harlan wypełniał nową kartę organizacyjną, czyściutko, porządnie, konsekwentnie i prosił Noys Lambent, żeby rozesłała kopie.

Lecz Noys Lambent była naga i Harlan obudził się drżący i zawstydzony.

Spotkał dziewczynę w korytarzu i odwracając wzrok cofnął się, by zrobić jej przejście.

Lecz Noys nie ruszyła się; patrzyła na niego, aż i on spojrzał jej w

oczy. Była cała barwą i życiem i Harlan poczuł otaczający ją lekki zapach perfum.

— Technik Harlan, prawda? — spytała.

Miał ochotę ofuknąć ją i odepchnąć z przejścia, lecz pomyślał, że ona nie jest winna temu wszystkiemu. Ponadto, żeby przejść dalej, musiałby jej dotknąć.

Więc tylko skinął głową.

— Tak.

— Mówiono mi, że jest pan ekspertem od naszego Czasu.

— Byłem w nim.

— Porozmawiałabym z panem chętnie na ten temat.

— Jestem zajęty. Nie będę miał czasu.

— Kiedyś chyba znajdzie pan chwilkę. Uśmiechnęła się do niego.

Harlan szepnął desperacko:

— Proszę, niech pani przejdzie. Albo niech się pani cofnie, żebym ja mógł przejść. Proszę!

Ruszyła wolno, kołysząc biodrami, a jemu krew napłynęła do twarzy.

Był zły na nią, że wprawia go w zakłopotanie, zły na siebie, że jest zakłopotany, a z jakiegoś niewiadomego powodu najbardziej zły na Finge'a.

Finge wezwał go po dwóch tygodniach. Na biurku Kalkulatora leżał arkusz perforowanej folii. Jej długość i zawiłość wzorów od razu powiedziały Harlanowi, że tym razem nie dotyczy to półgodzinnej wycieczki w Czas.

Finge zapytał:

— Czy zechce pan usiąść i zaraz odczytać to wszystko? Nie, nie okiem. Maszynowo.

Harlan obojętnie uniósł brwi i włożył arkusz w szczelinę komputera na biurku Finge'a. Arkusz stopniowo zagłębiał się we wnętrze maszyny, a w trakcie tego perforacja była tłumaczona na słowa, które ukazywały się na śnieżnobiałym prostokącie urządzenia wizualnego.

Mniej więcej w połowie tego procesu Harlan zerwał się i wyłączył komputer. Wyszarpnął arkusz z taką siłą, że mocna cellolitowa folia pękła.

— Mam drugą kopię — powiedział Finge spokojnie.

Lecz Harlan trzymał resztki arkusza w palcach, jakby mogły eksplodować.

— Kalkulatorze, w tym musi być jakaś pomyłka. Chyba nikt nie oczekuje, że wykorzystam dom tej kobiety jako bazę podczas prawie tygodniowego pobytu w Czasie.

Kalkulator ściągnął wargi.

— Czemu nie, jeśli takie są wymogi karty przestrzenno-czasowej?

Jeśli to się łączy z jakimiś osobistymi sprawami między panem a panną Lam…

— Nie ma żadnych osobistych spraw — zaprzeczył Harlan gorąco.

— Coś w tym rodzaju na pewno istnieje. Wyjaśnię więc nawet pewne aspekty zagadnienia Obserwacji. Oczywiście nie należy tego uważać za żaden precedens.

Harlan siedział bez ruchu. Myślał intensywnie i szybko. Normalnie duma zawodowa nie pozwoliłaby mu słuchać wyjaśnień. Obserwator czy powiedzmy Technik wykonywał swoją robotę bez pytania. I zazwyczaj żadnemu Kalkulatorowi nawet by się nie śniło udzielać mu wyjaśnień.

Tym razem jednak działo się coś niezwykłego. Harlan wysunął zarzuty w związku z dziewczyną, tak zwaną sekretarką. Finge bał się, że jego zażalenie może mieć dalsze skutki („Grzeszny pośpiech, kiedy nikt nie ściga" — pomyślał Harlan z ponurą satysfakcją i próbował sobie przypomnieć, gdzie wyczytał to zdanie).

Strategia Finge'a były oczywista. Kierując Harlana do mieszkania tej kobiety, będzie mógł wysunąć kontroskarżenie, jeśli sprawy zajdą dość daleko. Jego znaczenie jako świadka przeciwko Finge'owi zostanie w ten sposób unicestwione.

Oczywiście ma pozornie uzasadnione powody, by tam właśnie skierować Harlana, i zaraz o tym powie. Harlan słuchał niemal nie ukrywając lekceważenia.

Finge mówił:

— Jak pan wie, różne Stulecia uświadamiaj ą sobie istnienie Wieczności. Wiedzą, że nadzorujemy handel międzyczasowy. Uważają, że to nasza główna funkcja, i to jest dobrze. Mają również niejasne wyobrażenie, że istniejemy po to, by uchronić ludzkość od grożącej katastrofy. To raczej przesąd, ale mniej lub więcej zgodny z prawdą, a więc nam to nie szkodzi. Jesteśmy dla poszczególnych pokoleń czymś w rodzaju opiekunów i dajemy im pewne poczucie bezpieczeństwa. Pan to wszystko rozumie?

Harlan pomyślał: czy on uważa, że nadal jestem Nowicjuszem? Skinął głową. Finge ciągnął dalej:

— Jest jednak kilka spraw, o których nie mogą wiedzieć. Przede wszystkim o tym, w jaki sposób zmieniamy Rzeczywistość.

Niepewność losu, jaką taka świadomość by spowodowała, byłaby szkodliwa. Należy zawsze usuwać z Rzeczywistości wszelkie czynniki, które mogłyby do tego prowadzić, i nigdy się w tej sprawie nie wahaliśmy. Jednak istnieją jeszcze inne niepożądane przekonania o Wieczności, które powstają od czasu do czasu to w tym, to w innym Stuleciu. Zazwyczaj niebezpieczne poglądy reprezentują klasy rządzące danej ery. Te klasy utrzymują najwięcej kontaktów z nami, a jednocześnie mają w swych rękach ważki atut, zwany opinią

publiczną.

Finge urwał, jakby się spodziewał, że Harlan to skomentuje albo zada jakieś pytanie. Ale Harlan milczał.

Wobec tego podjął:

— Tuż po Zmianie Rzeczywistości 433-488; Numer seryjny F-2, która dokonała się jeden rok, fizjorok, temu, pojawiły się dowody, że wprowadzono do Rzeczywistości tego rodzaju niepożądane przekonania. Doszedłem do pewnych wniosków o naturze tych przekonań i przedstawiłem je Radzie Wszechczasów. Rada wstrzymuje się od zatwierdzenia ich, póki polegają na realizacji alternatywy o bardzo małym prawdopodobieństwie w układzie kalkulacyjnym.

Przed rozpoczęciem działania wedle moich zaleceń Rada domaga się potwierdzenia ich przez bezpośrednią obserwację. Jest to ogromnie delikatne zadanie. Dlatego też pana odwołałem i dlatego Kalkulator Twissell pozwolił pana odwołać. Ponadto musiałem wyszukać kogoś ze współczesnej arystokracji, kto by uważał, że praca w Wieczności będzie dość emocjonująca. Tę panią umieściłem w naszym biurze i trzymałem pod ścisłą obserwacją, by sprawdzić, czy nada się do tego celu…

Harlan pomyślał: pod ścisłą obserwacją, rzeczywiście!

I znowu jego gniew skoncentrował się raczej na Finge'u niż na tej kobiecie.

Finge mówił dalej:

— Ona się nadaje według wszelkich kryteriów. Obecnie zwrócimy ją jej Czasowi. Używając jej mieszkania jako bazy będzie pan mógł studiować życie społeczne jej środowiska. Czy rozumie pan teraz powód, dla którego trzymam tu tę dziewczynę, i dlaczego chcę, żeby pan przebywał w jej domu?

Harlan powiedział niemal z jawną ironią:

— Rozumiem to bardzo dobrze, zapewniam pana.

— W takim razie przyjmie pan tę misję.

Harlan wyszedł płonąc żądzą walki. Finge go nie przechytrzy. Nie da zrobić z siebie głupca.

Z pewnością ta żądza walki, postanowienie, że ukarze Finge'a, spowodowały, że czuł zapał i niemal radość, gdy myślał o swej kolejnej podróży do 482 Stulecia.

Z pewnością nic innego…

5. Kobieta z Czasu

Majątek Noys Lambent był dość izolowany, lecz niezbyt odległy od jednego z największych miast Stulecia. Harlan dobrze znał to miasto; znał je lepiej niż wielu jego mieszkańców. W swoich badawczych obserwacjach aktualnej Rzeczywistości zwiedził każdą dzielnicę i każde dziesięciolecie w zasięgu sekcji.

Znał to miasto zarówno w Czasie, jak i przestrzeni, potrafił je wyczarować w wyobraźni, patrzył na nie jak na organizm żyjący i rosnący, z jego klęskami i odrodzeniami, jego radościami i kłopotami. Teraz był w tym mieście w wyznaczonym tygodniu Czasu, jakby w momencie zatrzymania powolnego życia stali i betonu.

Co więcej, wstępne badania Harlana koncentrowały się coraz bardziej na „perioetach" — mieszkańcach, którzy odgrywali najważniejszą rolę w mieście, lecz żyli poza jego granicami w przestrzennej i — w pewnym stopniu — społecznej izolacji.

Wiek 482 był jednym z wielu wieków o nierównomiernym podziale bogactw. Socjologowie znali jakieś równanie określające to zjawisko. (Harlan widział to w druku, lecz niezbyt dobrze rozumiał). Można je było rozwiązać w dowolnym Stuleciu przy zastosowaniu trzech współczynników, a dla wieku 482 współczynniki te zbliżały się do granicy tego, co jeszcze było dopuszczalne. Socjologowie kręcili głowami, a Harlan słyszał, jak jeden z nich mówił, że jakiekolwiek pogorszenie tego stanu wraz z nowymi Zmianami Rzeczywistości będzie wymagało „najściślejszej obserwacji".

Jedno można było powiedzieć na temat niekorzystnych współczynników w równaniu określającym rozdział bogactw. Wskazywało to na istnienie klasy próżniaczej i rozwój atrakcyjnego stylu życia, który w najlepszym przypadku przyczyniał się do rozkwitu kultury i wykwintu. Póki druga szala wagi nie opadała zbyt nisko, póki klasa próżniacza, korzystając z przywilejów, nie zapominała o swych obowiązkach, póki jej kultura nie przyjmowała zbyt wyraźnej linii spadkowej, było to do przyjęcia: w Wieczności zawsze istniała tendencja do tolerowania odchyleń od idealnego wzoru podziału bogactw.

Wbrew swojej woli Harlan zaczął to rozumieć. Zazwyczaj jego nieco dłuższe pobyty w Czasie wymagały korzystania z hoteli w biedniejszych dzielnicach miast, gdzie człowiek może łatwo przebywać anonimowo, gdzie nie zwraca się uwagi na obcych, gdzie jeden nowy więcej lub mniej nic nie znaczy i w związku z tym tkanka Rzeczywistości nie zostaje poważniej naruszona, najwyżej nieco zadrży. Kiedy nie było tej pewności, kiedy istniało prawdopodobieństwo, że drżenie przekroczy punkt krytyczny i

naruszy znaczniejszą część domku z kart zwanego Rzeczywistością, Harlan nieraz musiał nocować gdzieś pod płotem na wsi.

I zwykle oglądał różne płoty, zanim stwierdził, który z nich w ciągu nocy będzie najmniej niepokojony przez wieśniaków, włóczęgów, a nawet biegające samopas psy.

Lecz teraz Harlan znajdował się na drugim biegunie społecznym i spał w łóżku o powierzchni z magnetyzowanej materii; było to szczególne połączenie materii i energii, na którą mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi w tym społeczeństwie. W Czasie była ona mniej rozpowszechniona niż czysta materia, lecz częściej spotykana niż czysta energia. Tak czy inaczej, dostosowywała się do ciała: była nieruchoma, gdy człowiek leżał bez ruchu, ustępowała, gdy się poruszył lub przekręcił.

Harlan z przykrością stwierdził, że takie rzeczy stanowią dla niego atrakcję, i docenił mądrość zasady, według której każda sekcja Wieczności miała żyć według przeciętnej swego Stulecia, a nie na jego najwyższym szczeblu. Dzięki temu mogła utrzymywać kontakt z problematyką i „duchem" Stulecia, nie identyfikując się zbytnio z przedstawicielami elity społeczeństwa.

Łatwo jest żyć jak arystokrata — pomyślał Harlan owego pierwszego wieczora.

A tuż przed zaśnięciem pomyślał o Noys.

Śnił, że znajduje się w Radzie Wszechczasów. Surowo wskazywał palcem i patrzył z góry na malutkiego, bardzo malutkiego Finge'a, który z trwogą słuchał werdyktu wykluczającego go z Wieczności i skazującego na stałą obserwację jednego z nieznanych Stuleci w odległej przyszłości. Uroczyste słowa potępienia wychodziły z ust samego Harlana, a po jego prawicy, tuż przy nim, siedziała Noys Lambent.

Najpierw jej nie zauważył, lecz jego oczy stale zerkały w prawo, a słowa zamierały na ustach.

Czyż nikt inny jej nie widzi? Reszta członków Rady, z wyjątkiem Twissella, spoglądała nieruchomo przed siebie; Twissell z uśmiechem odwrócił się do Harlana, patrząc poprzez dziewczynę, jakby jej wcale nie było.

Harlan chciał jej powiedzieć, by odeszła, lecz nie mógł wykrztusić ani słowa. Próbował ją uderzyć, lecz za każdym razem ręka opadała mu bezwładnie, a dziewczyna nie ruszała się. Jej ciało było chłodne.

Finge śmiał się… coraz głośniej, głośniej… ale… to była Noys Lambent.

Harlan otworzył oczy w jasnym świetle słonecznym i czas jakiś z przerażeniem patrzył na dziewczynę, nim sobie przypomniał, gdzie się oboje znajdują.

— Pan jęczał i tłukł poduszkę. Czy miał pan jakieś złe sny? Harlan

nie odpowiadał.

Mówiła dalej:

— Kąpiel dla pana jest gotowa. Ubranie również. Zorganizowałam zaproszenie na zebranie towarzyskie dziś wieczorem. Dziwnie się czuję, wracając do codziennego życia po tak długim pobycie w Wieczności.

Harlan był mocno zakłopotany tym potokiem słów.

— Mam nadzieję, że nie powiedziała im pani, kim jestem.

— Oczywiście, że nie.

Oczywiście, że nie! Finge powinien był zająć się tą drobnostką i lekko przekształcić pod narkozą pamięć dziewczyny — gdyby uznał to za potrzebne. Ale może nie widział takiej potrzeby Mimo wszystko miał ją „pod ścisłą obserwacją".

Ta myśl wzburzyła go.

— Wolałbym być sam, o ile to możliwe. Popatrzyła na niego niepewnie i wyszła.

Harlan w złym nastroju poddał się porannemu rytuałowi mycia i ubierania. Nie oczekiwał ciekawego wieczoru. Będzie musiał jak najmniej mówić, jak najmniej się ruszać, podpierać ściany. Ważne były tylko jego uszy i oczy, mózg zaś służył jedynie do sporządzenia końcowego raportu i ideałem byłoby, gdyby nie spełniał żadnych innych funkcji.

Zazwyczaj nie przeszkadzało mu, gdy jako Obserwator nie wiedział, czego właściwie szuka. Gdy był Nowicjuszem, uczono go, że Obserwator nie powinien mieć z góry wyrobionego poglądu na potrzebne informacje i oczekiwane konkluzje. Wpajano mu, że ta świadomość automatycznie zniekształciłaby jego spojrzenie, choćby starał się pracować jak najsumienniej.

Lecz w obecnych okolicznościach ta niewiedza była irytująca. Harlan mocno podejrzewał, że nie ma czego szukać, że w jakiś sposób bierze udział w grze Finge'a. Między tym a Noys…

Ze złością spojrzał na swoją postać z trójwymiarową dokładnością odbitą w reflektorze znajdującym się o pół metra od niego. Wydawało mu się, że wygląda śmiesznie w stroju z wieku 482, pozbawionym szwów i jaskrawym.

Gdy samotnie skończył śniadanie, dostarczone przez mekkano, przybiegła Noys Lambent.

Powiedziała bez tchu:

— Jest czerwiec, Techniku Harlan. Przerwał jej szorstko:

— Proszę nie używać tutaj tego tytułu. Co z tego, że jest czerwiec?

— Ale był luty, kiedy się zjawiłam… — urwała z powątpiewaniem — …w tamtym miejscu, a to było zaledwie miesiąc temu.

Harlan zmarszczył czoło.

— A jaki jest teraz rok?

— Och, rok jest właściwy.

— Jest pani pewna?

— Zupełnie pewna. Czyżby tam popełniono omyłkę? — miała kłopotliwy zwyczaj zbliżania się do niego, gdy rozmawiali, a leciutkim seplenieniem (rys stulecia raczej niż jej własny) przypominała małe bezradne dziecko. Ale Harlan nie dał się na to nabrać. Cofnął się.

— Nie popełniono omyłki. Została pani przeniesiona do tego miesiąca, ponieważ tak jest wygodniej. Faktycznie przebywała pani w Czasie przez cały ten okres.

— Ale jak mogłam? — Wyglądała na jeszcze bardziej wystraszoną. — Nic sobie nie przypominam. Czyżbym istniała podwójnie?

Harlan zirytował się bardziej niż było warto. Jak mógł jej wytłumaczyć istnienie mikrozmian powodowanych przez każdą interferencję w Czasie, które mogą przekształcić indywidualne życiorysy bez większego wpływu na całość Stulecia? Nawet Wiecznościowcy zapominali niekiedy, na czym polega różnica między mikrozmianami (małe „z") a Zmianami (duże „Z"), przekształcającymi Rzeczywistość w sposób widoczny.

Powiedział:

— Wieczność wie, co robi. Proszę nie pytać.

' Oznajmił to z dumą, jakby był Starszym Kalkulatorem, i osobiście zdecydował, że czerwiec jest właściwym momentem w Czasie i że mikrozmiana, wprowadzona przez opuszczenie trzech miesięcy, nie rozwinie się w Zmianę.

— Ale w takim razie straciłam trzy miesiące życia. Westchnął.

— Pani podróże w Czasie nie mają nic wspólnego z pani wiekiem fizjologicznym.

— Więc tak czy nie?

— Co tak czy nie?

— Straciłam trzy miesiące?

— Na miłość Czasu, kobieto, mówię pani wyraźnie. Nie straciła pani żadnego okresu w swym życiu. Nie może pani niczego stracić.

Cofnęła się na jego krzyk, a potem nagle zachichotała.

— Ma pan strasznie śmieszny akcent. Szczególnie kiedy się pan złości.

Zmarszczył brwi. Jaki akcent? Mówił językiem pięćdziesiątego tysiąclecia równie dobrze jak wszyscy w sekcji. A może nawet lepiej.

Głupia dziewczyna!

Znowu stanął przy reflektorze, wpatrując się w swe odbicie, które nawzajem wpatrywało się w niego. Między jego brwiami rysowały się głębokie pionowe bruzdy. Wygładził czoło i pomyślał: nie jestem

przystojny. Mam za małe oczy, uszy mi odstają, a podbródek jest za duży.

Dotychczas nigdy się nad tym nie zastanawiał, lecz teraz, dość niespodziewanie, wydało mu się, że przyjemnie byłoby być przystojnym.

Późno w nocy Harlan uzupełnił notatkami rozmowy, które nagrał, póki jeszcze wszystko miał świeżo w pamięci.

Jak zwykle w takich przypadkach, korzystał z molekularnego magnetofonu produkcji 55 Stulecia… W kształcie był to nie odznaczający się niczym szczególnym cylinderek długości około dziesięciu centymetrów i średnicy niewiele większej niż centymetr. Miał intensywną, ale nie zwracającą uwagi brązową barwę. Można go było łatwo umieścić w spince, kieszeni czy podszewce, w zależności od stylu ubrania, czy na przykład zawiesić u paska, guzika czy bransolety.

Niezależnie od tego, w jakim położeniu i gdzie umieszczony został magnetofon, miał on zdolność utrwalenia jakichś dwudziestu milionów słów na każdym z trzech poziomów energii molekularnej. Jeden koniec cylinderka był połączony z transliteratorem i odtwarzał głos w kuleczce znajdującej się. w uchu Harlana, a drugi koniec, poprzez pole elektromagnetyczne, łączył się z małym mikrofonem przy ustach — dzięki temu Harlan mógł słuchać i mówić równocześnie.

Każdy dźwięk, jaki się rozlegał w czasie „spotkania", powtarzał się teraz w jego uchu, a słuchając tego, Harlan wypowiadał słowa komentarza, które zapisywały się na drugim poziomie, skoordynowane z poziomem pierwszym, na którym nagrane było spotkanie. Na tym drugim poziomie opisywał swe wrażenia, omawiał ważniejsze sprawy, wskazywał związki. W końcu zrobił użytek z rejestratora molekularnego, by sporządzić raport — nie tylko zapis dźwiękowy, lecz również streszczenie.

Weszła Noys Lambent. Nie zasygnalizowała swego wejścia.

Harlan oburzony odłożył mikrofon i słuchawkę, schował je do molekularnego magnetofonu, umieścił wszystko w futerale i zatrzasnął go.

— Dlaczego pan jest stale taki zły na mnie? — zapytała Noys. Jej ramiona i ręce były nagie, a długie nogi majaczyły w lekko promieniującym pianolicie.

Powiedział:.

— Nie jestem zły. Nie mam dla pani żadnych uczuć. — 1 w owej chwili uważał, że jest to stwierdzenie absolutnie prawdziwe.

Spytała:

— Pan jeszcze pracuje? Pan musi być bardzo zmęczony.

— Nie mogę pracować, jeśli pani jest tutaj — powiedział kwaśno.

— Pan gniewa się na mnie. Przez cały wieczór nie zamienił pan

ze mną ani słowa.

— Starałem się w miarę możności nie mówić z nikim. Nie poszedłem tam, żeby mówić. — Czekał, aż Noys wyjdzie.

Lecz ona powiedziała:

— Przyniosłam panu coś do picia. Zauważyłam, że ten napój smakował panu na przyjęciu, a jedna szklanka nie wystarczy. Szczególnie jeśli ma pan zamiar pracować.

Spostrzegł za nią niewielkie mekkano, ślizgające się po gładkim polu siłowym.

Owego wieczora jadł niewiele, kosztując tylko potraw, o których obszernie meldował w poprzednich obserwacjach, lecz których (z wyjątkiem maleńkich próbek) starał się wtedy nie jeść. Wbrew woli smakowały mu. Wbrew woli podobał mu się pienisty, lekko zielony o miętowym smaku napój (raczej nie alkoholowy), który ostatnio był w modzie. Nie istniał on w tym Stuleciu przed dwoma fizjolatami i przed ostatnią Zmianą. Rzeczywistości.

Wziął drugą porcję od mekkano, poważnie skinąwszy głową Noys na znak podziękowania.

A dlaczego Zmiana Rzeczywistości, która nie miała fizycznego wpływu na Stulecie, wydała nowy napój? Cóż, nie jest Kalkulatorem, żeby zadawać sobie takie pytania. Poza tym najbardziej szczegółowo przygotowane Zmiany nie mogły całkowicie wyeliminować niepewności, wszystkich efektów ubocznych. Gdyby nie to, niepotrzebni byliby Obserwatorzy.

Byli sami w domu, Noys i on. Mekkano w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci osiągnęły szczyt popularności, której nie traciły jeszcze przez jedno dziesięciolecie w tej Rzeczywistości, a więc Noys nie zatrudniała służących.

Oczywiście, skoro kobiety tej epoki były równie niezależne materialnie, jak mężczyźni, i wedle własnej ochoty mogły mieć dzieci, bez konieczności fizycznego rodzenia, to wspólny pobyt z nimi nie mógł być niczym „nieprzyzwoitym”, przynajmniej według kryteriów 482 Stulecia.

Lecz Harlan czuł się skompromitowany.

Dziewczyna wyciągnęła się i podparła łokciem na sofie. Wzorzyste obicie mebla zapadło się pod nią, jakby ją chciało objąć. Zrzuciła przezroczyste buciki, a palce jej nóg zginały się i rozginały w elastycznym pianolicie miękko jak łapy leniwego kota.

Potrząsnęła głową, a to, co utrzymywało jej włosy upięte i skręcone w zawiłe zwoje w pewnej odległości od uszu, teraz rozluźniło się nagle. Włosy opadły jej na kark, a nagie kremowe ramiona stały się jeszcze bardziej kuszące przez kontrast z czernią włosów.

— Ile pan ma lat? — szepnęła.

To pytanie z pewnością powinien był zignorować. Było to pytanie

osobiste, a odpowiedź nie mogła jej obchodzić. W tym przypadku zamierzał odpowiedzieć z uprzejmym zdecydowaniem: „Czy pozwoli mi pani wreszcie pracować?”. Zamiast tego usłyszał własny głos:

— Trzydzieści dwa. — Oczywiście miał na myśli lata fizjologiczne. Powiedziała:

— Jestem młodsza od pana. Mam dwadzieścia siedem lat. Ale chyba nie zawsze będę wyglądała młodziej. Pan na pewno pozostanie taki jak teraz, gdy ja stanę się już starą kobietą. Dlaczego pan się zdecydował na trzydzieści dwa lata? Nie może pan tego zmienić wedle życzenia? Nie chce pan być młodszy?

— O czym pani mówi? — Harlan potarł czoło. Powiedziała miękko:

— Pan będzie żył zawsze. Jest pan Wiecznościowcem. Czy to było pytanie, czy stwierdzenie? Powiedział:

— Pani jest szalona. Starzejemy się i umieramy jak wszyscy ludzie.

— Może pan sobie mówić. — Jej głos zabrzmiał nisko, pieszczotliwie. Język pięćdziesiątego tysiąclecia, który dla Harlana brzmiał zawsze szorstko i nieprzyjemnie, teraz wydawał mu się melodyjny. Czy też to tylko pełny żołądek i perfumowane powietrze tak go otumaniły.

Powiedziała:

— Możecie oglądać wszystkie epoki, zwiedzać wszystkie rejony. Chciałam pracować w Wieczności. Czekałam bardzo długo, żeby mi pozwolili. Myślałam, że może zrobią mnie Wiecznościowcem, a potem odkryłam, że tam są tylko mężczyźni. Niektórzy nie chcieli nawet ze mną gadać, dlatego że jestem kobietą. I pan nie chciał ze mną rozmawiać.

— Wszyscy jesteśmy zajęci — wymamrotał Harlan, usiłując stłumić coś, co można by określić jedynie jako tępą satysfakcję. — Byłem bardzo zajęty.

— Ale dlaczego w Wieczności nie ma kobiet?

Harlan nie mógł się odważyć na odpowiedź. Co powiedzieć? Wiecznościowców dobierano z niezwykłą starannością, ponieważ musieli odpowiadać dwóm warunkom: po pierwsze musieli mieć odpowiednie uzdolnienia, po drugie — wydobycie tych ludzi z Czasu nie mogło wywierać ujemnego wpływu na Rzeczywistość.

Rzeczywistość! Oto słowo, którego nie wolno mu wspomnieć w żadnych okolicznościach. Zdawał sobie sprawę z coraz silniejszego zawrotu głowy i na chwilę przymknął oczy, żeby się pozbyć tego uczucia.

Ilu wspaniałych kandydatów pozostało w Czasie, ponieważ ich przesunięcie do Wieczności oznaczałoby, że nie przyszłyby na świat dzieci, nie zmarliby pewni mężczyźni i kobiety, nie zostałyby zawarte

pewne małżeństwa, nie zaistniałyby pewne wydarzenia i okoliczności, co spaczyłoby Rzeczywistość w stopniu, na jaki Rada Wszechczasów nie mogła się zgodzić.

Czy może jej niektóre z tych rzeczy powiedzieć? Oczywiście, że nie. Czyż może jej powiedzieć, że kobiety prawie nigdy nie kwalifikowały się do Wieczności, z jakiegoś powodu bowiem, którego nie rozumiał (Kalkulatorzy może rozumieli, ale on na pewno nie), wyłączenie z Czasu kobiety powodowało dziesięć do stu razy większe zniekształcenie Rzeczywistości niż wyłączenie mężczyzny.

Wszystkie te myśli mieszały mu się w głowie, gubiąc się, wirując i łącząc w luźne skojarzenia, co wywoływało groteskowe, nie całkiem zresztą nieprzyjemne efekty. Noys zbliżyła się do niego z uśmiechem.

Słyszał jej głos jak szmer wiatru.

— Och, wy, Wiecznościowcy! Jesteście tacy tajemniczy. Nie chcecie się niczym dzielić. Zróbcie mnie Wiecznościowcem.

Jej głos był teraz dźwiękiem, który nie rozpadał się na poszczególne słowa, subtelnie modulowaną melodią, która przenikała do jego umysłu.

Pragnął jej powiedzieć: w Wieczności nie ma nic wesołego. My pracujemy! Badamy wszystkie szczegóły wszystkich epok od początku Wieczności aż do dnia, gdy Ziemia będzie pusta, próbujemy zbadać wszystkie nieskończone możliwości, wszystkie „co by było, gdyby…" i wybrać „co by było", które jest lepsze od istniejącego; szukamy momentu w Czasie, kiedy można dokonać małej Zmiany, by spleść to, co jest, z tym, co mogłoby być, by otrzymać nowe, jest", a wtedy szukamy nowego „mogłoby być", stale i stale, i tak jest od czasu, gdy Vikkor Mallansohn odkrył Pole Czasowe w 24 Stuleciu, ongiś, w okresie Prymitywu, co umożliwiło rozpoczęcie Wieczności w dwudziestym siódmym, tajemniczy Mallansohn, o którym nikt nic nie wie, a który zapoczątkował Wieczność i nowe „być może" na zawsze, na zawsze i…

Potrząsnął głową, lecz nadal trwał zamęt myśli, coraz bardziej skłębionych, aż wreszcie wybuchł w gwałtownym błysku światła na jedną sekundę i zamarł.

Ta chwila wzmocniła go. Chciał, by się powtórzyła, lecz na próżno.

Napój miętowy?

Noys była jeszcze bliżej, w oszołomieniu widział jej twarz niezbyt wyraźnie. Czuł jej włosy na swoim policzku, ciepły powiew jej oddechu. Powinien był się cofnąć, lecz — rzecz dziwna — uznał, że nie chce.

— Gdybym została w Wieczności… — westchnęła prawie do jego ucha, chociaż ledwie mógł usłyszeć te słowa poprzez bicie własnego serca. Jej wargi były wilgotne i rozchylone. — A czy nie chciałbyś

tego?

Nie wiedział, co Noys ma na myśli, lecz nagle przestał się o to troszczyć. Wydawało mu się, że jest w płomieniach. Wyciągnął ramiona niezdarnie, na ślepo. Nie opierała się, złączyła się i zespoliła z nim.

Wszystko to działo się jak we śnie, jakby przeżywał to ktoś obcy.

Nie było to w najmniejszym stopniu tak odrażające, jak sobie wyobrażał. Wstrząs, objawienie — owszem, lecz nic odrażającego.

Nawet potem, gdy przytulała się do niego, z oczyma zamglonymi i z uśmiechem, wiedział, że musi głaskać jej wilgotne włosy z drżeniem rozkoszy.

Teraz zmieniła się całkowicie w jego oczach. Nie była kobietą ani w ogóle jednostką indywidualną. W dziwny i nieoczekiwany sposób stała się nagle kontynuacją jego samego, jego częścią.

Zlecenie przestrzenno-czasowe nic o tym nie wspominało, lecz Harlan nie czuł się winien. Tylko myśl o Finge'u wywołała silne wrażenie. Ale to nie było poczucie winy.

To była satysfakcja, nawet triumf.

Harlan nie mógł spać. Zawrót głowy już przeszedł, lecz pozostał niezwykły fakt, że po raz pierwszy w jego dojrzałym życiu dorosła kobieta dzieliła z nim łóżko.

Słuchał jej cichego oddechu, w ultramrocznej poświacie, do której wewnętrzne światło ścian i sufitu zostało zredukowane, widział jej ciało jedynie jako cień obok swego ciała.

Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, by poczuć ciepło i miękkość, lecz nie ośmielał się tego zrobić, żeby jej nie obudzić, cokolwiek by śniła. Jak gdyby śniła o nich obojgu, i o tym wszystkim, co się zdarzyło, a jej zbudzenie mogło to unicestwić.

Ta myśl wydawała się częścią tych dziwnych, niezwykłych myśli, jakie mu się nasunęły przedtem…

Były to dziwne myśli, między sensem a bezsensem. Próbował je przywołać na nowo, lecz nie mógł. Ale nagle przypomnienie ich sobie stało się dla niego bardzo ważne. Bowiem pamiętał, że na chwilę coś zrozumiał.

Nie miał pewności, co to było, i jego niepokój wzrastał. Dlaczego nie może sobie przypomnieć? Przecież tyle już wie…

Przez chwilę śpiąca obok dziewczyna przestała zaprzątać jego myśli. Zaraz, a gdybym poszedł śladem… Myślałem o Rzeczywistości i Wieczności… tak, i Mallansohn, i Nowicjusz!

Tu urwał. Dlaczego Nowicjusz? Dlaczego Cooper? Przecież o nim nie myślał.

Lecz jeśli nie, to dlaczego myśli teraz o Brinsleyu Sheridanie Cooperze?

Zmarszczył czoło. Jaka prawda łączy to wszystko? Co właściwie

próbuje wykryć? Co daje mu taką pewność, że coś w ogóle jest do wykrycia?

Harlan wzdrygnął się; zaczęło mu coś świtać, tak, już prawie wiedział.

Wstrzymał oddech, żeby tego nie przynaglać. Niech się skrystalizuje.

Niech się skrystalizuje.

I w ciszy owej nocy, nocy tak wyjątkowo doniosłej w jego życiu, przyszło mu do głowy wyjaśnienie i interpretacja wydarzeń, które w zwykłym, bardziej normalnym czasie nigdy, nawet na chwilę, by mu się nie objawiły.

Niech myśl pączkuje i rozkwita, niech rośnie, aż wyjaśni sto dziwacznych punktów, które bez tego po prostu pozostałyby dziwaczne.

Musi to prześledzić, potwierdzić w Wieczności, lecz w głębi swego serca był już przekonany, że poznał straszliwą tajemnicą, której nie dawano mu poznać.

Tajemnicę obejmującą całą Wieczność!

6. Biografista

Miesiąc fizjoczasu minął od tej nocy w czterysta osiemdziesiątym drugim, kiedy Harlan zaznajomił się z wieloma sprawami. Teraz, mierząc normalnym czasem, znajdował się niemal dwa tysiące Stuleci w przyszłości Noys Lambent, usiłując za pomocą kombinacji przekupstwa i pogróżek poznać, co ją oczekuje w nowej Rzeczywistości.

Był to czyn bardziej niż nieetyczny, ale przestał się o to troszczyć. W ciągu minionego fizjomiesiąca Harlan we własnym mniemaniu stał się przestępcą. Nie było co komentować tego faktu. Mnożąc swe zbrodnie nie staje się wiele większym przestępcą, natomiast może wiele zyskać.

Teraz w wyniku pewnych zbrodniczych machinacji (nie wysilał się, by używać łagodniejszego określenia) stał przed barierą 2456 Stulecia. Wejście w Czas było o wiele bardziej skomplikowane niż zwykłe przejście między Wiecznością a szybami kotłów. W celu wejścia w Czas należało starannie zgrać współrzędne określające dany rejon na powierzchni Ziemi i precyzyjnie wyznaczyć wewnątrz Stulecia żądany moment Czasu. Jednak mimo wewnętrznego napięcia Harlan operował sterami z łatwością i pewnością siebie człowieka o wielkim doświadczeniu i wielkim talencie.

Teraz znalazł się w maszynowni, którą przedtem widział na ekranie wewnątrz Wieczności. W tym fizjomomencie Socjolog Voy siedział bezpiecznie przed tym ekranem, obserwując ingerencję techniczną, która miała nastąpić.

Harlan nie śpieszył się. Maszynownia powinna pozostać pusta przez następne sto pięćdziesiąt sześć minut. Dla wszelkiej pewności karta przestrzenno-czasowa dawała mu tylko sto dziesięć minut, pozostawiając dalsze czterdzieści sześć jako zwyczajowy czterdzie-stoprocentowy „margines". Margines był pomyślany na wszelki wypadek, lecz nie spodziewano się, że Technik z niego skorzysta. „Zjadacz marginesów" nie bywał długo Specjalistą.

Jednak Harlan nie przypuszczał, by mu było potrzeba więcej niż dwie minuty z tych stu dziesięciu. Mając przymocowany na przegubie generator pola, tak by otaczała go aura fizjoczasu (można powiedzieć „opar Wieczności"), chroniony w ten sposób przed skutkami Zmiany Rzeczywistości, zrobił krok ku ścianie, wziął mały pojemnik z półki i umieścił go w starannie wybranym miejscu na innej półce poniżej.

Po czym wrócił do Wieczności, w sposób, który wydawał mu się równie prozaiczny, jak przejście przez drzwi. Gdyby tam siedział jakiś Czasowiec, zdawałoby mu się, że Harlan po prostu zniknął.

Mały pojemnik pozostał tam, gdzie go Technik położył. Nie

odgrywał bezpośredniej roli w historii. Pół godziny później ręka człowieka sięgnęła po niego, lecz go nie znalazła. Odszukano pojemnik za dalsze pół godziny, lecz tymczasem pole siłowe wyładowało się, a człowiek szalał z gniewu. Decyzja, której by nie podjęto w poprzedniej Rzeczywistości, została teraz podjęta w gniewie. Pewne spotkanie nie doszło do skutku; człowiek, który miał umrzeć, żył o rok dłużej w innych okolicznościach; inny, który miał żyć, zmarł nieco wcześniej.

Kręgi rozchodziły się coraz szerzej, osiągając maksimum w 2481 Stuleciu — w dwadzieścia pięć Stuleci po ingerencji. Potem intensywność Zmiany Rzeczywistości słabła. Teoretycy utrzymywali, że nigdy w nieskończoności efekty Zmiany nie zredukują się do zera, lecz pięćdziesiąt Stuleci od ingerencji jej skutki są już tak nikłe, że nie wykrywają ich najdokładniejsze komputery — i to jest praktycznie granica.

Socjolog Voy wpatrywał się w niebieskawy obraz 2481 Stulecia, gdzie wcześniej panowała gorączkowa ruchliwość portu kosmicznego. Podniósł głowę na widok Harlana. Mruknął coś, co mogło uchodzić za powitanie.

Zmiana właściwie zniszczyła port. Jego świetność znikła: budynki nie były już tymi wspaniałymi budowlami co ongiś. Rdzewiał jakiś statek kosmiczny. Nie było ludzi. Nie było ruchu.

Harlan pozwolił sobie na uśmieszek, który pojawił się na chwilę i zniknął. Była to MPO — Maksymalnie Pożądana Odpowiedź. I nastąpiła od razu. Zmiana niekoniecznie następowała w określonym momencie ingerencji Technika. Jeśli obliczenia potrzebne do ingerencji były niedokładne, mogły minąć godziny, a nawet dni, zanim dochodziło do Zmiany (licząc oczywiście w fizjoczasie). Zmiana miała miejsce tylko wtedy, gdy znikała wszelka dowolność.

Jeśli istniała jakakolwiek matematyczna szansa alternatywnych rozwiązań, Zmiana nie następowała.

Harlan był dumny z tego, że kiedy to on obliczał MPZ, kiedy to jego ręka dokonywała ingerencji, wszelka dowolność znikała od razu i Zmiana następowała natychmiast.

Voy powiedział miękko:

— To było bardzo piękne.

Słowa te zazgrzytały w uszach Harlana, jakby brukały piękno jego działania.

— Nie żałowałbym — powiedział — gdyby podróże kosmiczne w ogóle usunięto z Rzeczywistości.

— Nie? — spytał Voy.

— Jaka z nich korzyść? To wszystko nigdy nie trwa dłużej niż jedno czy dwa tysiąclecia. Ludzie czują się zmęczeni. Wracają na Ziemię, a kolonie zamierają. Potem znowu po czterech czy pięciu

tysiącleciach zaczynają na nowo i znowu kończy się to fiaskiem. To tylko strata ludzkiego geniuszu i wysiłku.

— Pan jest filozofem — oświadczył Voy sucho.

Harlan poczerwieniał. Szkoda słów — pomyślał. I zmieniając nagle temat zapytał gniewnie:

— Co z tym Biografistą?

— A o co chodzi?

— Zechce pan się porozumieć z tym człowiekiem… Do tej pory powinien mieć już jakieś wyniki.

Po twarzy Socjologa przemknął wyraz dezaprobaty, jakby chciał powiedzieć: zbytnio się pan niecierpliwi, ale oświadczył:

— Pan pozwoli ze mną, zobaczymy.

Tabliczka na drzwiach gabinetu głosiła: Neron Feruk, co uderzyło Harlana podobieństwem do imion dwóch władców w rejonie Morza Śródziemnego w czasach Prymitywu. (Cotygodniowe dyskusje z Cooperem wydatnie zwiększyły jego zainteresowanie Prymitywem).

Jednak tamten człowiek nie przypominał żadnego z władców, o ile Harlen mógł to ocenić. Był chudy niemal jak kościotrup, skóra opinała ciasno jego garbaty nos. Miał długie palce i przeguby — o wystających kostkach. Pieszcząc mały sumator, wyglądał jak śmierć ważąca duszę na szali.

Harlan stwierdził, że intensywnie wpatruje się w sumator. To było serce i krew Biografowania, skóra i kości, ścięgna, muskuły — wszystko. Naładuj go niezbędnymi danymi życia osobistego i równaniami Zmiany Rzeczywistości; zrób to, a on zacznie chichotać, jakby szydził — czasem przez minutę, czasem cały dzień — a potem wypluje możliwe wersje życia dla osoby badanej (w nowej Rzeczywistości). Każda taka wersja zaopatrzona jest w wyliczenie prawdopodobieństwa.

Socjolog Voy przedstawił Harlana. Feruk, z jawnym oburzeniem patrząc na znaczek Technika, kiwnął głową i kontynuował swe zajęcie.

Harlan zapytał:

— Czy Biografia tej młodej kobiety jest już gotowa?

— Nie. Powiem panu, jak będzie. — Biografista należał do ludzi, którzy pogardę dla Techników posuwali do jawnego chamstwa.

— Spokojnie, Biografisto — rzekł Voy.

Feruk miał brwi tak jasne, że niemal niewidoczne. Zwiększało to podobieństwo jego twarzy do czaszki kościotrupa. Przewrócił oczami w nagich oczodołach i spytał:

— Zniszczyliście statki kosmiczne? Voy skinął głową:

— Na jedno Stulecie.

Feruk wykrzywił wargi i coś wymamrotał. Harlan skrzyżował ramiona i patrzył nieruchomo na Biografi-stę, który wreszcie odwrócił

głowę, uznając swę porażkę.

Harlan pomyślał: on wie, że to również i jego wina. Feruk odezwał się do Voya:

— Jeśli już pan tu jest, niech pan powie, co, u Czasu, dzieje sią z tymi wnioskami o szczepionkę przeciwrakową? Nie jesteśmy jedynym Stuleciem, które ma serum antyrakowe. Dlaczego właśnie do nas wpływają wszystkie podania?

— Inne Stulecia otrzymują wcale nie mniej zgłoszeń. Przecież pan wie o tym.

— W takim razie powinni w ogóle nie przysyłać podań.

— Jak ich do tego zmusimy?

— Łatwo. Niech Rada Wszechczasów wstrzyma przyjęcia.

— Nie mam kontaktów z Radą Wszechczasów.

— Ale ma pan kontakty ze starym.

Harlan tępo, bez zainteresowania, przysłuchiwał się rozmowie. Przynajmniej pomagała mu ona zająć myśli drobiazgami, odwrócić je od chichoczącego sumatora. Wiedział, że „stary" to kierujący sekcją Kalkulator.

— Rozmawiałem ze starym — powiedział Socjolog — a on rozmawiał z Radą Wszechczasów.

— Bzdury. Po prostu przesłał schematyczne pisemko. On powinien o to walczyć. To przecież sprawa podstawowej polityki.

— Rada Wszechczasów nie jest teraz w nastroju do rozważania zmian w podstawowej polityce. Słyszał pan, jakie krążą plotki.

— Oczywiście, są bardzo zajęci. Gdy tylko trzeba się postawić, zaraz dowiadujemy się, że Rada jest zajęta czymś bardzo ważnym.

(Gdyby Harłan miał odpowiedni nastrój, z pewnością by się uśmiechnął w tym miejscu).

Feruk zastanawiał się przez chwilę, a potem wybuchnął:

— Większość ludzi nie rozumie tego, że surowica antyrakowa to nie to samo co sadzonki drzew czy maszyny rolnicze. Wiem, że każdą gałązkę świerka należy obserwować z punktu widzenia niepożądanych wpływów na Rzeczywistość, lecz serum antyrakowe zawsze ma związek z ludzkim życiem, a to jest sto razy bardziej skomplikowane.

— Trzeba się zastanowić! Pomyślcie, ile ludzi rocznie umiera na raka w każdym Stuleciu, które nie ma surowicy przeciwrakowej tego czy innego rodzaju. Ludzie nie chcą umierać, więc czasowe rządy w każdym Stuleciu bez końca wystosowują do Wieczności apele w rodzaju: „Bardzo prosimy o nadesłanie siedemdziesięciu pięciu tysięcy ampułek surowicy dla ludzi nieuleczalnie chorych, którzy są absolutnie niezbędni dla kultur, dane biograficzne w załączeniu".

Voy pokiwał głową:

— Wiem, wiem.

Lecz Feruk był nadal rozgoryczony:

— Człowiek czyta te dane, z których wynika, że każdy facet jest bohaterem. Śmierć każdego z nich stanowiłaby niepowetowaną stratę dla świata. Rozpracowuje się to. Widzi się, co byłoby z Rzeczywistością, gdyby każdy z nich żył, i — na miłość Czasu! — gdyby żyli w różnych zestawieniach.

W ubiegłym miesiącu zbadałem pięćset siedemdziesiąt dwa podania w sprawie raka. Siedemnaście, dosłownie siedemnaście Biografii nie pociągało za sobą niepożądanych zmian w Rzeczywistości. Nie było ani jednego przypadku prawdopodobieństwa pożądanej Zmiany Rzeczywistości, lecz Rada mówi, że przypadki neutralne mogą otrzymać surowicę. Względy ludzkie, wie pan. A więc siedemnastu ludzi w wybranych Stuleciach zostało wyleczonych w tym miesiącu.

I co się dzieje? Czy Stulecia są szczęśliwe! Nigdy w życiu! Jeden człowiek wyzdrowiał, a dziesięciu w tym samym Stuleciu, w tym samym Czasie, nie wyzdrowiało. Wszyscy pytają: dlaczego akurat ten? Możliwe, że faceci, których nie leczymy, są lepsi, może są to kochani przez wszystkich filantropi, a człowiek, którego wyleczyliśmy, bije i kopie leciwą matkę, jeśli ma akurat wolny czas, bo nie maltretuje swoich dzieci. Oni nic nie wiedzą o Zmianach Rzeczywistości, a nie możemy im tego powiedzieć.

Sami sobie robimy kłopoty, Voy, póki Rada Wszechczasów nie przesieje wszystkich podań i nie będzie zatwierdzała tylko tych, które wywołują pożądaną Zmianę Rzeczywistości. To wszystko. Albo leczenie zdaje się na coś ludzkości, albo koniec z tym. Dosyć tego gadania w stylu: „No, to nie przynosi szkody…”.

Socjolog słuchał tego z wyrazem łagodnego ubolewania na twarzy, wreszcie powiedział:

— Gdyby to jednak pan miał raka…

— Głupia uwaga. Czy na tym opieramy nasze decyzje? Nie byłoby nigdy Zmiany Rzeczywistości. Jakiś biedny frajer zawsze musi dostać kopniaka, prawda? Przypuśćmy, że to pan byłby tym frajerem…

I jeszcze jedna sprawa: Niech pan pamięta, że ilekroć przeprowadzamy Zmianę Rzeczywistości, coraz trudniej jest znaleźć następną dobrą Zmianę. Każdego fizjoroku wzrasta prawdopodobieństwo, że typowa Zmiana będzie gorsza. To oznacza, że liczba ludzi, których możemy wyleczyć, zmniejsza się tak czy inaczej. I będzie coraz mniejsza. Któregoś dnia będziemy mogli wyleczyć jednego pacjenta na fizjorok, nawet licząc neutralne przypadki. Niech pan o tym pamięta.

Harlan całkowicie stracił zainteresowanie. W swej pracy niejednokrotnie spotykał się z tego typu gadaniem. Psychologowie i Socjologowie w swych rzadkich introwersyjnych studiach Wieczności nazwali to identyfikacją. Ludzie identyfikowali się ze Stuleciem, z

którym byli związani zawodowo. Jego konflikty zbyt często stawały się ich konfliktami.

Wieczność, jak mogła, zwalczała plagę identyfikacji; żeby ją utrudnić, żaden pracownik nie mógł zostać przydzielony do sekcji w obrębie dwóch Stuleci od daty swego urodzenia. Wybierano przede wszystkim Stulecia o kulturze wyraźnie się różniącej od ojczystej (Harlan pomyślał o Finge'u i 482 wieku). Co więcej, przydziały zmieniano, gdy tylko reakcje ludzi zaczynały budzić podejrzenia. (Harlan nie dałby nawet szeląga z 50 Stulecia za to, że Feruk utrzyma swój przydział dłużej niż przez następny fizjorok).

A jednak ludzie identyfikowali się z głupiej tęsknoty za miejscem w Czasie (pragnienie Czasu; każdy o nim wiedział). Z jakiegoś powodu dotyczyło to szczególnie Stuleci o rozwiniętej komunikacji kosmicznej. Było to coś, co należało i można było zbadać, gdyby nie chroniczna niechęć Wieczności do introspekcji.

Miesiąc wcześniej Harlan pogardzałby Ferukiem jako niedołężnym sentymentalistą, opryskliwym bałwanem, który cierpi widząc, jak elektrograwitacja traci intensywność w nowej Rzeczywistości, i rekompensuje to sobie wymyślaniem na Stulecia domagające się szczepionki antyrakowej.

Możliwe, że złożyłby na niego raport. Byłoby to jego obowiązkiem. Na reakcjach tego człowieka najoczywiściej nie można już było polegać.

Teraz nie byłby w stanie tak postąpić. Nawet znajdował współczucie dla Feruka. Zbrodnia samego Harlana była o wiele cięższa.

Jak łatwo było znowu skierować myśli na Noys.

W końcu zasnął owej nocy i obudził się w świetle dziennym. Jasność przenikała przezroczyste ściany dokoła; jakby obudził się w chmurze wśród mglistego nieba.

Noys śmiała się do niego:

— Boże, jak trudno cię zbudzić!

Harlan przede wszystkim sięgnął po kołdrę, której nie było. Potem wróciła pamięć. Patrzył na Noys pustym wzrokiem, a twarz okryła mu się głęboką czerwienią. Jak powinien się teraz zachować?

Lecz przypomniało mu się coś innego i usiadł gwałtownie.

— Czy nie jest już przypadkiem po pierwszej? Ojcze Czasie!

— Dopiero jedenasta. Śniadanie czeka i masz mnóstwo czasu.

— Dziękują — wymamrotał.

— Prysznic przygotowany i ubranie również. Cóż miał powiedzieć?

— Dziękuję — wymamrotał.

Unikał jej wzroku podczas posiłku. Siedziała naprzeciw niego, nie jedząc, z podbródkiem opartym na dłoni: włosy miała sczesane na

jeden bok, a rzęsy nienaturalnie długie.

Śledziła każdy jego ruch, a on spuścił oczy, zastanawiając się, gdzie się podział wstyd, który powinien odczuwać.

Spytała:

— Dokąd idziesz o pierwszej?

— Na mecz aeropiłki — mruknął. — Mam bilet.

— To finałowa rozgrywka. Straciłam cały sezon z powodu tego przesunięcia czasu, wiesz. Kto wygra mecz, Andrew?

Poczuł się dziwnie słabo na dźwięk swego imienia. Potrząsnął głową i starał się nadać swojej twarzy surowy wygląd. (Do tej pory przychodziło mu to bardzo łatwo).

— Przecież na pewno wiesz. Przeprowadzałeś inspekcję całego tego okresu, prawda?

Właściwie powinien wyraźnie i chłodno zaprzeczyć, lecz zaczął się słabo tłumaczyć:

— Miałem dużo przestrzeni i czasu do zbadania. Nie znam takich drobnych szczegółów jak wyniki meczów.

— Och, po prostu nie chcesz mi powiedzieć.

Harlan nie dał żadnej odpowiedzi. Wetknął widelczyk w mały, soczysty owoc i podniósł go do ust. Po chwili Noys zapytała:

— Nie widziałeś przed swoim przybyciem, co się wydarzyło w sąsiedztwie?

— Nie znam szczegółów. N… Noys — Zmusił się, by wypowiedzieć jej imię.

Dziewczyna zapytała miękko:

— Nie widziałeś nas? Nie wiedziałeś przez cały czas, że… Harlan wyjąkał:

— Nie, nie, nie mogę widzieć samego siebie. Nie jestem w Rze… nie ma mnie tutaj, póki nie przybędę. Nie mogę wytłumaczyć… — Był podwójnie zmieszany. Po pierwsze, że ona o tym mówi. Po drugie, że omal się nie wygadał. „Rzeczywistość" była słowem najbardziej zakazanym w stosunku z Czasowcami.

Podniosła brwi, a jej oczy stały się okrągłe i nieco zdziwione:

— Wstydzisz się?

— To, cośmy zrobili, nie było właściwe.

— Dlaczego nie? — W 482 Stuleciu jej pytanie było absolutnie niewinne. — Czy Wiecznościowcom nie wolno? — Pytanie miało odcień żartobliwy, jakby pytała, czy Wiecznościowcom nie wolno jeść.

— Nie używaj tego słowa — powiedział Harlan. — Właściwie w pewnym sensie nie wolno.

— Dobrze, więc nic im nie mów. Ja też nie powiem. Obeszła stół i usiadła Marianowi na kolanach, odsunąwszy po drodze mały stolik jednym łagodnym i płynnym ruchem biodra.

Momentalnie zesztywniał i podniósł ręce gestem, który miał ją

powstrzymać. Ale bez skutku.

Pochyliła się i pocałowała go w usta, i nic już się mu nie wydawało wstydliwe. Nic, co się wiązało z Noys i z nim.

Nie był pewny, kiedy zaczął robić coś, do czego jako Obserwator nie miał etycznego prawa. To znaczy, zaczął zastanawiać się nad istotą problemu bieżącej Rzeczywistości i Zmiany Rzeczywistości, jaką planowano.

To nie niemoralność Stulecia, nie ektogeneza, nie matriarchat niepokoiły Wieczność. Wszystko to było już w poprzedniej Rzeczywistości i Rada Wszechczasów przyglądała się temu obojętnie. Finge powiedział, że chodzi o coś bardzo delikatnego.

A więc Zmiana ma być bardzo delikatna i będzie odnosiła się do grupy, którą obserwował. Przynajmniej to było oczywiste.

Będzie dotyczyła arystokracji, zamożnych, wyższych klas, które ciągnęły korzyści z istniejącego systemu.

Niepokoił go fakt, że z całą pewnością i Noys będzie w to wmieszana.

Następne trzy dni przewidziane w zleceniu przebył jakby w gęstniejącej chmurze, tłumiącej nawet radość płynącąz towarzystwa Noys.

— Co się stało? — spytała. — Przez pewien czas wydawałeś się zupełnie inny niż w Wiecz… w tamtym miejscu. Byłeś swobodny.

A teraz wydajesz się czymś zmartwiony. Czy to dlatego, że masz wrócić?

— Częściowo — odparł Harlan.

— Musisz?

— Muszę.

— No, a co by było, gdybyś się spóźnił? Harlan nieomal się uśmiechnął.

— Nie byliby zadowoleni, gdybym się spóźnił — powiedział i z utęsknieniem pomyślał o dwudniowym marginesie, dopuszczalnym w jego zleceniu.

Noys włączyła jakiś instrument muzyczny, który dobywał słodkie i skomplikowane melodie ze swego twórczego wnętrza, potrącając na chybił trafił nuty i akordy: przypadkowość była jednak ograniczona przez skomplikowane formuły matematyczne na korzyść kombinacji przyjemnych. Frazy muzyczne nie mogły się powtarzać, jak nie mogą się powtarzać płatki śniegu i jak płatki śniegu — nie mogły nie być piękne.

Zahipnotyzowany dźwiękiem Harlan wpatrywał się w Noys, a jego myśli krążyły wokół niej. Kim będzie w nowym przeznaczeniu? Kimkolwiek byłaby, nie będzie pamiętała Harlana. I kimkolwiek byłaby, nie będzie Noys.

On nie tylko kochał tę dziewczynę. (Dziwne, używał słowa

„kocham” w swych myślach po raz pierwszy i nawet nie zatrzymał się wystarczająco długo, by popatrzeć na to dziwo i zadumać się nad nim). Kochał kombinacje czynników: jej wybór strojów, jej chód, jej sposób mówienia, jej minki. Potrzeba było ćwierć stulecia życia i doświadczeń w określonej Rzeczywistości, by to wszystko mogło powstać. W poprzedniej Rzeczywistości, jeden fizjorok wcześniej, nie byłaby tą samą Noys. Nie będzie tą samą Noys w następnej Rzeczywistości.

Nowa Noys będzie może pod niektórymi względami koncepcyjnie lepsza, ale jedno wiedział na pewno: chce mieć tę Noys, tę, którą widzi w tej chwili, tę z istniejącej Rzeczywistości. Jeśli miała wady, pragnął również tych wad.

Co robić?

Nasuwały mu się różne rozwiązania, wszystkie nielegalne. Jedno z nich zakładało, że dowie się o charakterze Zmiany i ustali, jak dalece wpłynie ona na Noys. Oczywiście, mimo wszystko, człowiek nie może być pewny, że…

Z marzeń wyrwała Harlana martwa cisza. Znowu był w gabinecie Biografisty. Socjolog Voy obserwował go kątem oka. Trupia czaszka Feruka pochyliła się ku niemu.

A cisza była przenikliwa.

Natychmiast uświadomił sobie jej znaczenie. Trwało to tylko chwilę, sumator przestał klekotać.

Harlan podskoczył.

— Pan ma odpowiedź, Biografisto.

Feruk spojrzał na arkusiki folii, które trzymał w ręku.

— Tak, pewnie. To dosyć zabawne.

— Mogę zobaczyć? — Harlan wyciągnął rękę, która wyraźnie drżała.

— Tu nie ma nic do zobaczenia. Właśnie to jest zabawne.

— Jak to nic? — Harlan patrzył na Peruka oczyma, które nagle zaczęły go piec, aż wreszcie w miejscu, gdzie stał Feruk, pozostała tylko wydłużona, cienka plama.

Rzeczowy ton Biografisty otrzeźwił Harlana.

— Ta pani nie istnieje w nowej Rzeczywistości. Nie ma Zmiany osobowości. Po prostu jej nie ma i to wszystko. Znikła. Obliczyłem możliwe odmiany prawdopodobieństwa do 0,0001. Ona nigdzie nie pasuje. Prawdę powiedziawszy — długimi palcami potarł podbródek — nie bardzo rozumiem, jak pasowała do starej Rzeczywistości z tą kombinacją czynników, jaką mi pan podał.

Harlan niemal nie słyszał, co do niego mówią.

— Ale… przecież Zmiana była taka mała.

— Wiem. Dziwna kombinacja czynników. Proszę, chce pan folie?

Dłoń Harlana zacisnęła się na foliach, nie czując nic. Noys znikła?

Noys nie istnieje? Jakże to być może?

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu i usłyszał głos Voya.

— Źle się pan czuje, Techniku? — Dłoń cofnęła się nagle, jakby Socjolog pożałował nieostrożnego zetknięcia z ciałem Technika.

Harlan przełknął ślinę i z wysiłkiem przybrał spokojny wyraz twarzy.

— Czuję się zupełnie dobrze. Odprowadzi mnie pan do szybu? Nie wolno mu okazywać swoich uczuć. Musi działać, jakby to, co tu przedstawił, było czysto akademicką kwestią. Musi ukryć fakt, że wiadomość o braku Noys w nowej Rzeczywistości przyjął z ogromnym podnieceniem i radością.

7. Preludium zbrodni

Harlan wstąpił do kotła w 2456 Stuleciu i spojrzał na siebie, by się upewnić, że bariera odgradzająca szyb od Wieczności jest rzeczywiście bez skazy, że Socjolog Voy nie patrzy. W ostatnich tygodniach stało się to jego zwyczajem, mechanicznym odruchem — to szybkie spojrzenie przez ramię, żeby się upewnić, że nikogo poza nim nie ma w przewodach kotła.

A wtedy, chociaż był już w 2456 Stuleciu, nastawił sterowanie kotła na przyszłość. Patrzył, jak rosną liczby na temporometrze. Jakkolwiek zmieniały się z ogromną szybkością, pozostało trochę czasu na rozmyślania.

Jakże odkrycie Biografisty zmieniło sprawę! Jakże zmieniła się sama natura jego zbrodni!

Teraz wszystko zależy od Finge'a. To zdanie dudniło rytmicznie w głowie Harlana. Wszystko zależy od Finge'a. Wszystko zależy od Finge'a…

Harlan unikał jakiegokolwiek osobistego kontaktu z Finge'em od chwili swego powrotu do Wieczności po dniach spędzonych z Noys w 482 Stuleciu. Wraz z Wiecznością opanowywało go poczucie winy. Złamanie przysięgi służbowej, które wydawało się niczym w 482, było czymś potwornym w Wieczności.

Raport wysłał pocztą pneumatyczną i wycofał się do swego prywatnego mieszkania. Musiał to wszystko przemyśleć, zyskać na czasie, żeby się zastanowić i przyzwyczaić do nowej, rodzącej się w nim orientacji.

Finge przeszkodził temu. Połączył się z Harlanem w niecały kwadrans po zakodowaniu przez niego adresu raportu i włożeniu go do rury poczty pneumatycznej.

Obraz Kalkulatora pojawił się na płycie wizjofonu, a głos oznajmił:

— Spodziewałem się, że jest pan w swoim gabinecie. Harlan powiedział:

— Przesłałem raport, Kalkulatorze. Nie ma znaczenia, gdzie czekam na nowe dyspozycje.

— Tak? — Finge rozwinął rolkę folii, którą trzymał w ręku, podniósł do oczu i wpatrywał się z ukosa w jej perforowany wzór. — Raport nie jest kompletny — podjął. — Czy mogę przyjść do pana?

Harlan zawahał się przez chwilę, Ten człowiek był jego przełożonym i odmowa miałaby posmak niesubordynacji. To by wyglądało na jawne przyznanie się do winy, a wrażliwe, zmęczone sumienie Harlana wzbraniało się przed tym.

— Proszę bardzo, Kalkulatorze — powiedział sucho.

Pulchna osoba Finge'a wniosła drażniący element epikurejski do surowej kwatery Harlana. Ojczyste Stulecie Harlana miało skłonność do spartańskiego umeblowania wnętrz i Harlan nigdy całkowicie nie stracił upodobania do tego stylu. Walcowate metalowe krzesła pokryte były matowym lakierem, sztuczne ziarnowanym, tak że przypominał drewno (jakkolwiek niezbyt udatnie). W jednym z rogów pokoju stał nieduży mebel, który jeszcze bardziej nie pasował do obyczajów czasu.

Finge natychmiast zwrócił na niego uwagę i dotknął pulchnym palcem, jakby chciał sprawdzić jego kompozycję.

— Co to za materiał?

— Drewno, Kalkulatorze — odparł Harian.

— Prawdziwe? Autentyczne drewno? Zdumiewające! Używaliście drewna w waszym Stuleciu?

— Używaliśmy.

— No tak. W regulaminach nie ma żadnego zakazu, Techniku — Finge wytarł o nogawkę spodni palec, którym dotknął przedmiotu. — Nie wiem jednak, czy powinno się pozwalać, by oddziaływała na nas kultura naszego Stulecia. Prawdziwy Wiecznościowiec przyjmuje taką kulturę, jaka go otacza. Osobiście wątpię, czy w ciągu ostatnich pięciu lat jadłem ze dwa razy z energetycznych naczyń. — Westchnął. — A jednak zetknięcie pokarmu z materią zawsze wydawało mi się niehigieniczne. Ale nie pobłażam sobie. Nie pobłażam.

Znowu spojrzał na drewniany przedmiot, lecz teraz ręce założył do tyłu. Zapytał:

— Co to jest? Do czego to służy?

— To szafa na książki — odparł Harian. Miał ochotę spytać Finge'a, jak się czuje teraz, z rękami założonymi do tyłu. Czy nie uważa, że higieniczniej byłoby, gdyby jego ubranie i całe ciało zrobione było z czystych i nieskalanych pól energetycznych?

Finge uniósł brwi.

— Szafa na książki. Więc te obiekty stojące na półkach są książkami? Tak?

— Tak jest, Kalkulatorze.

— Autentyczne okazy?

— Wyłącznie, Kalkulatorze. Zebrałem je w 24 Stuleciu. Mam nawet kilka sztuk z dwudziestego. Jeśli… jeśli pan zamierza je przejrzeć, prosiłbym o ostrożność. Kartki zostały zakonserwowane i impregnowane, ale nie są z folii. Trzeba się z nimi obchodzić ostrożnie.

— Nie be.de ich dotykał. Nie mam zamiaru. Myślę, że jest na nich oryginalny kurz dwudziestego Stulecia. Prawdziwe książki! — Zaśmiał się. — Kartki z celulozy również? Tak pan sugerował.

Harlan skinął głową.

— Celuloza przystosowana dzięki impregnacji do dłuższego istnienia. Tak…Otworzył usta, by głęboko wciągnąć powietrze, zmuszając się do zachowania spokoju. Byłoby śmieszne identyfikowanie się z tymi książkami, jakby plamka na nich była plamą na nim samym.

— Ośmielam się powiedzieć — Finge nadal trzymał się tematu — że cała zawartość tych książek zmieściłaby się na dwóch metrach filmu, a więc na czubku palca. Co one zawierają?

Harlan powiedział:

— Są to oprawne roczniki czasopisma z 20 wieku.

— Czytał pan to?

Harlan oświadczył dumnie:

— To tylko wybrane tomy z pełnej kolekcji, jaką mam. Żadna biblioteka w Wieczności nie posiada duplikatów tych egzemplarzy.

— Tak, to pana hobby. Przypominam sobie, że pan mi kiedyś mówił o swoim zainteresowaniu Prymitywem. Byłem zdumiony, że pana Edukator w ogóle panu pozwolił na rozwijanie zainteresowań w tym kierunku. To marnowanie energii.

Harlan zacisnął wargi. Uznał, że ten człowiek świadomie usiłuje go zirytować, pozbawić zdolności spokojnego myślenia. Jeśli tak, nie można dopuścić, by mu się to udało.

Harlan odparł sucho:

— Sądziłem, że przyszedł pan, żeby porozmawiać o moim raporcie.

— Owszem — Kalkulator rozejrzał się, wybrał krzesło i usiadł ostrożnie. — Raport nie jest kompletny, jak już powiedziałem przez wizjofon.

— Jak to, Kalkulatorze? — (Spokojnie! Spokojnie!). Twarz Finge'a wykrzywił nerwowy uśmiech.

— Co takiego się zdarzyło, o czym jednak pan nie wspomniał, Harlan?

— Nic, Kalkulatorze. — Jakkolwiek powiedział to zdecydowanym tonem, czuł się jak łajdak.

— Ależ, Techniku! Spędził pan pewien okres w towarzystwie młodej damy. Albo przynajmniej powinien pan spędzić, jeśli wykonał pan zalecenia karty przestrzenno-czasowej.

— Wykonałem je — zdołał tylko powiedzieć Harlan.

— I co się zdarzyło? Nie wspomniał pan nic o swych prywatnych kontaktach z kobietą.

— Nie zdarzyło się nic ważnego — powiedział Harlan suchymi wargami.

— To śmieszne. Nie muszę mówić, że Obserwatorowi nie wypada osądzać, co jest ważne, a co nie. Ma pan swoje lata i doświadczenie.

Finge przenikliwie wpatrywał się w Harlana. Jego wzrok był

twardszy i bardziej natarczywy, niżby można sądzić po łagodnym sposobie zadawania pytań.

Harlan wiedział to doskonale i spokojny ton Finge'a nie mógł go zwieść, lecz dręczyło go poczucie obowiązku. Jako Obserwator był tylko zmysłowo-percepcyjnym pseudopodem, wysuniętym przez Wieczność w Czas. Badał swoje otoczenie, po czym ściągano go z powrotem. Wykonując funkcję Obserwatora nie miał własnej osobowości, właściwie nie był człowiekiem.

Prawie automatycznie Harlan rozpoczął opowiadanie o wydarzeniach, które opuścił w raporcie. Robił to jak rutynowany Obserwator, dokładnie, co do słowa cytując rozmowy, rekonstruując intonację i wyraz twarzy. Robił to z przyjemnością, opowiadając bowiem przeżywał wszystko na nowo i niemal zapomniał przy tym, że zadawane przez Finge'a pytania, w połączeniu z własnym uspokajającym poczuciem obowiązku, prowadzą wprost do wyznania winy.

Dopiero gdy zaczął się zbliżać do końcowego rezultatu owej pierwszej długiej rozmowy, zawahał się i na jego obserwatorskim obiektywizmie pojawiły się rysy.

Oszczędzono mu dalszych szczegółów, bo Finge nagle podniósł rękę i oznajmił ostro i sucho:

— Dziękuję. To wystarczy. Pan zamierza powiedzieć, że doszło do stosunku między panem a tą kobietą.

Harlan wpadł w gniew. To, co Finge powiedział, było absolutną prawdą, lecz ton jego głosu powodował, że brzmiało to sprośnie, grubiańsko, a — co gorsza — banalnie. A czymkolwiek to było albo mogło być, nie miało nic wspólnego z banałem.

Harlan potrafił wyjaśnić zachowanie się Finge'a, jego dokuczliwe śledztwo, fakt, że przerwał meldunek akurat w tym momencie. Finge był zazdrosny! Mógłby przysiąc, że przynajmniej to jest oczywiste. Technikowi udało się. odbić dziewczynę, którą Finge uważał za swoją.

Harlana ogarnęło słodkie uczucie triumfu. Po raz pierwszy w życiu widział cel, który znaczył dlań więcej niż surowe wypełnianie praw Wieczności. Chciał, żeby Finge był zazdrosny, bo Noys Lambent miała teraz na zawsze pozostać z Harlanem.

W nastroju nagłego uniesienia zgłosił wniosek, który pierwotnie zamierzał przedstawić po odczekaniu czterech czy pięciu dni. Powiedział:

— Mam zamiar poprosić o zezwolenie na związek z kobietą z Czasu. Wydawało się, że Finge obudził się z zadumy.

— Z Noys Lambent, przypuszczam.

— Tak jest. Musi to przejść przez pana ręce jako Kalkulatora kierującego sekcją…

Harlan chciał, żeby to przeszło przez ręce Finge'a. Niech cierpi.

Jeśli sam ma ochotę na tę dziewczynę, niech to powie, a Harlan będzie mógł nalegać, by Noys pozwolono na dokonanie wyboru. Niemal się przy tym uśmiechnął. Miał nadzieję, że do tego dojdzie. To będzie jego ostateczny triumf.

Zazwyczaj, oczywiście, Technik nie mógł nawet marzyć, żeby wygrać taką sprawę z Kalkulatorem, lecz Harlan był pewny, że może liczyć na poparcie Twissella, a Finge nie dorósł jeszcze do tego, żeby walczyć z Twissellem.

Jednak Finge wyglądał na spokojnego.

— Wydaje się — powiedział — że pan już nielegalnie posiadł tę dziewczynę.

Harlan poczerwieniał i zaczął się słabo bronić.

— Karta przestrzenno-czasowa polecała, żebyśmy pozostawali sam na sam. Ponieważ nic z tego, co się zdarzyło, nie było wyraźnie zabronione, nie czuję się winien.

Było to kłamstwo, a z wyrazu niemal rozbawienia na twarzy Finge'a można było wyczuć, że on o tym wie.

— Będzie Zmiana Rzeczywistości — powiedział.

— Jeśli tak — rzekł Harlan — poproszę o związek z panną Lambent w nowej Rzeczywistości.

— Nie sądzę, żeby to było rozsądne. Teraz nic pan nie wie na pewno. W nowej Rzeczywistości ona może być mężatką, może być ułomna. Właściwie ona pana nie będzie chciała. Tak, nie będzie chciała.

Marian zadrżał.

— Pan nic nie wie na ten temat.

— Czyżby? Pan sobie wyobraża, że ta pańska wielka miłość to sprawa dwojga dusz? Że przetrwa wszelkie zewnętrzne zmiany? Czytuje pan powieści z Czasu?

Harlan został zmuszony do szczerości.

— Po pierwsze, nie wierzę panu.

— Bardzo mi przykro — oświadczył Finge chłodno.

— Pan kłamie. — Harlan nie troszczył się już teraz o to, co mówi. — Pan jest zazdrosny. Miał pan plany w stosunku do Noys, lecz ona wybrała mnie.

Finge powiedział:

— Czy pan uświadamia sobie…

— Uświadamiam sobie dużo. Nie jestem głupcem. Nie jestem Kalkulatorem, ale nie jestem również idiotą. Mówi pan, że ona nie będzie mnie chciała w nowej Rzeczywistości. Skąd pan wie? Nie wie pan nawet, jaka będzie ta nowa Rzeczywistość. Nie wie pan, czy w ogóle musi nastąpić ta nowa Rzeczywistość. Dopiero co otrzymał pan mój raport. Trzeba go przeanalizować, zanim można będzie skalkulować Zmianę, a cóż dopiero wystąpić o akceptację. Więc

mówiąc, że zna pan naturę Zmiany, pan kłamie.

Finge mógł zareagować na kilka różnych sposobów i podniecony Harlan uświadamiał to sobie. Nie próbował między nimi wybierać. Finge mógł wyjść udając bardzo obrażonego. Mógł wezwać agenta Bezpieczeństwa i aresztować Technika za niesubordynację; mógł zacząć wrzeszczeć tak jak Harlan; mógł natychmiast połączyć się z Twissellem i złożyć oficjalne zażalenie; mógł… mógł…

Finge nie zrobił nic w tym rodzaju.

Powiedział spokojnie:

Siadaj, Harlan, musimy o tym pomówić.

A ponieważ tego typu reakcja była całkowicie nieoczekiwana, Harlan otworzył usta i usiadł zmieszany. Jego zacietrzewienie minęło. Co to może być?

— Pamięta pan oczywiście — powiedział Finge — jak mówiłem, że zlecony panu problem w 482 Stuleciu polega na niepożądanym stosunku Czasowców bieżącej Rzeczywistości do Wieczności. Przypomina pan sobie, prawda? — Mówił z łagodnym naciskiem, jak nauczyciel do nieco ograniczonego ucznia, jednak Harlanowi wydawało się, że dostrzega twardy błysk w jego oczach.

— Niewątpliwie — odparł Harlan.

— Pamięta pan, jak mówiłem, że Rada Wszechczasów nie chciała akceptować mojej analizy sytuacji bez specjalnych obserwacji potwierdzających. Czy nie sugeruje to panu, że już skalkulowałem potrzebną Zmianę Rzeczywistości?

— A moje obserwacje potwierdzają założenia?

— Potwierdzają.

— Więc właściwe ich zanalizowanie wymaga czasu.

— Nonsens. Pana raport nie ma żadnego znaczenia. Potwierdzeniem było to, co mi pan powiedział przed chwilą.

— Nie rozumiem.

— Niech pan słucha, Harlan, i pozwoli sobie powiedzieć, co jest nie w porządku z 482 Stuleciem. Wśród wyższych klas społeczeństwa, szczególnie wśród kobiet, pokutuje mniemanie, że Wieczno-ściowcy są naprawdę wieczni; dosłownie, że żyją wiecznie… Wielki Czasie, człowieku, Noys Lambent ci to powiedziała. Powtórzyłeś mi jej oświadczenie dwadzieścia minut temu.

Harlan patrzył tępo na Finge'a. Przypominał sobie słodki, pieszczotliwy głos Noys; gdy pochyliła się ku niemu i patrzyła mu w oczy. „Pan żyje wiecznie. Jest pan Wiecznościowcem?".

Finge kontynuował:

— Takie przekonanie jest niedobre, ale jeszcze nie tak bardzo groźne. Może sprawiać pewne kłopoty, zwiększyć trudności sekcji, lecz kalkulacja wykaże, że Zmiana byłaby potrzebna jedynie w niewielu przypadkach. Jeśli jednak Zmiana jest pożądana, czy nie jest

dla pana oczywiste, że muszą się zmienić, i to zmienić maksymalnie, przede wszystkim ci mieszkańcy Stulecia, którzy ulegli przesądowi? Innymi słowy — kobiety z arystokracji. Noys.

— Może być, ale spróbuję swojej szansy.

— Nie ma pan żadnej szansy. Myśli pan, że to pana urok i wdzięki przekonały tę miękką arystokratkę, by padła w ramiona skromnego Technika? Harlan, bądźmy realistami.

Harlan zacisnął wargi. Nie powiedział nic. Finge mówił:

— Nie domyśla się pan, że istnieje jeszcze inny przesąd, który ci ludzie połączyli ze swą wiarą w wieczne życie Wiecznościowców? Wielki Czasie, Harlan! Większość kobiet wierzy, że intymne stosunki z Wiecznościowcem zapewniają śmiertelnej (jak myślą o sobie) kobiecie życie wieczne!

Harlan zawahał się. Znowu bardzo wyraźnie słyszał głos Noys: „Gdyby mnie wzięto do Wieczności…".

A potem jej pocałunki. Finge ciągnął dalej:

— W istnienie takiego przesądu trudno było uwierzyć, Harlan. To nie miało precedensu. Mieściło się to w granicach marginesowego błędu, tak że kalkulowanie poprzedniej Zmiany w ogóle nie dało informacji na ten temat. Rada Wszechczasów chciała więc mocnych dowodów, chciała konkretów. Wobec tego wybrałem pannę Lambent jako typową przedstawicielkę jej klasy, a pana wybrałem jako drugi obiekt…

Harlan zerwał się:

— Pan wybrał mnie? Jako obiekt?

— Bardzo przepraszam — powiedział Finge sztywno — ale to było konieczne. Pan był bardzo dobrym obiektem.

Harlan patrzył nań nieruchomo.

Finge kręcił się pod tym spojrzeniem. Powiedział:

— Rozumie pan? Nie, nadal pan nie rozumie. Pan nigdy nie zwracał uwagi na kobiety. Uważał pan kobiety i wszystko, co ich dotyczy, za nieetyczne. Nie, istnieje lepsze określenie: uważał pan to za grzeszne. Tego rodzaju poglądy odbijają się na pana powierzchowności i dla każdej kobiety ma pan tyle seksu, co zdechła przed miesiącem makrela. Ale otóż i mamy kobietę: piękny, wypieszczony produkt hedonistycznej kultury, kobietę, która płomiennie uwodzi cię w pierwszy wspólny wieczór, dosłownie żebrząc o twój uścisk. Nie rozumie pan, że jest to śmieszne, niemożliwe, chyba że… no cóż, chyba że jest to potwierdzenie, którego szukamy.

Harlan wykrztusił z trudem:

— Mówi pan, że ona się sprzedała…

— Po co takie określenia? W tym Stuleciu seks nie łączy się z żadnym wstydem. Jedynie dziwne jest to, że wybrała pana jako

partnera. Zrobiła to dla życia wiecznego. To jasne.

Harlan, ze wzniesionymi ramionami, zakrzywionymi jak szpony palcami, bez żadnej rozsądnej myśli ani żadnej nierozsądnej, poza tym, by zdusić i stratować Finge'a, rzucił się naprzód.

Finge cofnął się szybko. Błyskawicznym gestem, choć drżącymi rękoma, wydobył eksploder.

— Ręce przy sobie! W tył!

Harlan zachował dość rozsądku, by się zatrzymać. Włosy miał potargane, koszulę mokrą od potu. Oddychał ze świstem przez nozdrza. Finge odezwał się urywanym głosem:

— Jak widzisz, znam cię bardzo dobrze i spodziewałem się, że możesz gwałtownie zareagować. Będę strzelał w razie potrzeby.

— Wyjdź! — powiedział Harlan.

— Owszem, wyjdą. Tylko najpierw musisz mnie wysłuchać. Za zaatakowanie Kalkulatora zostałbyś zdegradowany, ale nie będziemy się tym zajmowali. Zrozumiesz jednak, że ja nie kłamałem. Noys Lambent, kimkolwiek będzie albo nie będzie w nowej Rzeczywistości, zostanie uwolniona od swego przesądu. Bo taki jest cel Zmiany. A bez tego przesądu, Harlan — głos Finge'a przekształcił się niemal w warczenie — jak kobieta taka jak Noys mogłaby kochać mężczyznę takiego jak ty?

Pulchny Kalkulator cofnął się ku drzwiom, nie opuszczając jednak eksplodera.

Zatrzymał się i dodał szyderczo:

— Oczywiście, gdybyś ją miał teraz, Harlan, gdybyś ją miał teraz, mógłbyś się nią cieszyć. Mógłbyś utrzymać ten związek i zalegalizować go. Ale teraz. Bo Zmiana nastąpi szybko, Harlan, a potem nie będziesz jej już miał. Jaka szkoda, że „teraz" nie trwa długo, nawet w Wieczności, co?

Harlan nie patrzył już na niego. Więc jednak Finge zwyciężył. Nic nie widząc patrzył w ziemię, a kiedy podniósł głowę, Finge'a już nie było — a czy zniknął pięć sekund, czy piętnaście minut temu, Harlan nie umiał powiedzieć.

Godziny wlokły się upiornie, a Harlan czuł się jak zamknięty w więzieniu własnej wyobraźni. Wszystko, co Finge mówił, było prawdą, oczywistą prawdą. Obserwatorski umysł Harlana mógł patrzeć wstecz na związek między nim a Noys, na ten krótki, niezwykły związek, który nabrał teraz zupełnie innego znaczenia w jego oczach.

To nie był przypadek miłości od pierwszego wejrzenia. Jakże mógł w to uwierzyć? Miłość od pierwszego wejrzenia do człowieka takiego jak on?

Jasne, że nie. Łzy piekły go pod powiekami i czuł wstyd. Oczywiście, że to sprawa chłodnej kalkulacji. Dziewczyna ma niezaprzeczalne walory fizyczne i nie uznaje żadnych zasad etycznych,

które by ją powstrzymały od wykorzystania tych walorów. Wykorzystała je i nie miało to nic wspólnego z Andrew Harlanem jako mężczyzną. Był po prostu uosobieniem jej wypaczonego poglądu na Wieczność i wszystkiego, co stąd wynikało. Odruchowo Harlan pieścił swymi długimi palcami książki na półce. Wyjął jeden tom i nie patrząc otworzył go.

Litery migotały. Wyblakłe ilustracje były brzydkimi bezsensownymi plamami.

Dlaczego Finge fatygował się, by mu to wszystko powiedzieć? W najdokładniejszym sensie tego słowa — nie powinien. Obserwator czy ktoś pracujący jako Obserwator nie powinien nigdy znać wniosków płynących z jego obserwacji. Dzięki temu właśnie mógł idealnie odgrywać rolą obiektywnego, nieludzkiego narzędzia.

Ale Finge powiedział mu to, by go zmiażdżyć, żeby mieć okazję do podłej, płynącej z uczucia zazdrości zemsty.

Harlan dotykał palcami otwartej strony czasopisma. Zauważył, że wpatruje się w jaskrawoczerwoną podobiznę pojazdu naziemnego, przypominającego wehikuły charakterystyczne dla 45, 182, 590 i 984 Stulecia, podobnie jak dla okresu późnego Prymitywu. Była to bardzo popularna odmiana pojazdu z wewnętrznym silnikiem spalinowym. W erze Prymitywu źródłem energii były związki naftowe, a koła amortyzowano naturalnym kauczukiem. W późniejszych Stuleciach napęd był oczywiście inny.

Harlan pokazywał tę ilustrację Cooperowi. Kładł na nią szczególny nacisk, a teraz jego umysł, jakby pragnął odejść od nieszczęsnej teraźniejszości, cofnął się do tego momentu.

— Ogłoszenia w pismach — mówił — uczą nas więcej o czasach Prymitywu niż tak zwane artykuły. Autorzy arykułów zakładają podstawową wiedzę o świecie, o którym piszą. Używaj ą pewnych określeń, których nie widzą potrzeby wyjaśniać. Na przykład, co to jest takiego piłka golfowa?

Cooper chętnie przyznał się do swej ignorancji. Harlan kontynuował dydaktycznym tonem, jakiego nie potrafił uniknąć w podobnych okolicznościach.

— Ze wzmianek na ten temat moglibyśmy wydedukować, że jest to jakaś mała kulka. Wiemy, że była używana do gry, choćby z tego powodu, że wspomina się o niej pod nagłówkiem „Sport". Możemy nawet wyprowadzić dalsze wnioski: że odbijano ją jakimś długim kijem i że celem gry było wprowadzenie piłki do dołka w ziemi. Ale po co się męczyć dedukcją i rozumowaniem? Popatrz na to ogłoszenie. Jego celem jest tylko zachęcenie czytelników do kupna piłki, lecz przy okazji pokazują nam wspaniały portret tej piłki w zbliżeniu, wraz z wycinkiem dla wyjaśnienia jej konstrukcji.

Cooper, który pochodził z ery o mniej rozwiniętej reklamie, nie

bardzo mógł się z tym pogodzić. Powiedział:

— Czy to nie jest niesmaczne, że ci ludzie tyle hałasują? Nikt nie jest taki głupi, żeby wierzyć w czyjeś przechwałki na temat własnych wyrobów. Czy producent przyzna się do usterek? Czy powstrzyma się od przesady?

Lecz teraz pod wpływem wrzaskliwych, tromtadrackich ogłoszeń w czasopiśmie umysł Harlana wrócił do obecnej sytuacji i znów był w teraźniejszości. Pytał samego siebie w nagłym podnieceniu: Czy te myśli, które miał przed chwilą, rzeczywiście nic nie znaczą? Czy też w bolesny sposób usiłuje znaleźć drogę w ciemności z powrotem do Noys?

Ogłoszenie! Sposób zmuszania niechętnych do posłuchu. Czy fabrykantowi pojazdów naziemnych zależy, by określony osobnik czuł spontaniczną potrzebę nabycia jego produktu? Jeśli obiekt (to było właściwe słowo) można sztucznie przekonać lub wmówić mu, że odczuwa potrzebę, i skłonić, by odpowiednio do tego postąpił — to co za różnica?

Co za różnica, czy Noys kocha go z namiętności, czy z wyrachowania? Niech tylko oboje pozostaną wystarczająco długo razem, na pewno go pokocha naprawdę. On ją zmusi do miłości, a ostatecznie liczy się tylko miłość, a nie jej motywy. Żałował teraz, że nie przeczytał paru powieści z Czasu, o których Finge wspominał ironicznie.

Harlan zacisnął pięści pod wpływem nagłej myśli. Jeżeli Noys przyszła do niego, do Harlana, chcąc zyskać nieśmiertelność, oznacza to, że do tej pory nie uzyskała tego daru. Znaczy to, że nie miała przedtem stosunku z żadnym Wiecznościowcem, a co za tym idzie, jej związek z Finge'em nie był niczym innym jak tylko związkiem sekretarki i pracodawcy. Gdyby było inaczej, po co byłby jej potrzebny Harlan?

Jednak Finge musiał próbować… na pewno miał zamiar… (Harlan nie mógł dokończyć tej myśli nawet wobec samego siebie). Finge mógł przecież przekonać się o istnieniu przesądu na własnej osobie. Z pewnością przychodziło mu to do głowy, gdy miał stałą pokusę w postaci Noys. A więc na pewno mu odmówiła.

Użył więc Harlana i Harlanowi się powiodło. To z tego powodu Finge mści się zazdrośnie, torturując Harlana uświadamianiem mu przyziemnych motywów Noys. Lecz Noys odrzuciła Finge'a nawet za cenę wiecznego życia, akceptowała zaś Harlana. Miała możność wyboru i zdecydowała na jego korzyść. A więc nie było to tylko wyrachowanie. Uczucie również odgrywało rolę.

Poczuł chaos w głowie i z każdą chwilą rosnące podniecenie.

Musi ją mieć, i to zaraz. Przed jakąkolwiek Zmianą Rzeczywistości. Finge powiedział szyderczo…"Teraz nie trwa długo,

nawet w Wieczności”.

Czy jednak rzeczywiście nie trwa?

Harlan wiedział dokładnie, co powinien zrobić. Gniewne kpiny Finge’a wprowadziły go w taki stan umysłu, że był gotów do zbrodni, a ostatnie szyderstwo uświadomiło mu, jaki czyn musi popełnić.

Nie może stracić teraz ani chwili. Z podnieceniem, a nawet radością, niemal biegiem, opuścił swoją kwaterę, by popełnić ciężką zbrodnię przeciwko Wieczności.

8. Zbrodnia

Nikt go o nic nie pytał. Nikt go nie zatrzymywał. Tak czy inaczej, społeczna izolacja Technika była dość korzystna. Przez kanały kotłów dotarł do drzwi Czasu i włączył sterowanie. Oczywiście, mogło się zdarzyć, że ktoś się zjawi z legalnym poleceniem i zdziwi się, dlaczego drzwi były używane. Zawahał się i postanowił opieczętować je swoją pieczątką. Opieczętowane drzwi nie wzbudzały zainteresowania. Nieopieczętowane drzwi w użyciu wywołałyby zdziwienie.

Oczywiście mogło się zdarzyć, że to Finge trafi na te drzwi. Ale Harlan musiał ryzykować.

Noys stała nadal tak, jak ją zostawił. Upłynęły koszmarne godziny (fizjogodziny) od chwili, gdy Harlan opuścił 482 Stulecie dla samotnej Wieczności, lecz wrócił teraz do tego samego Czasu po kilku sekundach. Nawet włos na głowie Noys się nie poruszył.

Spojrzała na niego zaskoczona:

— Zapomniałeś czegoś, Andrew?

Harlan patrzył na nią głodnym wzrokiem, lecz nawet nie próbował jej dotknąć. Pamiętał słowa Finge'a i nie śmiał ryzykować odmowy. Powiedział sztywno:

— Musisz robić to, co ci powiem. Zapytała:

— Stało się coś złego? Przecież przed chwilą odszedłeś. Nie minęła nawet minuta.

— Nie martw się — powiedział Harlan. Nie ujął jej za rękę, nie próbował uspokoić. Zamiast tego mówił szorstko. Było to tak, jakby jakiś demon zmuszał go, by robił wszystko niewłaściwie. Dlaczego wrócił w pierwszej możliwej chwili? Tylko ją niepokoił prawie natychmiastowym powrotem.

Oczywiście mógł to uzasadnić. Dysponował dwudniowym marginesem uwzględnianym przez kartę przestrzenno-czasową. Wcześniejsze godziny tego okresu łaski były bezpieczniejsze, bo wykrycie ich wykorzystania niemal nie wchodziło w rachubę. Naturalną tendencją było więc cofanie się jak najbardziej w przeszłość. A jednak to było głupie ryzyko. Mógł się łatwo przeliczyć i wejść w Czas przed momentem opuszczenia go przed kilku fizjogodzinami. Co wtedy? Jedna z pierwszych zasad, jakich uczono Obserwatora, brzmiała: „Osoba zajmująca dwa punkty w tym samym Czasie tej samej Rzeczywistości naraża się na ryzyko spotkania siebie samej".

Z jakiegoś powodu należało tego uniknąć. Dlaczego? Harlan wiedział, że nie chce spotkać samego siebie. Nie chciał patrzyć w oczy innego, wcześniejszego albo późniejszego Harlana. Poza tym byłby to paradoks. Twissell zaś często powtarzał: „Nie ma paradoksów w

Czasie, ale tylko dlatego, że Czas świadomie unika paradoksów".

Gdy Harlan rozmyślał mętnie o tym wszystkim, Noys patrzyła na niego dużymi świetlistymi oczyma.

Potem podeszła bliżej, przyłożyła swe chłodne dłonie do jego płonących policzków i powiedziała miękko:

— Masz kłopoty.

Harlanowi jej spojrzenie wydawało się życzliwe, kochające. Jak to być mogło? Osiągnęła przecież, co chciała. Co się jeszcze za tym kryje? Chwycił ją za ręce i zapytał ochrypłym głosem:

— Chcesz wyjechać ze mną? Teraz? Nie zadając żadnych pytań? Zrobisz dokładnie to, co powiem?

— Czy muszę? — zapytała.

— Musisz, Noys. To bardzo ważne.

— W takim razie jadę. — Powiedziała to rzeczowo, jakby w tym żądaniu nie było nic osobliwego.

U wylotu kotła zawahała się na chwilę, a potem weszła do środka. Harlan powiedział:

— Jedziemy naprzód, Noys.

— To oznacza przyszłość, prawda?

Kocioł pomrukiwał już delikatnie, gdy do niego weszła, i ledwie zdążyła usiąść, Harlan nieznacznie poruszył kontakt koło swego łokcia.

Nie miała żadnych mdłości na początku tej nie dającej się opisać Jazdy w Czasie. Ale bał się, że tego nie uniknie.

Siedziała spokojnie, tak piękna i swobodna, że czuł ból, gdy na nią patrzył, i nie troszczył się w ogóle, że bez pozwolenia zabierając ją w Wieczność popełnia przestępstwo.

Zapytała:

— Czy ta podziałka wskazuje lata, Andrew?

— Stulecia.

— Czy to znaczy, że jesteśmy o tysiąc lat w przyszłości? Już?

— Tak jest.

— Nie czuję tego.

— Wiem.

Rozejrzała się dokoła.

— Ale jak się poruszamy?

— Nie wiem. Noys.

— Nie wiesz?

— Wiele spraw w Wieczności trudno zrozumieć.

Liczby na temporometrze maszerowały dalej. Poruszały się coraz szybciej, aż stały się niewyraźną smugą. Harlan łokciem przesunął przyspieszacz w górę. Zużycie energii mogło stanowić pewne zaskoczenie dla zakładów energetycznych, lecz wątpił w to. Nikt na niego nie czekał w Wieczności teraz, gdy wracał z Noys, a to stanowiło

już dziewięć dziesiątych wygranej. Teraz trzeba ją było ulokować w bezpiecznym miejscu.

Harlan znowu spojrzał na dziewczynę.

— Wiecznościowcy nie wiedzą wszystkiego.

— Ale ja nie jestem Wiecznościowcem — mruknęła. — Wiem bardzo mało.

Puls Harlana przyśpieszył tempo. Jeszcze nie jest Wiecznościowcem? Lecz Finge powiedział…

Daj spokój — błagał samego siebie. — Daj spokój. Ona jest z tobą. Uśmiecha się do ciebie. Czegóż chcesz więcej?

A jednak odezwał się:

— Ty myślisz, że Wiecznościowiec żyje wiecznie?

— Owszem, wszyscy uważają, że stąd pochodzi ta nazwa. — Uśmiechnęła się do niego promiennie. — Ale tak nie jest, prawda?

— Więc ty tak nie uważasz?

— Od kiedy byłam trochę w Wieczności — przestałam. Ludzie nie wyglądali tam tak, jakby mieli żyć wiecznie. I są tam również starcy.

— A jednak powiedziałaś mi, że żyją wiecznie… wtedy w nocy. Przysunęła się bliżej, nadal się uśmiechając:

— Pomyślałam sobie: kto wie?

Nie mógł zapanować nad napięciem w swoim głosie:

— Jak Czasowiec zostaje Wiecznościowcem?

Jej uśmiech zniknął i albo to była wyobraźnia Harlana, albo rzeczywiście na jej policzkach pojawił się nikły rumieniec. Powiedziała:

— Czemu o to pytasz?

— Żeby się dowiedzieć.

— To głupie — rzekła. — Wolę o tym nie mówić. — Popatrzyła na swe piękne palce, zakończone paznokciami, które połyskiwały bezbarwnie w przyćmionym świetle szybu. Harlan pomyślał, właściwie bez związku, że na wieczornym przyjęciu przy lekkim ultrafiolecie w iluminacji ściennej, te paznokcie będą połyskiwały jasną zielenią albo intensywną purpurą, w zależności od kąta, pod jakim będzie trzymała dłonie. Dziewczyna tak sprytna jak Noys potrafi wydobyć z nich kilka odcieni, dając do zrozumienia, że barwy odbijają jej nastroje: niebieski — naiwność, jasnożółty — wesołość, fiolet — troskę, a szkarłat — namiętność.

Zapytał:

— Dlaczego mi się oddałaś?

Odrzuciła w tył włosy i popatrzyła na niego. Twarz jej pobladła i spoważniała. Odparła:

— Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, po części przyczyną była teoria, że dziewczyna w ten sposób może wejść do Wieczności. Nie szkodziłoby, gdybym żyła wiecznie.

— Mówiłaś, zdaje się, że w to nie wierzysz.

— Nie wierzę, ale nie zaszkodzi spróbować. Szczególnie, że…

Patrzył na nią poważnie, znajdując ucieczkę od bólu i rozczarowania w chłodnym spojrzeniu dezaprobaty z wyżyn moralności swojego Stulecia.

— No?

— Szczególnie, że tak czy inaczej tego chciałam.

— Chciałaś?

— Tak.

— Dlaczego wybrałaś akurat mnie?

— Bo cię lubię. Bo sobie pomyślałam, że jesteś zabawny.

— Zabawny!

— No, dziwny… jeśli wolisz to słowo. Zawsze tak się wysilałeś, żeby na mnie nie spojrzeć, ale zawsze mimo to spoglądałeś. Próbowałeś mnie nienawidzić, a ja widziałam, że mnie pragniesz. Było mi cię. troszkę żal.

— Dlaczego żal? — Czuł, jak płoną mu policzki.

— Bo tyle miałeś z tym kłopotów. Przecież to taka prosta sprawa. Wystarczy zapytać. Co za problem? Po co cierpieć?

Harlan skinął głową. Moralność 482 Stulecia.

— Wystarczy zapytać! — wymamrotał. — Takie proste. Nie potrzeba nic więcej.

— Oczywiście, dziewczyna musi być chętna. Przeważnie bywa, jeśli nie jest zaangażowana w inny sposób. Czemu nie? Przecież to proste.

Teraz Harlan musiał z kolei spuścić oczy. Istotnie, to takie proste. I nie ma w tym również nic złego. Przynajmniej w 482 wieku. Któż w Wieczności może wiedzieć o tym lepiej? Byłby głupcem, oczywistym i skończonym głupcem, gdyby ją spytał o jej wcześniejsze przygody. Mógłby równie dobrze zapytać dziewczynę ze swoich czasów, czy kiedykolwiek jadła w obecności mężczyzny i jak śmiała to robić.

Zamiast tego zapytał pokornie:

— A co sobie teraz o mnie myślisz?

— Że jesteś bardzo ładny — powiedziała miękko. — I gdybyś był swobodniejszy… Nie mógłbyś się uśmiechnąć?

— Nie ma powodu. Noys.

— Proszę cię. Chcę zobaczyć, czy twoje policzki marszczą się właściwie. Zobaczymy. — Uniosła palcami kąciki jego warg.

Zaskoczony szarpnął głową, ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Widzisz. Nawet nie masz zmarszczek na policzkach. Jesteś niemal piękny. Gdybyś trochę popraktykował, postał trochę przed lustrem i pouśmiechał się, i popuszczał oko… mógłbyś być naprawdę piękny.

Lecz wątły uśmiech zniknął, ledwie się pojawił. Noys spytała:

— Mamy kłopoty, prawda?

— Owszem. Poważne kłopoty.

— Z powodu tego, co zrobiliśmy? Ty i ja? Tamtego wieczora?

— Niezupełnie.

— To była moja wina, naprawdę. Powiem im to, jeśli chcesz.

— Nigdy — zaprotestował Harlan energicznie. — Nie bierz na siebie żadnej winy. Nie zrobiłaś nic takiego, żeby czuć się winną. Chodzi o coś innego.

Noys spojrzała niepewnie na temporometr.

— Gdzie jesteśmy? Nie mogę nawet rozróżnić cyfr.

— Kiedy jesteśmy — automatycznie poprawił ją Harlan. Zmniejszył prędkość i można już było odcyfrować Stulecia.

Jej piękne oczy zaokrągliły się, a rzęsy odcinały się wyraźnie od bladej cery.

— Czy to możliwe?

Harlan obojętnie zerknął na licznik, który pokazywał liczbę 72 000.

Z pewnością możliwe.

— Ale dokąd jedziemy?

— Do kiedy jedziemy. W daleką przyszłość — powiedział poważnie. — Dobrą i daleką. Tam, gdzie cię nie znajdą.

W milczeniu patrzyli na zwiększające się liczby. W milczeniu Harlan powtarzał sobie, że dziewczyna nie jest winna temu, o co oskarżał ją Finge. Przyznała się szczerze do tego, co było prawdą, i równie szczerze stwierdziła, że istniało z jej strony także osobiste zainteresowanie.

Podniósł głowę, gdy Noys zmieniła pozycję. Przesunęła się na tę stronę, gdzie siedział, i zdecydowanym ruchem zatrzymała kocioł, w nieprzyjemny sposób wyhamowując prędkość czasową. Harlan przełknął ślinę i przymknął oczy, by powstrzymać mdłości.

— Co się stało? — zapytał.

Miała popielatą twarz i przez chwilę nie odpowiadała. Potem rzekła:

— Nie chcę jechać dalej. Numery są już bardzo wysokie. Temporometr wskazywał 111 394.

Powiedział:

— Wystarczy.

A potem z powagą wyciągnął dłoń.

— Chodź, Noys. Tu przez pewien czas będzie twój dom.

Wędrowali przez korytarze, jak dzieci trzymając się za ręce. Główne przejścia były oświetlone, a ciemne pokoje rozbłyskiwały po dotknięciu wyłącznika. Powietrze było świeże i jakby poruszało się lekko, choć nie czuło się przeciągu. Wskazywało to na obecność

wentylacji.

Noys szepnęła:

— Czy tu nikogo nie ma?

— Nikogo — odparł Harlan. Usiłował powiedzieć to mocno i głośno. Chciał przełamać czar Ukrytych Stuleci, lecz mimo wszystko odezwał się tylko szeptem.

Nie wiedział nawet, jak określić tak daleką przyszłość. Nazywać to sto jedenaście tysięcy trzysta dziewięćdziesiątym czwartym Stuleciem byłoby śmieszne. Należało mówić w sposób prosty, nie precyzując: wieki stutysięczne.

Właściwie nie należało się zastanawiać nad tak głupim problemem, lecz teraz, gdy emocje ucieczki już się skończyły, znalazł się w pozbawionym śladów życia rejonie Wieczności i wcale mu się to nie podobało. Wstydził się, i to tym bardziej, że Noys widziała dreszcz, jaki go przeniknął, dreszcz strachu. Noys powiedziała:

— Jak tu czysto. Nie ma kurzu.

— Samoodkurzanie — odparł Harlan. Z wysiłkiem, niemal zrywającym struny głosowe, podniósł głos do prawie normalnej tonacji. Ale nikogo tu nie ma. Ani śladu w przód, ani wstecz przez tysiące Stuleci.

Wydawało się, że Noys to akceptuje.

— I wszystko jest tak urządzone? Mijaliśmy magazyny żywnościowe i filmoteki. Widziałeś?

— Widziałem. Och, są całkowicie wyekwipowane. Każda sekcja.

— Ale po co, skoro tu nikogo nie ma?

— To logiczne — odparł Harlan. Rozmowa na ten temat rozładowywała nieco nastrój niesamowitości. Wypowiedzenie tego, co już teoretycznie wiedział, uściśli sprawę, sprowadzi ją do normalnych wymiarów. — We wczesnej historii Wieczności, w trzechsetnych wiekach, pojawił się powielacz masy. Wiesz, o co chodzi? Umieszczona na polu rezonującym energia mogła być przekształcona w materię, przy czym drobiny subatomowe przyjmowały dokładnie taki układ jak we wzorcowym modelu. W rezultacie powstawała dokładna kopia.

My, w Wieczności, użyliśmy tego instrumentu dla własnych celów. W tym czasie było rozbudowanych zaledwie sześćset czy osiemset sekcji. Oczywiście mieliśmy poważne plany rozwojowe. „Dziesięć nowych sekcji w fizjoroku” było jednym z haseł owego okresu. Powielacz masy sprawił, że wszystko to stało się zbędne. Zbudowaliśmy jedną nową sekcję w całości, zaopatrzoną w jedzenie, zapas mocy, zapas wody i najlepsze urządzenia automatyczne; uruchomiliśmy maszynę i powielaliśmy tę sekcję, po jednej na każde Stulecie, przez całą Wieczność. Nie wiem, jak daleko dotarli, prawdopodobnie do milionów Stuleci.

— I wszystkie są takie jak ta, Andrew?

— Dokładnie takie same. A gdy Wieczność organizuje nowe sekcje, po prostu wyprowadzamy się, adaptując konstrukcje mody panującej w danym stuleciu. My… my nie dotarliśmy jeszcze do tej sekcji. (Nie było sensu mówić jej, że Wiecznościowcy nie mogą przeniknąć w Czas tutaj, w Ukrytych Stuleciach. Niczego by to nie zmieniło).

Spojrzał na nią i stwierdził, że Noys wygląda na zakłopotaną. Powiedział szybko:

— Nie ma żadnego marnotrawstwa w budowaniu sekcji. Zużyło się tylko energię, nic więcej, a mając do dyspozycji gwiazdę Nova…

Przerwała.

— Nie, po prostu nie pamiętam.

— Czego nie pamiętasz?

— Mówisz, że powielacz wynaleziono w trzechsetnych wiekach. Nie mieliśmy go w 482. Nie przypominam sobie, żebym czytała o czymś takim w historii.

Harlan zamyślił się. Jakkolwiek była od niego niższa tylko o jakieś pięć centymetrów, nagle przez porównanie poczuł się olbrzymem. Ona była dzieckiem, niemowlęciem, a on półbogiem Wieczności, który musi ją uczyć i ostrożnie prowadzić ku prawdzie.

Powiedział:

— Noys, kochanie, usiądźmy gdzieś… coś ci wytłumaczę.

Pojęcie zmiennej Rzeczywistości, Rzeczywistości, która nie jest ustalona, wieczna i niezmienna, nie należy do spraw, które każdemu da się łatwo wyjaśnić.

Harlan niekiedy przypominał sobie wczesne dni Nowicjatu i odtwarzał rozpaczliwe próby odcięcia się od swego Stulecia i Czasu.

Przeciętny Nowicjusz potrzebował sześciu miesięcy, by poznać prawdę, by odkryć, że nigdy nie wróci do domu w dosłownym sensie tego słowa. Nie tylko prawo Wieczności mu to uniemożliwiało, lecz również fakt, że dom i rodzina, takie, jakimi je znał, mogły już nie istnieć, mogły w pewnym sensie nie istnieć nigdy.

Różnie to oddziaływało na Nowicjuszy. Harlan przypominał sobie bladą i ściągniętą twarz Bonky'ego Latourette'a w tym dniu, gdy Edukator Yarrow ostatecznie i jednoznacznie wyjaśnił im problem Rzeczywistości.

Żaden z Nowicjuszy nie mógł jeść tego wieczora. Skupili się razem, szukając czegoś w rodzaju psychicznego ciepła, z wyjątkiem La-tóurette'a, który zniknął. Śmiali się fałszywie i próbowali żartować.

Ktoś powiedział drżącym i niepewnym głosem:

— Przypuszczam, że nigdy nie miałem matki. Jeśli wrócą do dziewięćdziesiątego piątego, powiedzą mi: „Kto ty jesteś? Nie znamy cię. Nie mamy żadnych dokumentów. Ty nie istniejesz".

Uśmiechali się słabo i kiwali głowami, samotni chłopcy, którym nie zostało nic prócz Wieczności.

Gdy poszli do sypialni, zastali tam Latourette'a, który spał mocno i szybko oddychał. W zagłębieniu jego ręki widniało lekkie zaczerwienienie od zastrzyku; na szczęście zauważono je w porę.

Wezwano Yarrowa i przez pewien czas wydawało się, że kurs straci jednego Nowicjusza, jednak w końcu wykurowano go. W tydzień później siedział już na swoim miejscu. Ale piętno tej złej nocy pozostało na zawsze na jego osobowości.

A teraz Harlan miał wytłumaczyć Rzeczywistość Noys Lambent, dziewczynie niewiele starszej niż tamci Nowicjusze, wytłumaczyć jej od razu i całkowicie. Musiał. Nie miał wyboru. Ona musi dowiedzieć się dokładnie, co im grozi i co powinna robić.

Powiedział jej. Jedli mięso z puszki, mrożone owoce i pili mleko przy stole konferencyjnym na dwanaście osób. I tam jej powiedział.

Wyjaśniał jej jak najostrożniej, lecz szybko przekonał się, że ostrożność jest niepotrzebna. Chwytała szybko każdą informację i zanim znalazł się w połowie, ku swemu wielkiemu zdumieniu przekonywał się, że reaguje nie najgorzej. Nie bała się. Nie miała poczucia utraty wszystkiego. Wyglądała tylko na rozzłoszczoną.

Gniew ubarwił jej twarz głębokim rumieńcem, a jej ciemne oczy jakimś sposobem wydawały się jeszcze ciemniejsze.

— Ależ to zbrodnia — powiedziała. — Jakim prawem Wiecznościowcy to robią?

— Robi się to dla dobra ludzkości — powiedział Harlan. Oczywiście, ona nie mogła tego naprawdę rozumieć. Było mu przykro, że sposób myślenia Czasowców jest ograniczony ich wyobrażeniem o Czasie.

— Naprawdę? To i powielacz masy został stracony?

— Mamy jeszcze jego kopie. Nie martw się o to. Zachowaliśmy go.

— Zachowaliście go! A co z nami? To my z 482 powinniśmy go mieć. — Wymachiwała zaciśniętymi pięściami.

— To by nie przyniosło wam nic dobrego. Nie denerwuj się, kochanie, i słuchaj. — Niemal kurczowym gestem (miał się jeszcze nauczyć, jak dotykać jej naturalnie) ujął jej ręce i przytrzymał.

Przez chwilę próbowała je wyswobodzić, a potem zrezygnowała, a nawet roześmiała się.

— Och, mów dalej, głuptasku, i nie rób takiej poważnej miny. Nie mam do ciebie żalu.

— Nie możesz mieć żalu do nikogo. Robimy to, co trzeba. Ten powielacz stanowi klasyczny przykład. Uczyłem się tego w szkole. Jeśli powielasz masę, możesz powielać również osoby. Wynikają z tego bardzo skomplikowane problemy.

— Czy społeczeństwo nie powinno samo rozwiązywać swoich problemów?

— Powinno, lecz uczyliśmy się, że społeczeństwo w Czasie nie rozwiązywało swoich problemów zadowalająco. Pamiętaj, że błędy społeczeństwa obciążają nie tylko je samo, ale wszystkie następne pokolenia. Właściwie nie ma zadowalającego rozwiązania problemu duplikatom masy. Należy do tej kategorii, co wojny atomowe i narkotyki, na które po prostu nie można pozwolić. Ich rozwój nigdy nie jest korzystny.

— Skąd jesteś taki pewny?

— Mamy komputery, Noys. Komputapleksy o wiele dokładniejsze niż wszystkie wynalezione kiedykolwiek w jednej Rzeczywistości. One przeliczają możliwe Rzeczywistości i układają najbardziej pożądane z milionów zmiennych wartości.

— Maszyny! — powiedziała szyderczo. Harlan zmarszczył czoło, lecz zaraz złagodniał.

— Nie bądź taka. Oczywiście, nie znosisz myśli, że życie nie jest tak konkretne, jak się spodziewałaś. Ty i świat, w jakim żyjesz, mógł być tylko cieniem prawdopodobieństwa rok wcześniej, ale co za różnica? Masz przecież wszystkie wspomnienia, niezależnie od tego, czy są cieniem prawdopodobieństwa, czy nie, prawda? Pamiętasz swoje dzieciństwo i rodziców, prawda?

— Oczywiście.

— A więc tak, jakbyś naprawdę to przeżyła. Niezależnie od tego, czy tak było, czy nie.

— Nie wiem. Będę musiała to przemyśleć. A co — jeśli jutro znowu powstanie ten świat ze snu czy cień, czy jak ty to nazywasz?

— Wtedy będzie nowa Rzeczywistość i nowa ty z nowymi wspomnieniami. Będzie po prostu tak, jakby nic się nie zdarzyło, z wyjątkiem tego, że suma szczęścia znowu wzrośnie.

— Jednak jakoś nie bardzo mi się to podoba.

— Ponadto — dodał szybko Harlan — teraz nic ci się nie stanie. Będzie nowa Rzeczywistość, ale ty jesteś w Wieczności. Nie zostaniesz zmieniona.

— Powiedziałeś przecież — odezwała się Noys smutno — że nie robi to żadnej różnicy. Po co się narażać na te wszystkie kłopoty?

Z nagłą namiętnością Harlan powiedział:

— Ponieważ chcę, żebyś była taka, jaka jesteś. Dokładnie taka, jaka jesteś. Nie chcę, żebyś się zmieniła. W żaden sposób.

O mały włos, a byłby wykrztusił prawdę, że gdyby nie przesąd Wiecznościowcach i wiecznym życiu, nigdy by nie miała do niego skłonności.

Odparła nieco zamyślona:

— Czy będę musiała tu zostać na zawsze? Będę się czuła…

samotna.

— Nie, nie. Nie myśl o tym — zaprotestował gwałtownie, chwytając ją za ręce tak silnie, że pisnęła. — Dowiem się, czym będziesz w nowej Rzeczywistości 482 Stulecia, i wrócisz tam, że tak powiem, w przebraniu. Zaopiekuję się tobą. Wystąpię o zezwolenie na formalny związek i będę pilnował, żebyś przetrwała bezpiecznie przyszłe Zmiany. Jestem Technikiem, i to dobrym Technikiem, i znam się na Zmianach. — Dodał ponuro: — A wiem również o paru innych sprawach. — Urwał.

Noys spytała:

— Czy to wszystko jest dozwolone? Chodzi o to, czy możesz brać ludzi do Wieczności i chronić ich przed Zmianami? To nie wygląda legalnie, sądząc z tego, co mi opowiadałeś.

Przez chwilę Harlan czuł się nagle malutki i słaby w wielkiej pustce tysięcy Stuleci, które go otaczały w przeszłości i przyszłości. Przez chwilę czuł się odcięty nawet od Wieczności, która była jego jedynym domem i jedyną wiarą. Był podwójnym wyrzutkiem: z Czasu i z Wieczności. Została u jego boku tylko kobieta, dla której opuścił to wszystko.

Odczuwał głęboko to, co powiedział:

— Tak, to jest zbrodnia. To bardzo ciężka zbrodnia, a ja wstydzę się bardzo. Ale zrobiłbym to jeszcze raz, gdyby było potrzeba, a nawet nie raz.

— Dla mnie, Andrew? Dla mnie? Nie spojrzał jej w oczy.

— Nie, Noys, dla siebie. Nie mógłbym żyć, gdybym cię stracił. Powiedziała:

— A jeśli nas złapią…

Harlan znał na to odpowiedź. Znał odpowiedź od czasu, kiedy rozmyślał wtedy w 482 Stuleciu leżąc razem z Noys. Ale nawet teraz nie śmiał myśleć o ponurej prawdzie.

Powiedział:

— Nie boją się nikogo. Mam swoje sposoby. Oni sobie nawet nie wyobrażają, jak wiele wiem.

9. Interludium

Gdy się patrzy wstecz, można powiedzieć, że rozpoczął się potem idylliczy okres. Sto wydarzeń nastąpiło w tych fizjotygodniach, a później wszystko to splątało się w pamięci Harlana i wydawało mu się, że ten okres trwał o wiele dłużej niż w rzeczywistości. Najpiękniejsze były niewątpliwie godziny, które mógł spędzić z Noys, one upiększały wszystko inne.

Po pierwsze: W 482 Stuleciu pakował powoli swe rzeczy osobiste — ubranie, filmy, a przede wszystkim ukochane i wypieszczone roczniki czasopism z Prymitywu. Pieczołowicie doglądał ich powrotu do swojej stałej siedziby w 575 wieku.

Finge stał obok, gdy ludzie z Obsługi przenosili bagaże do kotła towarowego. Powiedział, z największą starannością dobierając słów:

— Widzę, że pan nas opuszcza.

Uśmiechał się szeroko, starannie jednak ściągając wargi, tak że widać było końce zębów. Ręce miał złożone za plecami, a jego pulchna postać kołysała się na piętach.

Harlan nie patrzył na swego przełożonego. Mruknął obojętnie:

— Tak, Kalkulatorze. Finge powiedział:

— Złożę raport Starszemu Kalkulatorowi Twissellowi w sprawie całkowicie zadowalającego wypełnienia obowiązków obserwacyjnych w 482 Stuleciu.

Harlan nie mógł się zdobyć nawet na słowo podziękowania. Milczał. Finge podjął, nagle zniżając głos:

— Na razie nie zamelduję o pana niedawnej próbie użycia siły wobec mnie. — I chociaż uśmiech nadal pozostawał na jego twarzy, a Kalkulator spoglądał łagodnym wzrokiem, był w nim jakiś odcień okrutnej satysfakcji.

Harlan spojrzał ostro i powiedział: — Jak pan uważa.

Po drugie: Urządził się znowu w 575.

Prawie natychmiast spotkał Twissella. Ucieszył się na widok tego człowieka z pomarszczoną twarzą gnoma. Ucieszył się nawet widząc, jak Twissell podnosi do ust białą rurkę, dymiącą między dwoma poplamionymi palcami.

Harlan powiedział:

— Kalkulatorze.

Twissell wynurzywszy się ze swego gabinetu patrzył przez chwilę, nie widząc i nie poznając Harlana. Twarz miał wychudłą, a oczy przymrużone ze znużenia. Powiedział:

— Ach, Technik Harlan. Skończyłeś robotę w 482?

— Tak, Starszy Kalkulatorze.

Reakcja Twissella była dziwaczna. Popatrzył na zegarek, który,

jak każdy zegarek w Wieczności, wskazywał czas fizjologiczny, podając zarówno dni, jak i godziny:

— Pod nosem, mój chłopcze. Cudowne. Cudowne.

Serce Harlana drgnęło. Jeszcze nie tak dawno nie potrafiłby znaleźć sensu w tych słowach. Teraz zdawało mu się, że je rozumie. Twissell musiał być zmęczony, bo inaczej może nie zdradzałby tak łatwo istoty rzeczy. Albo może Kalkulator uważał tę uwagę za tak tajemniczą, że aż zupełnie bezpieczną, mimo że tak bliską prawdy.

Harlan zapytał w miarę możności obojętnie, tak aby nie było widoczne, że jego uwaga ma jakikolwiek związek z tym, co Twissell powiedział przed chwilą:

— Jak się ma mój Nowicjusz?

— Dobrze, dobrze — Twissell najwidoczniej miał coś innego na głowie. Possał szybko tlącą się rurkę z tytoniem, kiwnął głową i wyszedł spiesznie.

Po trzecie: Nowicjusz.

Wyglądał starzej. Wydawało się, że jest dojrzalszy. Wyciągnął dłoń i powiedział:

— Cieszę się, że pan wrócił, Harlan.

Być może wynikało to z tego, że Harlan przyzwyczaił się do Coopera jako do ucznia, a tymczasem wyglądał on teraz na kogoś więcej niż na Nowicjusza. Obecnie wydawało się, że jest instrumentem w rękach Wiecznościowców. Naturalnie, musiał w związku z tym przybrać nową postać w oczach Harlana.

Harlan usiłował nie pokazywać tego po sobie. Znajdowali się obaj w nowej kwaterze Harlana, a Technik rozkoszował się porcelanowymi płaszczyznami śmietankowej barwy, zadowolony, że wyzwolił się z ozdobnej tandety wieku 482. Jakkolwiek usiłował kojarzyć sobie barok tego wieku z Noys, łączył go jedynie z Finge'em. Z Noys kojarzył sobie różowy aksamitny półmrok i — co dziwne — nagą surowość sekcji Ukrytych Stuleci.

Mówił gwałtownie, zupełnie jakby pragnął ukryć swe niebezpieczne myśli:

— Cooper, co oni z tobą wyrabiali, gdy mnie nie było? Cooper roześmiał się, musnął mimowolnie swój długi, opadający wąs i powiedział:

— Braliśmy jeszcze matematykę. Ciągle matematykę.

— Tak? Teraz pewnie już dość specjalistyczny materiał?

— Dość specjalistyczny.

— No i jak idzie?

— Znośnie. Przychodzi mi to całkiem łatwo, wie pan. Lubię to. Ale teraz wprost mi już ładują do głowy.

Harlan poczuł niejakie zadowolenie:

— Wzory Pola Czasowego i tym podobne?

Lecz Cooper, poczerwieniawszy nieco, zwrócił się do półek załadowanych książkami i powiedział:

— Wracajmy do Prymitywu. Mam kilka pytań.

— W związku z czym?

— Życie miejskie w 23 Stuleciu. Szczególnie w Los Angeles.

— Dlaczego Los Angeles?

— To ciekawe miasto. Nie sądzi pan?

— Tak, ale zajmijmy się nim w 21. Wtedy było u szczytu rozwoju.

— Och, spróbujmy w 23.

— Dobrze, czemu nie? — odparł Harlan.

Twarz miał nieruchomą, lecz gdyby tę nieruchomość można było zdjąć jak skórę, byłaby pod nią zaciętość. Jego wielkie intuicyjne przypuszczenie było czymś więcej niż przypuszczeniem. Wszystko sprawdzało się dokładnie.

Po czwarte: Badania. Podwójne badania.

Najpierw dla siebie. Codziennie czujnie przeglądał raporty na biurku Twissella. Raporty dotyczyły różnych postanowionych albo proponowanych Zmian Rzeczywistości. Kopie normalną drogą przesyłano do Twissella, ponieważ był członkiem Rady Wszechczasów, i Harlan wiedział, że materiały są kompletne. Najpierw szukał nadchodzącej Zmiany w 482. Następnie szukał Zmian, wszelkich innych Zmian, z jakąś skazą, jakąś niedokładnością, jakimś odchyleniem od maksymalnej doskonałości, które mógłby dostrzec swymi wyszkolonymi i utalentowanymi oczyma Technika.

Prawdę mówiąc studiowanie raportów nie należało do niego, lecz w owych dniach Twissell rzadko bywał w swoim biurze, a nikt inny nie śmiał przeszkadzać osobistemu Technikowi Twissella.

To była tylko jedna część jego poszukiwań. Druga odbywała się w 575-wiecznej sekcji biblioteki.

Po raz pierwszy opuścił te działy biblioteki, które zazwyczaj przykuwały jego uwagę. Przedtem odwiedzał dział historii Prymitywu (bardzo nędzny zresztą, tak że większość jego bibliografii i materiałów źródłowych należało wyciągnąć z odległej przeszłości trzeciego tysiąclecia). Jeszcze dokładniej przeszukiwał półki poświęcone Zmianie Rzeczywistości, jej teorii, technice i historii: znakomita kolekcja, poza centralnym wydziałem (najlepsza w Wieczności dzięki Twissellowi), której stał się niemal wyłącznym właścicielem.

Teraz spacerował z zaciekawieniem wśród innych półek z filmami. Po raz pierwszy Obserwował (przez duże O) stoiska poświęcone samemu 575 Stuleciu: jego geografię, która mało zmieniała się od Rzeczywistości do Rzeczywistości, jego historię, która zmieniała się więcej, i socjologię, która zmieniała się najbardziej. Nie były to książki czy raporty pisane o Stuleciu przez obserwujących i kalkulujących Wiecznościowców (te znał doskonale), lecz przez

samych Czasowców.

Były tam dzieła literatury 575 wieku, które przypominały o gorących sporach na temat wartości poszczególnych zmian. Czy to arcydzieło należy zmienić, czy nie? A jeśli należy, to jak? W jaki sposób Zmiany wpływają na dzieła sztuki?

I czy kiedykolwiek nastąpi powszechna zgoda na temat sztuki? Czy uda sieją sprowadzić do terminów ilościowych, dostępnych dla mechanicznej oceny przez maszyny matematyczne?

Pewien Kalkulator nazwiskiem August Sennor był głównym oponentem Twissella w tych sprawach. Harlan zainteresowany namiętną krytyką, jakiej Twissell poddawał tego człowieka i jego poglądy, przeczytał niektóre z dzieł Sennora i uznał je za zaskakujące.

Sennor pytał otwarcie, a dla Harlana niepokojąco, czy nowa Rzeczywistość nie może zawierać osobowości analogicznej do człowieka, którego poprzednio przeniesiono w Wieczność. Następnie analizował możliwość spotkania przez Wiecznościowca jego odpowiednika w Czasie, podczas gdy obaj o tym wiedzą albo nie wiedzą, i zastanawiał się, jakie byłyby rezultaty w każdym z tych przypadków. Był to jeden z najbardziej przerażających problemów Wieczności. Harlan zadrżał i szybko przerzucił klatkę filmu poświęconego dyskusji. Oczywiście Sennor dyskutował obszernie losy literatury i sztuki w najróżnorodniejszych typach i klasyfikacjach Zmian Rzeczywistości.

Lecz Twissell nie chciał się zajmować tym problemem. „Jeśli walorów sztuki nie można komputować — krzyczał do Harlana — to po co nam dyskusje na ten temat?”.

Harlan wiedział, że poglądy Twissella podziela większość Rady Wszechczasów.

Lecz teraz stał przed półkami poświęconymi powieściom Eryka Linkollewa, zazwyczaj przedstawianego jako wybitnego pisarza 575 Stulecia, i dziwił się. Naliczył piętnaście różnych kompletów Dzieł zebranych, niewątpliwie wyjętych z różnych Rzeczywistości. Był pewny, że każdy z nich jest nieco inny niż pozostałe. Na przykład jeden komplet był znacznie cieńszy. Wyobrażał sobie, że ze stu Socjologów musiało analizować różnice między tymi dziełami w warunkach socjologicznego tła każdej Rzeczywistości, zyskując sobie w ten sposób pozycję.

Harlan przeszedł do skrzydła biblioteki poświęconego technice i wynalazkom różnych Stuleci pięćset siedemdziesiątych piątych. Wiedział, że wiele z tych urządzeń zostało wyeliminowanych z Czasu i pozostawało jedynie w Wieczności jako dzieła ludzkiej pomysłowości. Człowieka należało chronić przed produktami jego zbyt wybujałych uzdolnień technicznych. I to bardziej niż przed czymkolwiek innym. Niemal każdego fizjoroku gdzieś w Czasie technika jądrowa zbytnio

zbliżała się ku niebezpieczeństwu i należało ją hamować.

Wrócił do głównej części biblioteki i półek poświęconych matematyce i jej dziejom. Dotykał palcami poszczególnych tomów i po pewnym namyśle wyciągnął kilka i wpisał je na swoje nazwisko.

Po piąte: Noys.

Była to naprawdę ważna część interludium i jedyna część liryczna. W wolnych godzinach, po wyjściu Coopera, kiedy zazwyczaj jadał samotnie, czytał samotnie, spał samotnie, czekał samotnie na następny dzień — Harlan ruszał do kotłów.

Całym sercem był wdzięczny Twissellowi za pozycję Technika. Był wdzięczny jak nigdy za to, że go unikano.

Nikt go nie pytał, czy ma prawo przebywać w kotle, nikt nie troszczył się, dokąd zmierza — w przyszłość czy przeszłość. Nie ścigał go ciekawy wzrok, żadne chętne ręce nie ofiarowywały mu pomocy, gadatliwe usta nie rozmawiały o tej sprawie.

Mógł jechać, dokąd i kiedy tylko mu się podobało.

Noys mówiła:

— Zmieniłeś się, Andrew. O Nieba, jak się zmieniłeś! Patrzył na nią i uśmiechał się:

— W jaki sposób, Noys?

— Uśmiechasz się! Oto jeden z dowodów. Czy czasem spoglądasz do lustra i widzisz swój uśmiech?

— Boję się. Powiedziałbym: nie mogę być szczęśliwy. Jestem chory. Jestem pomylony. Zamknięto mnie w domu wariatów, gdzie śnię na jawie, nie wiedząc o tym.

Noys pochyliła się i uszczypnęła go.

— Czujesz coś?

Przyciągnął jej głowę ku swojej, zanurzył twarz w jej miękkich, pachnących włosach. Kiedy się rozdzielili, powiedziała bez tchu:

— Pod tym względem również się zmieniłeś. Stałeś się bardzo dobry w tych sprawach.

— Mam dobrą nauczycielkę — zaczął Harlan i urwał nagle, bojąc się, że może to być zrozumiane jako wyrzut: że to inni ją wykształcili.

Lecz w jej uśmiechu nie było śladu zakłopotania. Zjedli posiłek, a ona wyglądała bardzo pięknie w stroju, który jej dostarczył.

Zauważyła jego spojrzenie i lekko uniosła spódnicę, w tym miejscu, gdzie miękko obejmowała jej uda.

Powiedziała:

— Wolałabym, żebyś tego nie robił, Andrew. Naprawdę wolałabym.

— Nie ma niebezpieczeństwa — odparł beztrosko.

— Jest niebezpieczeństwo. Nie bądź głupi. Wystarczy mi to, co mam tutaj, póki… póki nie urządzisz wszystkiego.

— Dlaczego nie masz mieć własnych ubrań i ozdób?

— Ponieważ nie są warte tego, byś przybywał do mojego domu w Czasie i by cię na tym złapano. A co, jeśli przeprowadzą Zmianę, gdy tam będziesz?

— Nie złapią mnie — wykręcał się niepewnie. A potem przypomniał sobie: — Poza tym mój generator naręczny utrzymuje mnie w fizjoczasie, tak że Zmiana nie może na mnie wpłynąć, rozumiesz?

Noys westchnęła:

— Nie rozumiem. Myślę, że nigdy nie zrozumiem tego wszystkiego.

— Przecież to proste. — I Harlan tłumaczył i tłumaczył z wielkim zapałem, a Noys słuchała z iskrzącymi oczyma, które nigdy nie zdradzały, czy jest naprawdę zainteresowana, czy rozbawiona, czy jedno i drugie po trosze.

Życie Harlana przekształciło się całkowicie. Był ktoś, z kim mógł rozmawiać, dyskutować o sobie, swoich czynach i myślach. Było to tak, jakby ona stanowiła jego część, lecz część wystarczająco odrębną, by dla porozumiewania się z nią używać raczej słów niż myśli. Stanowiła część dość samodzielną, ażeby odpowiedzieć w sposób nieoczekiwany w wyniku niezależnych procesów myślowych. Dziwne, myślał Harlan, jak ktoś może obserwować zjawisko takie jak małżeństwo omijając tak zasadniczą prawdę z tym związaną. Czy on, Harlan, na przykład, mógłby z góry przepowiedzieć, że tak ułoży się jego współżycie z Noys, że namiętność będzie się w nim łączyła z sielanką?

Wśliznęła się w jego objęcia i powiedziała:

— Jak tam idzie z twoją matematyką? Harlan zapytał:

— Chcesz zerknąć na jedną rzecz?

— Nie mów mi, że nosisz to ze sobą.

— Czemu nie? Podróż kotłem zajmuje sporo czasu. Nie ma sensu go marnować.

Odsunął się od niej, wyciągnął z kieszeni mały czytacz, włożył film i uśmiechnął się czule, gdy podniosła to do oczu. Zwróciła mu czytacz, potrząsnęła głową:

— Nigdy nie widziałam tylu zakrętasów. Chciałabym umieć czytać wasz standardowy międzyczasowy.

— Jeśli chodzi o ścisłość — powiedział Harlan — większość zakrętasów, o których wspominasz, nie jest właściwie standardowym międzyczasowym, lecz właśnie zapisem matematycznym.

— A jednak ty to rozumiesz, prawda?

Harlan nie chciał pozbawiać się szczerego podziwu w jej oczach, lecz teraz musiał powiedzieć:

— Nie tyle, ile bym sobie życzył. Ale na moje potrzeby wystarczy. Nie muszę rozumieć wszystkiego, by zobaczyć dziurę w ścianie, dość

dużą, by przepchnąć przez nią kocioł towarowy.

Podrzucił czytacz do góry, chwycił go szybkim ruchem ręki i położył na stoliku.

Oczy Noys spoczęły na nim z zaciekawieniem i Harlana olśniła nagle myśl.

— Wielki Czasie! — zawołał. — Przecież ty nie znasz międzyczasowego!

— Nie. Oczywiście, że nie.

— Więc tutejsza filmoteka sekcyjna jest dla ciebie bezużyteczna. Nigdy o tym nie pomyślałem. Powinnaś mieć tu swoje filmy z 482.

— Nie — zaprotestowała szybko. — Nie potrzeba.

— Będziesz je miała.

— Nie. Nie chcę. Nie ma sensu ryzykować…

— Będziesz je miała! — powtórzył.

Po raz ostatni stał przed niematerialną granicą oddzielającą Wieczność od domu Noys w 482. Poprzednim razem zdecydował, że jest już po raz ostatni. Niebawem miała nastąpić Zmiana fakt, o którym nie powiedział Noys z respektu, jaki miał zawsze dla uczuć innych ludzi, a cóż dopiero dla swojej ukochanej.

Jednak postanowienie, żeby zrobić jeszcze jeden dodatkowy wypad, nie było trudne. Podjął je po części z brawury, żeby zabłysnąć przed Noys, przynosząc jej książkowe filmy z paszczy lwa, jeśli w ten sposób można było nazwać gładkolicego Finge'a.

A ponadto miałby okazję jeszcze raz zasmakować niesamowitej atmosfery skazanego na zagładę domu.

Odczuwał ją przedtem, gdy wchodził tam podczas „okresu łaski", dopuszczanego przez karty przestrzenno-czasowe. Czuł ją, gdy wędrował przez pokoje, zbierając ubrania, ozdoby, dzieła sztuki, dziwne naczyńka i przybory toaletowe Noys.

Panowała tam uroczysta cisza skazanej na zagładę Rzeczywistości, cisza, która była czymś więcej niż brakiem fizycznego hałasu. Harlan nie mógł z góry wiedzieć, jaki będzie odpowiednik tego domu w nowej Rzeczywistości. Może stanie się małym domkiem podmiejskim albo kamienicą w śródmieściu. Może wcale nie istnieć, a dzikie zarośla zajmą miejsce parku, w którym teraz stoi. Oczywiście, może również pozostać niemal nie zmieniony i (Harlan ostrożnie wracał do tej myśli) zamieszkany przez odpowiednik Noys albo przez kogoś innego.

Dla Harlana dom był już upiorem, widmem, które zaczęło straszyć jeszcze przed swym zgonem. A ponieważ taki, jaki był, miał dla niego ogromne znaczenie, nie chciał, żeby przeminął, i żałował go.

Tylko raz w ciągu pięciu wycieczek Harlana ciszę przerwał dźwięk. Był wtedy w spiżarni, zadowolony, że technologia owej Rzeczywistości i Stulecia uczyniła służbę niemodną i usunęła ten

problem. Przypomniał sobie, że dokonał wyboru spośród puszek z gotowym jedzeniem, i właśnie zdecydował, że na razie starczy, a Noys będzie zadowolona z odmiany w posilnym, lecz monotonnym pożywieniu z zasobów pustej sekcji. Roześmiał się nawet na myśl, że nie tak dawno uważał jej dietę za dekadencką.

Nagle usłyszał odległy klapiący dźwięk. Zamarł.

Dźwięk dochodził z tyłu i w chwili zaskoczenia, kiedy stał bez ruchu, pomyślał najpierw o mniejszym niebezpieczeństwie — o tym, że to włamanie, a dopiero potem o innym, większym — że to śledzący go Wiecznościowiec.

Ale to nie mógł być włamywacz. Cały okres karty przestrzen-no-czasowej, wraz z marginesem tolerancji, był starannie oczyszczony i wybrany spośród innych podobnych okresów Czasu właśnie ze względu na brak czynników komplikujących. Z drugiej strony, wprowadził mikrozmianę (a może nawet wcale nie taką „mikro") zabierając stąd Noys.

Z bijącym sercem zmusił się do zwrotu. Zdawało mu się, że drzwi za nim właśnie się zamknęły, przesuwając się o ostatni milimetr, potrzebny, by zrównały się ze ścianą. Miał ochotę otworzyć te drzwi i przeszukać dom.

Zabrawszy przysmaki dla Noys, wrócił do Wieczności i dwa pełne dni czekał na reperkusje, zanim odważył się wyruszyć w daleką przyszłość. Nie było żadnych reperkusji i w końcu zapomniał o incydencie.

Lecz teraz, gdy nastawiał urządzenia sterownicze, by po raz ostatni wejść w Czas, znowu o tym pomyślał. Albo raczej była to myśl o grożącej mu bliskiej Zmianie. Rozpamiętując później ten moment, doszedł do wniosku, że właśnie wskutek tego źle ustawił urządzenie sterownicze. Nie mógł znaleźć innego wyjaśnienia.

Błąd nie od razu dał się zauważyć. Harlan z ogromną dokładnością dotarł do właściwego pomieszczenia i wszedł do biblioteki Noys.

Teraz stał się już w tym stopniu dekadentem, że nie odstręczały go bynajmniej kunsztowne ozdoby zasobników z filmami. Litery tytułów, splatały się ze skomplikowanym filigranem, były bardzo ładne, lecz niemal nieczytelne. Estetyka triumfowała nad użytecznością.

Harlan wyjął kilka pierwszych z brzegu zasobników i zdziwił się. Tytuł jednego z nich brzmiał: Społeczne i ekonomiczne dzieje naszych czasów.

Tak, o tym rzeczywiście nie pomyślał. Noys z pewnością nie była głupia, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogłaby się interesować poważną literaturą. W pierwszym odruchu chciał przejrzeć te Społeczne i ekonomiczne dzieje, lecz zrezygnował. Z

pewnością znajdzie to dzieło w bibliotece 482 Stulecia. Finge niewątpliwie już parę miesięcy temu ograbił biblioteki istniejącej Rzeczywistości dla archiwów Wieczności.

Odłożył ten film na bok i przejrzał resztę, wybierając literaturę piękną i to, co wyglądało na lekką literaturę popularnonaukową. Wziął filmy i dwa czytniki kieszonkowe. Ostrożnie umieścił je w plecaku.

Właśnie w tej chwili znowu usłyszał jakiś dźwięk. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce. Był to dźwięk ściśle określony — śmiech, męski śmiech. Harlan nie był sam w domu.

Nie uświadamiał sobie nawet, że rzucił plecak. Przez jedną oszałamiającą sekundę mógł myśleć tylko o tym, że znalazł się w pułapce.

10. W pułapce!

Naraz wszystko to wydało się nieuniknione. Najstraszliwsza ironia losu. Wszedł w Czas po raz ostami, po raz ostami dał Finge'owi prztyczka w nos. I to właśnie wtedy go złapano.

Czy to Finge się śmiał?

Któż inny śledziłby go tutaj, czatował w zasadzce, siedział w sąsiednim pokoju i wybuchał śmiechem?

Czyżby wszystko było stracone? I ponieważ w owej przeraźliwej chwili miał pewność, że tak, nie przyszło mu do głowy, by się cofnąć, by jeszcze raz próbować ucieczki do Wieczności. Stanie przed Finge'em.

Zabije go w razie potrzeby.

Harłan ruszył ku drzwiom, za którymi rozległ się śmiech, podszedł do nich cichym, lecz zdecydowanym krokiem człowieka mającego popełnić morderstwo z premedytacją. Wyłączył automat drzwi i otworzył je ręką. Dwa centymetry, trzy. Otwierały się bezszelestnie.

Mężczyzna w sąsiednim pokoju był odwrócony plecami. Wydawał się zbyt wysoki na Finge'a i ten fakt przeniknął do rozgorączkowanego umysłu Harlana, powstrzymując go na miejscu.

Odrętwienie, które paraliżowało niejako obu mężczyzn, ustępowało powoli i tamten zaczął się odwracać centymetr po centymetrze.

Harłan nie czekał. Jeszcze nie zobaczył profilu tamtego mężczyzny, gdy hamując wybuch paniki, resztką sił odskoczył od drzwi. Mechanizm zamknął je bezdźwięcznie.

Harłan cofał się na ślepo. Oddychał z trudem, walcząc gwałtownie z atmosferą, z wysiłkiem wciągając powietrze i wydmuchując je. Serce biło mu szaleńczo, jakby chciało się wyrwać z ciała.

Finge, Twissell i cała Rada nie wyprowadziły Harlana z równowagi w tym stopniu. To nie strach przed czymś materialnym obezwładnił go. Raczej był to instynktowny wstręt do samej istoty wydarzenia, które go spotkało.

Pochwycił stos kaset z filmami, niezdarnie je zawinął i po dwóch daremnych próbach udało mu się przywrócić drzwi do Wieczności. Przeszedł przez nie jak nie na swoich nogach. Jakoś dotarł do 575 Stulecia, a potem do swojej kwatery. Jego technicyzm, na nowo doceniony, na nowo uznany, jeszcze raz go ocalił. Kilku Wiecznościowców, których spotkał, od razu zeszło na bok i jak zwykle uporczywie patrzyło ponad jego głową.

Całe szczęście, bo w żaden sposób nie mógł pozbyć się grymasu, jaki pozostał mu na twarzy, ani odzyskać normalnego kolorytu. Lecz

oni nie patrzyli, a on dziękował Czasowi i Wieczności, i wszelkim ślepym losom, które tym rządziły.

Nie zdążył rozpoznać mężczyzny w domu Noys, lecz z absolutną pewnością wiedział, kto to był.

Gdy po raz pierwszy Harłan usłyszał hałas w domu, był to własny śmiech, a dźwięk, który ten śmiech przerwał, był spowodowany upadkiem czegoś ciężkiego w sąsiednim pokoju. Gdy po raz drugi ktoś śmiał się w sąsiednim pokoju, on, Harłan, upuścił plecak z kasetami. Za pierwszym razem Harłan odwrócił się i zobaczył, że drzwi się zamykają. Za drugim Harłan zamykał drzwi, gdy obcy mężczyzna się odwracał.

Spotkał samego siebie!

W tym samym Czasie i niemal w tym samym miejscu on i jego wcześniejsze wcielenie sprzed kilku dni fizjologicznych prawie się spotkali. Źle nastawił urządzenie sterownicze, skierował je na ten moment w Czasie, który już wykorzystał, i spotkał samego siebie.

Wziął się do pracy, jakkolwiek cień grozy wisiał jeszcze nad nim przez wiele dni. Wymyślał samemu sobie od tchórzy, ale to nie pomagało.

Istotnie, od owej chwili wszystko zaczęło się nie udawać. Mógł dotknąć palcem granicy nieszczęścia. Kluczowym momentem była chwila, gdy nastawiał sterowanie drzwi do swego ostatniego wejścia w 482 Stulecie i jakimś sposobem nastawił je źle. Od tej pory wszystko szło coraz gorzej.

Zmiana Rzeczywistości w 482 Stuleciu odbyła się w tym okresie przygnębienia i jeszcze je pogłębiła. W ubiegłych dwóch tygodniach wynalazł trzy projektowane Zmiany Rzeczywistości, które zawierały drobniejsze błędy, dokonał spośród nich wyboru, lecz nie mógł się zmusić do działania.

Wybrał Zmianę Rzeczywistości 2456-2781 V-5 z wielu przyczyn. Z trzech proponowanych była najodleglejsza, działa się w najdalszej przyszłości. Omyłka była drobna, lecz ważna z punktu widzenia wartości życia ludzkiego. Potrzebny był więc tylko szybki wypad do 456 Stulecia, by drogą małego szantażu wykryć odpowiednik Noys w nowej Rzeczywistości.

Lecz hamował go strach po niedawnym przeżyciu. Zastosowanie lekkiej groźby nie wydawało mu się już sprawą prostą. A jeśli odnajdzie odpowiednik Noys, to co wtedy? Zostawić ją jako sprzątaczkę, krawcową, robotnicę czy kogokolwiek, kim będzie? Z pewnością. Ale co wtedy robić z samym odpowiednikiem? Z mężem, którego może mieć? Rodziną? Dziećmi?

Przedtem nigdy o tym nie myślał. Unikał myśli na ten tamat. „Wystarczy aż do dnia…”.

Ale teraz nie potrafi myśleć o niczym innym.

Leżał więc ponuro zadumany w swoim pokoju, nienawidząc samego siebie, gdy połączył się z nim Twissell. W jego zmęczonym głosie brzmiało pytanie, a nawet zdziwienie.

— Harlan, jesteś chory? Cooper mówił, że opuściłeś sporo dyskusji.

Harlan próbował rozpogodzić twarz.

— Nie, Kalkulatorze. Jestem nieco zmęczony.

— No cóż, to w każdym razie można wybaczyć, chłopcze. — A potem uśmiech na jego twarzy zaczął znikać. — Słyszałeś, że dokonano Zmiany 482 Stulecia?

— Tak — powiedział Harlan krótko.

— Połączył się ze mną Finge — mówił Twissell — i prosił, by ci przekazać, że Zmiana była całkowicie udana.

Harlan wzruszył ramionami; przypomniały mu się oczy Twissella, patrzące na niego twardo z ekranu wizjofonu. Poczuł się niepewnie i powiedział:

— Tak, Kalkulatorze?

— Nic — odparł Twissell i być może przytłaczający go ciężar wieku spowodował, że w jego głosie zabrzmiał bezgraniczny smutek. — Myślałem, że chciałeś coś powiedzieć.

— Nie — odparł Harlan. — Nie mam nic do powiedzenia.

— Dobrze. Więc spotkam się z tobą później w sali komputacyjnej, chłopcze. Ja mam ci dużo do powiedzenia.

— Tak, Kalkulatorze — rzekł Harlan. A gdy ekran ściemniał, wpatrywał się w niego jeszcze długo.

To brzmiało niemal jak groźba. Czy Finge naprawdę łączył się z Twissellem? Co powiedział, czego Twissell nie powtórzył?

Lecz zewnętrzne zagrożenie było mu potrzebne. Bo zwalczanie słabości ducha wyglądało tak, jakby ktoś stał wśród ruchomych piasków i bił je kijem. Lecz Finge to zupełnie inna sprawa. Harlan przypomniał sobie broń, którą miał do dyspozycji, i po raz pierwszy od kilku dni poczuł, że wróciła mu cząstka wiary w siebie.

Było to tak, jakby jedne drzwi się zamknęły, a drugie otworzyły. Harlan stał się równie gorączkowo aktywny, jak przedtem był apatyczny. Zrobił wypad do 2456 Stulecia i zmusił Socjologa Voya do posłuszeństwa.

Zrobił to doskonale. Uzyskał informacje, jakich szukał.

I więcej, niż szukał. O wiele więcej.

Pewność siebie najwidoczniej popłaca. W jego ojczystym Stuleciu istniało przysłowie: „Mocno chwyć pokrzywę, a stanie się ona kijem, którym pobijesz swojego wroga”.

Mówiąc pokrótce, Noys nie miała odpowiednika w nowej Rzeczywistości. W ogóle żadnego odpowiednika. Mogła zająć pozycję w nowym społeczeństwie w najbardziej nie rzucający się w oczy i

wygodny sposób albo mogła pozostać w Wieczności. Nie było powodu zabraniać Harlanowi związku z Noys poza czysto teoretycznym — że złamał prawo, a wiedział bardzo dobrze, jak obalić ten argument.

Popędził więc, by powiedzieć Noys wielką nowinę i rozkoszować się sukcesem po kilku dniach klęski.

I w tym momencie kocioł zatrzymał się.

Nie zwalniał — po prostu stanął. Gdyby ruch odbywał się w przestrzeni, gwałtowne zahamowanie zmiażdżyłoby kocioł, rozpaliło metal, zmieniło Harlana w kupkę połamanych kości i poszarpanego ciała.

Poczuł mdłości i jakiś wewnętrzny ból.

Gdy już mógł widzieć, niezgrabnie ujął temporometr i wybałuszył nań zamglone oczy. Odczytał liczbę 100 000.

To go przeraziło. Liczba była zbyt okrągła. Gorączkowo odwrócił się ku urządzeniom sterującym. Czyżby coś się zepsuło?

Przeraził go również fakt, że nie widział żadnego defektu. Nic nie blokowało dźwigni ruchu. Stała mocno na kierunku przyszłości. Nie było zwarcia. Wskazówki wszystkich aparatów znajdowały się w czarnym pasie bezpieczeństwa. Nie ustał dopływ prądu. Cienka igiełka wskazująca stałe zużycie mega-megaculombów mocy świadczyła spokojnie, że prąd jest pobierany normalnie.

Więc cóż zatrzymało kocioł?

Powoli, ostrożnie, Harlan dotknął dźwigni ruchu i zacisnął na niej palce. Przesunął ją na pozycję neutralną, a wtedy wskazówka zużycia mocy przesunęła się na zero.

Przestawił dźwignię ruchu w odwrotnym kierunku. Wskazówka zużycia mocy ruszyła znowu, a temporometr błyskał numerami mijanych Stuleci.

W przeszłość… w przeszłość 99983, 99972, 99959…

Harlan znowu przesunął dźwignię. Znowu w przyszłość. Powoli. Bardzo powoli.

A więc: 99985, 99993, 99997, 99998, 99999, 100 000…

Trzask! Ani kroku poza sto tysięcy. Energia Nova Soi szła w olbrzymich ilościach bez żadnego skutku.

Znowu pojechał wstecz, i to dalej. Popędził naprzód. Stop!

Zacisnął zęby, dyszał. Tłukł się jak więzień o kraty celi.

Kiedy zatrzymał się po kolejnych dziesięciu próbach, kocioł stał twardo na 100 000. Tylko dotąd, nic dalej.

Zmieni kotły. (Lecz w tej myśli nie było zbyt wiele nadziei).

W pustej ciszy 100 000 Stulecia Andrew Harlan wysiadł z kotła i wybrał sobie inny szyb komunikacyjny.

W minutę później, ściskając w ręku dźwignię ruchu, wpatrywał się w liczbę 100 000 i wiedział, że i tędy się nie przedostanie.

Szalał. Teraz, gdy sprawy tak nieoczekiwanie zmieniły się na jego

korzyść — takie nagłe nieszczęście! Przekleństwo omyłki przy wejściu do 482 Stulecia nadal na nim ciążyło.

Wściekły, przy dusił dźwignię w dół, aż do maksimum, i utrzymał na tym poziomie. Przynajmniej na jeden sposób był teraz wolny, mógł robić, co chce. Gdy Noys była odcięta za barierą Czasu i niedostępna, cóż mogli mu jeszcze uczynić? Czegóż jeszcze mógł się bać?

Przeniósł się do 575 Stulecia i wyskoczył z kotła z nie znanym mu dotąd uczuciem bezwzględnego lekceważenia otoczenia. Poszedł do biblioteki sekcyjnej, nie odzywając się do nikogo, nie patrząc. Wziął, co mu było potrzebne, nie zważając, czy jest obserwowany. Cóż mogło go to obchodzić?

Wrócił do kotła i pojechał wstecz. Dokładnie wiedział, co zrobi. Przedtem spojrzał na wielki zegar odmierzający standardowy fizjoczas, liczący dnie i dzielący je na trzy robocze zmiany fizjodoby. Finge będzie znajdował się teraz w swym prywatnym mieszkaniu, a więc jeszcze lepiej.

Harlan czuł wzbierającą gorączkę, gdy przybył do 482 Stulecia. Usta miał suche i obrzmiałe, kłuło go w piersi, lecz wyczuwał twardy kształt broni pod ubraniem, przyciskał ją mocno łokciem i tylko to miało znaczenie.

Zastępca Kalkulatora Hobbe Finge spojrzał na Harlana, a zaskoczenie w jego oczach ustępowało stopniowo zainteresowaniu.

Harlan przez chwilę obserwował go w ciszy, pozwalając, by zainteresowanie wzrosło, i czekając, aż się przemieni w strach. Powoli wszedł między Finge'a a ekran wizjofonu.

Finge był goły do pasa. Pierś miał rzadko owłosioną, pulchną, niemal kobiecą. Brzuch mu zwisał.

Zupełnie bez godności, pomyślał Harlan z satysfakcją. Wygląda idiotycznie. Tym lepiej.

Wsunął prawą dłoń za koszulę i ujął uchwyt broni.

Powiedział

— Nikt mnie nie widział, Finge, więc nie patrz na drzwi. Nikt tu nie przyjdzie. Musisz zrozumieć, Finge, że masz do czynienia z Technikiem. Wiesz, co to znaczy?

Głos jego brzmiał głucho. Był zły, że w oczach Finge'a nie pojawia się strach, a tylko zainteresowanie. Finge sięgnął nawet po koszulę i bez słowa zaczął ją wkładać.

Harlan kontynuował:

— Znasz przywileje Technika, Finge? Nigdy nie byłeś Technikiem, więc nie możesz tego ocenić. Oznacza to, że nikt nie patrzy, dokąd idziesz i co robisz. Wszyscy patrzą w inną stronę i tak się wysilają, żeby cię nie widzieć, że istotnie im się to udaje. Na przykład, mogę iść do biblioteki sekcyjnej i wybrać sobie dowolnie ciekawe dzieło, podczas gdy bibliotekarz pilnie zajmuje się swymi katalogami i nic nie

widzi. Mogę przespacerować się korytarzami części mieszkalnej 482 Stulecia, a wszyscy będą mi schodzili z drogi i przysięgali później, że nikt mnie nie widział. Dzieje się to automatycznie. Więc widzisz, że mogę robić, co zechcę, i iść, dokąd mi się podoba. Mogę wejść do prywatnego apartamentu Zastępcy Kalkulatora Sekcji i zmusić go do powiedzenia prawdy pod groźbą użycia broni, i nie znajdzie się nikt, kto by mnie powstrzymał.

Finge odezwał się po raz pierwszy:

— Co tam masz?

— Broń — powiedział Harlan i wyciągnął ją. — Poznajesz to? — Wylot lufy połyskiwał lekko i kończył się małym zgrubieniem.

— Jeśli mnie zabijesz… — zaczął Finge.

— Nie zabiję cię — powiedział Harlan. — Podczas ostatniego spotkania miałeś ze sobąeksploder. To nie jest eksploder. To wynalazek jednej z ostatnich Rzeczywistości 575 Stulecia. Możliwe, że tego nie znasz. Został wydobyty z Rzeczywistości. Paskudna broń. Może zabić, lecz przy małym napięciu aktywizuje ośrodki bólu w systemie nerwowym i powoduje paraliż. Nazywa się to albo było nazywane biczem neuronowym. Działa. Jest naładowany. Sprawdzałem na palcu. — Podniósł lewą dłoń z zesztywniałym małym palcem. — To bardzo nieprzyjemne.

Finge poruszył się niespokojnie,.

— O co chodzi, na miłość Czasu?

— Powstało coś w rodzaju blokady w szybie kotła koło 100 000 wieku. Chcę, żeby to usunięto.

— Blokada w szybie kotła?

— Nie udawaj, że cię to zaskoczyło. Wczoraj rozmawiałeś z Twissellem. Dzisiaj powstała blokada. Chcę wiedzieć, co powiedziałeś Twisselowi. Chcę wiedzieć, co w tej sprawie zrobiono i co jeszcze zostanie zrobione. Na miłość Czasu, Kalkulatorze, jeśli mi nie powiesz, użyję bicza. Spróbuj, jeśli mi nie wierzysz.

— Więc słuchaj — słowa Finge'a były niezbyt wyraźne i widać było po nim pierwsze oznaki strachu, a jednocześnie rodzaj desperackiego gniewu. — Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, będziesz ją znał. Wiemy o tobie i o Noys.

Harlan zamrugał oczyma.

— Co o mnie i o Noys? Finge powiedział:

— Myślisz, że zawsze uda ci się ze wszystkiego wykręcić? — Kalkulator wpatrywał się w bicz neuronowy, a jego czoło zaczęło błyszczeć. — Na miłość Czasu, po tym, jakie uczucia okazywałeś po swoim okresie Obserwacji, po tym, co robiłeś podczas Obserwacji, myślisz, że moglibyśmy cię nie śledzić? Zasługiwałbym na zdjęcie ze stanowiska, gdybym tego nie zrobił. Wiem, że sprowadziłeś Noys do Wieczności. Wiedzieliśmy o tym od początku. Chciałeś prawdy. Oto

ona.

W owej chwili Harlan pogardzał własną głupotą.

— Wiedzieliście?

— Tak. Wiemy, że wywiozłeś ją do Ukrytych Stuleci. Wiedzieliśmy za każdym razem, gdy wstępowałeś w 482 Stulecie, by ją zaopatrzyć w odpowiednie artykuły zbytku, robiąc z siebie durnia, zapominając o przysiędze Wiecznościowca.

— Więc dlaczego mnie nie zatrzymaliście? — Harlan przeżywał teraz gorzki smak upokorzenia.

— Nadal chcesz znać prawdę? — Finge cofnął się i wyglądało na to, że odzyskuje odwagę, w miarę jak Harlan pogrąża się w bezsilnym gniewie.

— Mów!

— Otóż wiedz, że nigdy nie uważałem cię za prawdziwego Wiecznościowca. Może za błyskotliwego Obserwatora i Technika. Ale nie Wiecznościowca. Kiedy sprowadziłem cię tutaj do tej ostatniej roboty, chodziło o to, by dowieść tego również Twissellowi, który ceni cię z jakiegoś podejrzanego powodu. Ja nie tylko badałem społeczeństwo w osobie Noys. Badałem również ciebie, a ty zawiodłeś na całej linii, tak zresztą jak się spodziewałem. A teraz odłóż tę broń, ten bicz, czy jak on się tam nazywa, i wyjdź stąd.

— I przyszedłeś wtedy do mojego mieszkania — powiedział Harlan bez tchu, wytężając wszystkie siły, by zachować twarz, i czując, że mu się to nie udaje, jak gdyby jego umysł i duch były równie drętwe i nieczułe, jak mały palec porażony neuronowym biczem — przyszedłeś, by skłonić mnie do robienia tego, co zrobiłem?

— Oczywiście. Jeśli mam być ścisły — kusiłem cię. Powiedziałem ci prawdę: że możesz utrzymać Noys tylko w istniejącej wtedy Rzeczywistości. A ty postąpiłeś nie jak Wiecznościowiec, lecz jak smarkacz. Zresztą spodziewałem się tego.

— Zrobiłbym to samo raz jeszcze — odparł Harlan szorstko — a ponieważ wszystko jest już znane, widzisz, że nie mam nic do stracenia. — Skierował bicz w brzuch Finge'a i zapytał przez zaciśnięte zęby: — Co się stało z Noys?

— Nie mam pojęcia.

— Bzdura. Co się stało z Noys?

— Mówię przecież, że nie wiem. Harlan mocniej ścisnął bicz i zniżył głos.

— Zaczniemy od nogi. To będzie bolało.

— Na miłość Czasu, słuchaj. Czekaj!

— W porządku. Co się z nią stało?

— Nie, słuchaj! Jak do tej pory, to jest tylko złamanie dyscypliny. Bez wpływu na Rzeczywistość. Sprawdziłem to. Skończy się dla ciebie tylko degradacją. Jeśli mnie zabijesz albo zranisz w zamiarze

popełnienia zabójstwa, będzie to oznaczało, że zaatakowałeś starszego rangą. Za to jest kara śmierci.

Harlan uśmiechnął się na tę czczą groźbę. W obliczu tego, co się już zdarzyło, śmierć stanowiłaby tylko rozwiązanie, ostateczne i proste.

Finge najwidoczniej źle zrozumiał powód uśmiechu, bo dodał szybko:

— Nie myśl, że w Wieczności nie istnieje kara śmierci dlatego tylko, że nigdy się z nią nie spotkałeś. Ale my znamy takie wypadki, my, Kalkulatorzy. Co więcej, odbywały się również egzekucje. To proste. W każdej Rzeczywistości zdarza się mnóstwo śmiertelnych wypadków i ciała nie zostająodnalezione. Rakiety eksplodują w stratosferze, samoloty toną w głębiach oceanów albo rozbijają się w górach. Mordercę można umieścić w jednym z tych statków na kilka minut czy sekund przed katastrofą. Czy warto ci ryzykować?

Harlan poruszył się i powiedział:

— Jeśli próbujesz się ratować, ta metoda nie podziała. Oświadczam ci: nie boję się kary. Ponadto chcę mieć Noys. Chcę mieć ją zaraz. Ona nie istnieje w bieżącej Rzeczywistości. Nie ma odpowiednika. Nie ma więc przyczyn, dla których nie moglibyśmy zawrzeć formalnego związku.

— To jest niezgodne z przepisami. Technik bowiem…

— Zostawimy tę decyzję Radzie Wszechczasów — powiedział Harlan i jego duma wreszcie doszła do głosu. — Nie boję się odmowy, podobnie jak nie boję się zabić ciebie. Nie jestem zwykłym Technikiem.

— Dlatego, że jesteś Technikiem Twissella? — Na okrągłej, spoconej twarzy Finge'a pojawił się dziwny wyraz: nienawiści albo triumfu, albo jednego i drugiego naraz.

Harlan powiedział:

— Z przyczyn o wiele ważniejszych niż ta. A teraz…

Z ponurą determinacją dotknął palcem aktywatora broni. Finge wrzasnął.

— Więc idź do Rady. Do Rady Wszechczasów. Oni wiedzą. Jeśli jesteś taki ważny… — urwał chwytając powietrze.

Palec Harlana zatrzymał się w pół ruchu.

— No więc?

— Myślisz, że w podobnym przypadku podjąłbym akcję sam? O całym incydencie złożyłem raport do Rady Wszechczasów jednocześnie ze Zmianą Rzeczywistości. Proszę! Tu są kopie.

— Nie ruszaj się!

Lecz Finge zlekceważył rozkaz. Błyskawicznie rzucił się do swoich akt. Gdy palcem jednej ręki przyciskał szyfrowy zamek szafki, druga sięgnęła do teczki. Z biurka wysunął się srebrny język folii, jego

perforacja była widoczna nawet gołym okiem.

— Chcesz, żeby to udźwiękowić? — zapytał Finge i nie czekając włożył taśmę do udźwiękowiacza.

Harlan słuchał jak sparaliżowany. Wszystko było jasne. Finge złożył raport. Opisywał każdy ruch Harlana w szybach komunikacyjnych. Nie opuścił ani jednego.

Gdy raport się skończył, Finge wrzasnął:

— A więc idź do Rady. Nie założyłem zapory w Czasie. Nie wiedziałbym, jak to zrobić. I nie myśl, że ich ta sprawa nie obchodzi. Mówiłeś, że wczoraj rozmawiałem z Twissellem. Masz rację. Ale nie ja się z nim łączyłem, to on mnie wzywał. Więc idź, zapytaj Twissella. Powiedz im, jaki to z ciebie ważny Technik. A jeśli chcesz mnie przedtem zastrzelić, to strzelaj i do Czasu z tobą! — Harlan nie mógł nie dostrzec uniesienia w głosie Kalkulatora. W tej chwili Finge czuł się na tyle silny, by wierzyć, że nawet neuronowa chłosta przyniesie mu korzyść.

Dlaczego? Czy złamanie Harlana było tak drogie jego sercu? Czy zazdrość o Noys była tak silną namiętnością?

Ledwie Harlan zdążył sformułować te pytania w swoim umyśle, a już Finge i cała sprawa nagle wydała mu się bez znaczenia.

Schował broń do kieszeni, szybko wyszedł i skierował się ku najbliższemu szybowi komunikacyjnemu.

A więc to była Rada albo co najmniej Twissell. Nie bał się ich ani pojedynczo, ani wszystkich razem.

Z każdym mijającym dniem ostatniego niewiarygodnego miesiąca utwierdzał się w przekonaniu, że jest niezastąpiony. Rada, nawet sama Rada Wszechczasów, nie może postąpić inaczej, jak tylko próbować dojść z nim do porozumienia, skoro stawką za jedną dziewczynę jest istnienie całej Wieczności.

11. Pełny krąg

Technik Andrew Harlan wskakując w 575 Stulecie znalazł się na nocnej zmianie, co go bardzo zdziwiło. Przemijanie fizjogodzin było niedostrzegalne podczas jego dzikich wędrówek szybami komunikacyjnymi. Patrzył tępo na przyćmione światła w korytarzach — oczywisty dowód, że pracuje nieliczna nocna załoga.

Lecz Harlan był tak wściekły, że nie mógł długo siedzieć bezczynnie. Ruszył ku kwaterom prywatnym. Odnajdzie mieszkanie Twissella w kondygnacji Kalkulatorów, tak samo jak odnalazł mieszkanie Finge'a; wcale się nie boi, że go ktoś zauważy lub zatrzyma.

Nadal wyczuwał łokciem twardą rękojeść bicza neuronowego. Zatrzymał się przed drzwiami Twissella (nazwisko na tabliczce było wypisane prostymi grawerowanymi literami).

Obcesowo zaktywizował sygnał drzwiowy. Przydusił go wilgotną dłonią, tak że dźwięk stał się ciągły, jednak słabo słyszalny przez drzwi.

Usłyszał za sobą lekkie kroki, lecz zignorował je w przekonaniu, że tamten człowiek, kimkolwiek jest, również go zignoruje (to ta różowo-czerwona naszywka Technika!).

Lecz kroki zatrzymały się i jakiś głos spytał:

— Technik Harlan?

Harlan odwrócił się błyskawicznie. Był to Młodszy Kalkulator, stosunkowo nowy w sekcji. Harlana ogarnął gniew. Tu znajdował się w innej sytuacji niż w 452 Stuleciu. Był nie tylko Technikiem, lecz Technikiem Twissella, a Młodsi Kalkulatorzy ze strachu, by się nie narazić wielkiemu Twissellowi, potrafili zdobyć się na minimum grzeczności wobec niego, Technika. Kalkulator zapytał:

— Chce pan widzieć się ze Starszym Kalkulatorem Twissellem? Harlan poruszył się nerwowo.

— Tak, Kalkulatorze (A to głupiec! Co on sobie myśli: po co się dzwoni do czyichś drzwi! Żeby złapać kocioł?).

— Obawiam się, że to niemożliwe — oświadczył Kalkulator.

— Sprawa jest tak ważna, że trzeba go obudzić — odparł Harlan.

— Możliwe — zgodził się tamten. — Ale on jest w podróży. Nie ma go w 575 Stuleciu.

— Więc dokładnie kiedy jest? — zapytał Harlan. Kalkulator spojrzał wyniośle.

— Nie wiem — powiedział.

— Aleja mam ważne spotkanie z samego rana.

— Pan ma spotkanie — rzekł Kalkulator, a Harlan omal nie wyszedł z siebie widząc rozbawienie na jego twarzy.

Kalkulator mówił dalej, z uśmiechem:

— Przyszedł pan nieco za wcześnie, prawda?

— Muszę się z nim widzieć.

— Jestem pewny, że rano się zjawi. — Kalkulator uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Ale…

Kalkulator minął Harlana uważając, by go nie dotknąć nawet ubraniem.

Harlan zaciskał i otwierał dłonie. Patrzył bezradnie za Kalkulatorem, a potem, ponieważ nie pozostało mu nic innego, wolno i nie całkiem przytomnie wrócił do swego mieszkania.

Spał niespokojnie. Mówił sobie, że potrzebuje snu. Na siłę próbował wypocząć i oczywiście nie udało mu się to. Sen przyszedł dopiero po nerwowych rozmyślaniach.

Przede wszystkim była Noys.

Myślał gorączkowo, że nie ośmielą się zrobić jej krzywdy. Nie mogą odesłać jej znowu w Czas, bez analizy oddziaływania na Rzeczywistość, a to potrwa wiele dni, a może nawet tygodni. Ewentualnie mogliby zrobić jej to, czym groził mu Finge: spowodować wypadek.

Ale właściwie nie brał tego pod uwagę. Tak drastyczna akcja nie była potrzebna. Rada nie chciałaby się narażać na gwałtowną reakcję Harlana. (W spokoju zaciemnionej sypialni i późnie niektóre sprawy stawały się dziwacznie nieproporcjonalne, lecz Harlan nie znajdował nic groteskowego w swej pewności, że Rada Wszechczasów nie ośmieli się narazić na niezadowolenie Technika).

Bez wątpienia kobieta w niewoli może być wykorzystywana na różne sposoby. Piękna kobieta z hedonistycznej Rzeczywistości. Harlan zdecydowanie odrzucił tę myśl, ilekroć powracała. Było to bardziej nieprawdopodobne niż śmierć, której nie mógł przecież brać pod uwagę.

Pomyślał o Twissellu.

Starego człowieka nie było w 575 Stuleciu. Gdzie się podziewał w tych godzinach, kiedy powinien spać? Stary potrzebuje snu. Harlan wiedział, że odbywają się dyskusje Rady. O nim. O Noys. O tym, co robić z niezastąpionym Technikiem, którego nikt nie śmie ruszyć.

Ściągnął wargi. Jeśli nawet Finge złożył raport o dzisiejszym zamachu, w najmniejszym stopniu nie wpłynie to na ich rozważania. Harlan będzie równie niezbędny jak przedtem.

A Harlan bynajmniej nie był pewny, czy Finge złoży meldunek. Gdyby się przyznał, że musiał się płaszczyć przed Technikiem, postawiłoby go to jako Zastępcę Kalkulatora w złym świetle, więc może się na to nie zdecydował.

Harlan myślał teraz o Technikach jako o grupie, co ostatnio

rzadko robił. Jego nieco wyjątkowa pozycja jako człowieka Twissella i na pół Edukatora utrzymywała go z dala od innych Techników. Lecz tak czy inaczej, Technikom brakowało solidarności. Dlaczego tak było?

Czy musi wędrować przez 575 i 482 Stulecia prawie nie widując innych Techników i nie rozmawiając z nimi? Czy muszą unikać siebie nawzajem? Czy muszą postępować tak, jakby akceptowali stan, do którego przesądy innych ich zmusiły?

W swej wyobraźni zmusił już do kapitulacji Radę w sprawie Noys, a teraz stawiał dalsze żądania. Technikom trzeba pozwolić na stworzenie własnej organizacji, regularne odbywanie zebrań — więcej przyjaźni, lepsze traktowanie ze strony innych Wiecznościowców.

Gdy wreszcie zapadł w sen, widział siebie jako bohaterskiego rewolucjonistę z Noys u boku…

Obudził go sygnał drzwiowy. Szeptał do niego ochryple, z niecierpliwością. Zebrał myśli na tyle, że mógł spojrzeć na mały zegar obok łóżka i jęknął.

Ojcze Czasie! Mimo wszystko zaspał.

Udało mu się sięgnąć z łóżka do właściwego guzika i płyta wizyjna wysoko na drzwiach stała się przezroczysta. Nie znał twarzy, która się pojawiła, ale do kogokolwiek należała, miała na sobie piętno władzy.

Otworzył drzwi i mężczyzna z pomarańczową naszywką Administracji wszedł do pokoju.

— Technik Andrew Harlan?

— Tak, Administratorze. Ma pan do mnie interes? Administrator nie wyglądał na speszonego wyraźną wojowniczością tego pytania. Powiedział:

— Pan był umówiony ze Starszym Kalkulatorem Twissellem?

— Więc?

— Mam pana poinformować, że się pan spóźnił. Harlan wytrzeszczył oczy.

— O co chodzi? Pan jest z 575?

— Mój bazą jest 222-odparł tamten lodowato. — Zastępca Administratora Arbut Lemm. Mam nadzór nad przygotowaniami i próbuję oszczędzić niepotrzebnego zdenerwowania związanego z oficjalnymi zawiadomieniami przez wizjofon.

— Jakie przygotowania? Jakie zdenerwowanie? O co tu chodzi? Miewałem już konferencje z Twissellem. To mój przełożony. Nie mam powodu się denerwować.

Wyraz zdziwienia przebił się na krótką chwilę poprzez wystudiowaną obojętność na twarzy Administratora.

— Więc pana nie poinformowano?

— O czym?

— Komitet Rady Wszechczasów odbywa posiedzenie właśnie w 575. Podobno od wielu godzin ten rejon aż się trzęsie od plotek.

— I chcą się ze mną zobaczyć?

Zadając to pytanie Harlan myślał: oczywiście, że chcą się ze mną zobaczyć. O czym mogliby radzić, jak nie o mnie?

Zrozumiał rozbawienie na twarzy Młodego Kalkulatora, którego spotkał przed drzwiami Twissella ubiegłego wieczoru. Kalkulator wiedział o projektowanym posiedzeniu komitetu i bawiła go myśl, że Technik spodziewa się spotkać z Twissellem właśnie w tym czasie. Bardzo zabawne — pomyślał gorzko Harlan.

Administrator powiedział:

— Otrzymałem rozkazy. Nic więcej nie wiem. — A potem spytał, nadal zdziwiony: — Więc pan nic o tym nie słyszał?

— Technicy — odparł Harlan sarkastycznie — żyją w izolacji.

Pięciu, nie licząc Twissella! Wszystko Starsi Kalkulatorzy, każdy z nich miał za sobą co najmniej trzydzieści piąć lat w Wieczności. Jeszcze sześć tygodni temu Harlan byłby zaszczycony jedząc obiad w takim towarzystwie, oszołomiony połączeniem odpowiedzialności i siły, jaką reprezentowali. Wydawaliby mu się olbrzymami.

Teraz byli przeciwnikami, gorzej nawet — sędziami. Nie miał czasu na poddawanie się wrażeniom. Musiał planować swoją strategię.

Mogli jeszcze nie wiedzieć, że on uświadamia sobie, iż oni mają Noys. Mogli nie wiedzieć, jeśli Finge nie opowiedział im o swym ostatnim spotkaniu z Harlanem. A w jasnym świetle dnia Harlan był jeszcze bardziej niż dotychczas przekonany o jednym: Finge nie jest człowiekiem, który rozgłaszałby, że został sterroryzowany i znieważony przez Technika.

Harlan uznał za wskazane nie ujawniać na razie tego bardzo korzystnego faktu, pozwolić im na zrobienie pierwszego posunięcia, wypowiedzenie pierwszego zdania, które rozpocznie potyczkę.

Ale im się najwyraźniej nie śpieszyło. Spoglądali na niego łagodnie, spożywając abstynencki obiad, jakby Harlan był interesującym obiektem badań naukowych. Harlan w desperacji przyglądał im się również.

Znał ich wszystkich ze słyszenia i z trójwymiarowych zdjęć w comiesięcznych filmach informacyjnych. Filmy koordynowały działalność różnych sekcji Wieczności i były obowiązkowe dla wszystkich Wiecznościowców, poczynając od stopnia Obserwatora.

August Sennor, ten łysy (nawet bez brwi i rzęs), niewątpliwie interesował Harlana najbardziej. Po pierwsze, z powodu niesamowitych ciemnych, nieruchomych oczu pod nagimi powiekami i czołem. Był wyraźnie wyższy, niż się wydawał w trymensji. Po drugie, ze względu na dawniejsze różnice poglądów między nim a Twissellem… Wreszcie dlatego, że nie ograniczał się do patrzenia.

Rzucał mu pytania ostrym tonem.

W większości były to pytania retoryczne w rodzaju:

— Jak doszło do tego, że się zainteresowałeś czasami Prymitywu, młody człowieku? Uważasz, że te studia ci się opłacają, młody człowieku?

Wreszcie usadowił się na dobre w swoim fotelu. Obojętnie popchnął talerz do przewodu dyspozycyjnego, lekko splótł przed sobą grube palce (ręce miał również nieowłosione, jak zauważył Harlan) i powiedział:

— Jest coś, co zawsze chciałem wiedzieć. Może pan mi w tym pomoże.

Harlan pomyślał: no, teraz się zacznie.

A głośno odparł:

— Jeśli będę mógł, Kalkulatorze.

— Niektórzy z nas w Wieczności… nie powiedziałbym, że wszyscy albo nawet, że wielu (rzucił szybkie spojrzenie na zmęczoną twarz Twissella, podczas gdy inni przysunęli się bliżej, żeby słuchać), ale w każdym razie kilku z nas — jest zainteresowanych w filozofii Czasu. Sądzę, że rozumie pan, co mam na myśli.

— Paradoksy podróży w Czasie?

— Owszem, jeśli chce pan to ująć tak melodramatycznie. Lecz oczywiście to nie wszystko. Istnieje kwestia prawdziwej natury Rzeczywistości, kwestia zachowania energii masy podczas jej Zmiany i tak dalej. No cóż, na nas w Wieczności, na nasze poglądy w tych sprawach wywiera wpływ znajomość podróży w Czasie. Jednak pańskie istoty z ery Prymitywu nie wiedziały nic o podróżach w Czasie. Jakie były ich poglądy na te sprawy?

Harlan powiedział:

— Ludzie Prymitywu w ogóle nie myśleli o podróżach w Czasie, Kalkulatorze.

— Nie uważali ich za możliwe, co?

— Sądzę, że nie.

— Nawet nie zastanawiali się nad tym?

— Cóż, jeśli o to chodzi — powiedział Harlan niepewnie — wydaje mi się, że były spekulacje tego rodzaju w niektórych dziełach literatury eskapistycznej. Nie znam jej zbyt dokładnie, lecz sądzę, że najczęściej spotykanym tematem był temat człowieka, który wraca w Czasie, by zabić swego dziadka, będącego jeszcze dzieckiem.

Sennor wyglądał na zachwyconego:

— Cudownie! Cudownie! Mimo wszystko jest to przynajmniej wyraz podstawowego paradoksu podróży w Czasie, jeśli przyjmiemy, że Rzeczywistość jest niezmienna, co? Więc pana Prymitywni, pozwalam sobie stwierdzić, nigdy nie przypuszczali, że istnieje cokolwiek innego, jak niezmienna Rzeczywistość, tak?

Harlan zwlekał z odpowiedzią. Nie wiedział, dokąd zmierza rozmowa, ani jaki cel ma Sennor, i to go denerwowało. Powiedział:

— Za mało wiem, by odpowiedzieć z całą pewnością, Kalkulatorze. Sądzę, że rozważano zmiany dróg Czasu albo plany egzystencji.

Sennor wysunął dolną wargę:

— Jestem pewny, że się pan myli. Czytając, podkłada pan swą wiedzę pod różne niejasności i to wprowadza pana w błąd. Nie, bez rzeczywistego doświadczenia w podróżach w Czasie filozoficzne zawiłości Rzeczywistości przekraczałyby zdolność pojmowania ludzkiego umysłu. Na przykład, dlaczego Rzeczywistość ma inercję? Każda poprawka musi osiągnąć pewną wielkość w swoim przebiegu, zanim da się spowodować Zmianę, prawdziwą Zmianę. A nawet wtedy Rzeczywistość ma tendencję do odpływu wstecznego do swej pierwotnej pozycji.

Na przykład przypuśćmy, że teraz w 575 Rzeczywistość zmieni się i efekty zmiany będą wzrastały do być może 600 Stulecia. Od 600 do 650 Stulecia efekty będą coraz mniejsze. Potem Rzeczywistość pozostanie nie zmieniona. Wszyscy wiemy, że tak jest, ale czy ktoś z nas wie, dlaczego tak jest? Intuicyjne rozumowanie wskazywałoby, że skutki każdej Zmiany Rzeczywistości będą się zwiększać bez granic, w miarę jak mijają Stulecia, ale tak nie jest.

Rozważmy co innego. Mówiono mi, że Technik Harlan jest znakomity, jeśli chodzi o wybór wymaganego Minimum Zmian dla każdej sytuacji. Jestem pewny, że nie potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób dokonuje tego wyboru.

Pomyślcie, jak bezsilni musieli być Prymitywni. Martwią się o człowieka zabijającego własnego dziadka, ponieważ nie rozumieją prawdy o Rzeczywistości. Weźmy bardziej prawdopodobny i łatwiejszy do zanalizowania przypadek człowieka, który podróżuje w Czasie i spotyka samego siebie…

— Więc co z człowiekiem, który spotyka samego siebie? — zapytał Harlan ostro.

Już sam fakt, że Harlan przerwał Kalkulatorowi, był naruszeniem dobrych manier. Ale jego ton uczynił to naruszenie wręcz skandalicznym i oczy wszystkich zwróciły się z wyrzutem na Technika.

Sennor był urażony, lecz mówił dalej tonem człowieka, który chce być grzeczny, mimo że partner zachowuje się grubiańsko. Powiedział, kontynuując przerwaną wypowiedź i unikając w ten sposób pozorów, że odpowiada na zadane mu niegrzeczne pytanie:

— Są cztery podgrupy, do których można włączyć takie wydarzenie. Nazwijmy człowieka wcześniejszego w fizjoczasie A, późniejszego zaś B. Podgrupa pierwsza: A i B mogą się nie widzieć ani

nie robić nic, co by w znaczniejszym stopniu wpływało na nich wzajemnie. A więc praktycznie właściwie się nie spotkali i możemy odrzucić ten przypadek jako banalny.

Albo B może widzieć A, podczas gdy A nie widzi B. W tym wypadku również nie należy się spodziewać poważniejszych konsekwencji. B widząc A, widzi go w znanej już sytuacji i działaniu. Nie wchodzi w grę nic nowego.

Możliwości trzecia i czwarta występują wtedy, gdy A widzi B, podczas gdy B nie widzi A, oraz gdy A i B widzą się wzajemnie. Człowiek we wcześniejszym stadium swej egzystencji psychologicznej widzi siebie samego w późniejszym stadium. Zwróćcie uwagę, że się dowiedział, iż będzie jeszcze żył w wieku B. Wie, że będzie żył dość długo, ażeby dokonać czynu, którego był świadkiem. A więc człowiek, znający swą przyszłość nawet w najdrobniejszych szczegółach, może działać na podstawie tej wiedzy i w ten sposób zmienia swą przyszłość. Stąd wniosek, że Rzeczywistość musi być zmieniona w tym zakresie, by nie dopuścić, żeby A i B się spotkali, albo przynajmniej nie dopuścić, żeby A widział B. Więc skoro nic w Rzeczywistości, co zostało odrealnione, nie da się wykryć, A nigdy nie spotka B. Podobnie w każdym innym przypadku paradoksu w podróży w Czasie Rzeczywistość zawsze się zmienia tak, by uniknąć paradoksu, a my dochodzimy do wniosku, że nie ma paradoksów w podróży i nie może ich być.

Sennor wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie i swego wykładu, lecz Twissell wstał od stołu i powiedział:

— No, panowie, czas upływa.

Zanim Harlan zdążył pomyśleć, obiad się skończył. Pięciu członków komitetu wyszło, przy czym każdy skinął mu głową z wyrazem człowieka, którego ciekawość, na początku umiarkowana, teraz wzrosła. Tylko Sennor wyciągnął rękę, skinął głową i powiedział szorstko:

— Do widzenia, młody człowieku.

Harlan z mieszanymi uczuciami patrzył, jak wychodzą. Jaki był cel obiadu? A przede wszystkim, co znaczyła ta aluzja do ludzi spotykających samych siebie? Żaden nie wspomniał o Noys. Czy tylko chcieli go zobaczyć? Obejrzeć go od stóp do głów, a wyciągnięcie wniosków zostawić Twissellowi?

Twissell wrócił do stołu, już teraz opróżnionego z potraw i nakryć. Był sam z Harlanem i jakby chciał to podkreślić, wziął nowego papierosa. Powiedział:

— A teraz do roboty, Harlan. Mamy bardzo wiele do zrobienia. Ale Harlan nie chciał i nie mógł dłużej czekać. Oznajmił obojętnie:

— Zanim weźmiemy się do roboty, mam coś do powiedzenia. Twissell wyglądał na zaskoczonego. Zmarszczki koło jego zmęczonych

oczu pogłębiły się, strącił popiół z papierosa.

— Ależ mów, jeśli chcesz, lecz najpierw usiądź, usiądź, chłopcze. Technik Andrew Harlan nie usiadł. Chodził tam i z powrotem wzdłuż stołu, twardo wyrąbując zdania, żeby nie wpaść w niezrozumiały bełkot. Łysa jak jabłko, pożółkła od starości głowa Starszego Kalkulatora Twissella obracała się to w jedną, to w drugą stroną, w miarę jak tamten nerwowo spacerował. Harlan powiedział:

— Od tygodni studiowałem filmy z zakresu historii matematyki. Książki z różnych Rzeczywistości 575 Stulecia. Rzeczywistości nie mają zresztą większego znaczenia. Matematyka nie podlega zmianom. Również nie zmieniają się dzieje jej rozwoju. Niezależnie od tego, jak zmieniały się Rzeczywistości, historia matematyki pozostała mniej więcej taka sama. Matematycy się zmieniali, różni ludzie robili różne odkrycia, lecz rezultaty… W każdym razie bardzo dużo się nauczyłem. Co pan o tym sądzi?

Twissell zmarszczył czoło i powiedział:

— Dziwne zajęcie jak na Technika…

— Lecz ja nie jestem jedynie Technikiem — powiedział Harlan. — Pan o tym wie.

— Mów dalej — powiedział Twissell i zerknął na swój czasomierz. Nerwowo bawił się papierosem.

Harlan powiedział:

— Był człowiek nazwiskiem Yikkor Mallansohn, który żył w 24 Stuleciu. To była część ery Prymitywu, wie pan. Najbardziej znany jest z tego, że jemu pierwszemu udało się zbudować Pole Czasowe. To oznacza, oczywiście, że wynalazł Wieczność, skoro Wieczność jest tylko jednym olbrzymim Polem Czasowym, wytwarzającym zwarcia zwykłego Czasu i wolnym od ograniczeń zwykłego Czasu.

— Uczyli cię tego, gdy byłeś Nowicjuszem, chłopcze.

— Ale nie uczyli mnie, że Yikkor Mallansohn nie mógł wynaleźć Pola Czasowego w 24 Stuleciu. Ani nikt inny nie mógł. Nie istniała wtedy baza matematyczna do tego odkrycia. Nie istniały podstawowe równania Lefebvre'a; nie mogły istnieć aż do badań Jana Yerdeera w 27 Stuleciu.

Wiadomo było wszystkim, że jeśli Starszy Kalkulator Twissell jest zdumiony, wtedy rzuca papierosa. I teraz właśnie rzucił papierosa. Nawet uśmiech znikł z jego twarzy.

Zapytał:

— Czy uczono cię równań Lefebvre'a, chłopcze?

— Nie. I nie mówię, że je rozumiem. Ale one są potrzebne do Pola Czasowego. Tego się uczyłem. A nie istniały przed 27 Stuleciem. Tego mnie również uczono.

Twissell pochylił się, by podnieść papierosa, i oglądał go z powątpiewaniem.

— No, a może Mallansohn trafił na Pole Czasowe nie znając jego matematycznego uzasadnienia? A może to było po prostu odkrycie empirystyczne? Zdarzało się przecież wiele takich przypadków.

— Myślałem o tym. Lecz od wynalezienia Pola Czasowego minęły trzy Stulecia, zanim nauczono się je praktycznie stosować, a w ciągu tych trzech Stuleci nie było sposobu, żeby zrealizować Pole Mallansohna. To nie mógł być przypadek. Z której strony spojrzeć, projekt Mallansohna wskazuje, że musiał on zastosować równania Lefebvre'a. Jeśli je znał albo wynalazł je przed dziełem Verdeera, czemu tego nie powiedział?

Twissell:

— Upierasz się, żeby mówić jak matematyk. Kto ci to wszystko powiedział?

— Przeglądałem filmy.

— Nic więcej?

— I myślałem.

— Bez zaawansowanych studiów matematycznych? Obserwowałem cię uważnie od lat, chłopcze, i nie odgadłbym tego twojego talentu. Mów dalej.

— Wieczność nigdy nie zostałaby skonstruowana, gdyby Mallansohn nie odkrył Pola Czasowego. A Mallansohn nigdy by tego nie dokonał bez znajomości praw matematycznych, które odkryto dopiero w przyszłości. To jedno. Tymczasem tu, w Wieczności, jest w tym momencie Nowicjusz, którego wybrano na Wiecznościowca wbrew zasadom, bowiem jest za stary i do tego żonaty. To drugie.

— No więc?

— Rozumiem, że ma pan zamiar wysłać go z powrotem do Czasu, poza najniższą stację Wieczności, do 24 Stulecia. Chce pan, żeby Nowicjusz Cooper nauczył Mallansohna równań Lefebvre'a. Widzi pan więc — dodał Harlan z pasją- jakie jest moje znaczenie jako eksperta w sprawach Prymitywu, a ponadto ja wiem o tym znaczeniu i wobec tego powinienem być specjalnie traktowany. Bardzo specjalnie.

— Ojcze Czasie! — wymamrotał Twissell.

— A czy to nie jest prawda? Krąg się zamknie z moją pomocą. Bez niej… — nie dokończył zdania.

— Doszedłeś bardzo blisko prawdy — oznajmił Twissell. — A przysiągłbym, że nic nie wskazywało… — Zagłębił się w rozmyślaniach, w których, jak się zdawało ani Harlan, ani świat zewnętrzny nie odgrywał żadnej roli.

Harlan zaprotestował szybko:

— Tylko blisko prawdy? To jest prawda. — Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego był taki pewny, poza tym, że rozpaczliwie pragnął, żeby to była prawda.

Twissell:

— Nie, niezupełnie prawda. Nowicjusz Cooper nie wyruszy do 24 Stulecia, żeby czegokolwiek uczyć Mallansohna.

— Nie wierze, panu.

— Ale musisz wierzyć. Musisz dostrzegać wagę tej sprawy. Pragnę twojej współpracy przy zakończeniu całego przedsięwzięcia. Widzisz, Harlan, to jest bardziej zamknięty krąg, niż sobie wyobrażasz. Nowicjusz Brinsley Sheridan Cooper jest Yikkorem Mallansohnem.

12. Początek Wieczności

Harlan nie spodziewał się, że Twissell w owej chwili powie coś, co by go zaskoczyło. Mylił się. Wyjąkał:

— Mallansohnem… On…

Twissell, wypaliwszy papierosa do końca, wyciągnął nowego i powiedział:

— Tak. Jest Mallansohnem. Chcesz znać krótką biografię Mallansohna? Proszę. Urodził się w 78 Stuleciu, spędził pewien okres w Wieczności i zmarł w dwudziestym czwartym. — Twissell położył lekko dłoń na łokciu Harlana, a jego twarz zmarszczyła się w charakterystycznym uśmiechu. — Ale chłopcze, fizjoczas ucieka nawet nam, i nie jesteśmy jeszcze całkowicie panami siebie. Może przeszedłbyś do mego biura?

Ruszył pierwszy, a Harlan za nim, nie uświadamiając sobie nawet, że otwierają się drzwi i poruszają rampy.

Uzyskaną wiadomość dopasowywał do swoich osobistych problemów i planu działania. Po pierwszej chwili dezorientacji wróciło mu zdecydowanie. Mimo wszystko nic się nie zmieniło, poza tym, że znaczenie Harlana w Wieczności stawało się jeszcze bardziej zasadnicze, jego wartość większa, zaspokojenie jego żądań tym pewniejsze, odzyskanie Noys bardziej prawdopodobne.

Noys!

Ojcze Czasie, oni nie mogą jej zrobić krzywdy! Noys wydawała się jedyną realną częścią jego życia. Cała Rzeczywistość poza nią była tylko mglistą fantazją, nic niewartą.

Kiedy znalazł się w biurze Kalkulatora, nie mógł sobie przypomnieć, jak to się stało, że przeszedł tu z sali obiadowej. Chociaż rozglądał się dokoła i usiłował doprowadzić do tego, żeby biuro stało się dlań realne, choćby dzięki zgromadzonym tu materialnym przedmiotom, wydawało mu się nadal tylko kolejną częścią snu, który przestał już być użyteczny.

Biuro Twissella było czystym, długim pomieszczeniem z aseptycznej porcelany. Jedna ściana gabinetu była od podłogi do sufitu zapchana mikrojednostkami komputującymi, które w sumie składały się na największy prywatny komputaplex w Wieczności, a w istocie jeden z największych w ogóle. Ścianę przeciwległą zajmowały półki z filmami naukowymi. Całe pomieszczenie nie było wiele szersze niż korytarz i mieściło: biurko, dwa fotele, sprzęt do rejestrowania i projektowania. Był tu również jakiś niezwykły przedmiot, którego użytku Harlan nie znał, i odkrył go dopiero, gdy Twissell wrzucił tam resztki papierosa.

Papieros błysnął i zgasł, a Twissell jak zwykle gestem

prestidigitatora już trzymał następnego w ręku.

Harlan pomyślał: a teraz do rzeczy.

Zaczął trochę za głośno i trochę zbyt zaczepnie:

— Jest w wieku 482 pewna dziewczyna…

Twissell zmarszczył czoło i szybko pomachał ręką, jakby chciał w ten sposób odsunąć od siebie nieprzyjemną sprawę.

— Wiem, wiem. Nikt jej nie będzie niepokoił. Ani jej, ani ciebie. Wszystko będzie dobrze. Dopilnuję tego.

— Czy sądzi pan…

— Mówię ci, że znam tę historię. Jeśli ta sprawa cię niepokoiła, nie potrzebujesz się o nią martwić.

Harlan patrzył na starego człowieka ogłupiały. Czy to wszystko? Jakkolwiek wysoko oceniał swoje możliwości, nie spodziewał się tak wyraźnego ich potwierdzenia.

Lecz Twissell mówił dalej:

— Pozwól, że opowiem ci całą historię — zaczął niemal takim tonem, jakim zwracałby się do Nowicjusza. — Nie myślałem, że będzie to potrzebne, i być może wcale nie jest, lecz twoje poszukiwania i wnikliwość zasługują na to.

Popatrzył zagadkowo na Harlana i powiedział:

— Wiesz, nadal nie mogę uwierzyć, że ty sam to wszystko wykryłeś. — A potem dodał: — Człowiek, którego większa część Wieczności zna jako Yikkora Mallansohna, pozostawił po śmierci sprawozdanie ze swego życia. Nie był to właściwie dziennik ani biografia w ścisłym sensie tego słowa. Raczej przewodnik przekazany w spuściźnie Wiecznościowcom, o których wiedział, że pewnego dnia będą istnieli. Ten dokument był zamknięty w czymś w rodzaju sejfu czasowego, który mogli otworzyć tylko Kalkulatorzy Wieczności, a który w związku z tym pozostał nie tknięty przez trzy Stulecia po śmierci Mallansohna, aż została skonstruowana Wieczność. Wtedy Starszy Kalkulator Henry Wadsman, pierwszy z wielkich Wiecznościowców, otworzył go. Dokument przekazywano odtąd jako najściślej tajny wielu Starszym Kalkulatorom, kończąc na mnie. Nazywamy go Pamiętnikiem Mallansohna.

Pamiętnik przedstawia dzieje człowieka nazwiskiem Brinsley Sheridan Cooper, urodzonego w 78 wieku, wprowadzonego jako Nowicjusza do Wieczności w 23 roku życia, niewiele ponad rok po ślubie, ale do tej pory bezdzietnego.

Po wejściu do Wieczności Cooper studiował matematykę pod kierunkiem Kalkulatora nazwiskiem Laban Twissell i socjologię Prymitywu, którą mu wykładał Technik Andrew Harlan. Po dokładnym przyswojeniu sobie obu dyscyplin i innych przedmiotów, jak na przykład inżynieria czasowa, został wysłany do 24 Stulecia, aby nauczył pewnych niezbędnych rzeczy naukowca z okresu Prymitywu

nazwiskiem Yikkor Mallansohn.

Osiągnąwszy 24 Stulecie poddał się najpierw powolnemu procesowi adaptacji do społeczeństwa. Bardzo mu się do tego przydały wiadomości, jakie uzyskał od Technika Harlana, i szczegółowe wskazówki Kalkulatora Twissella, który, jak się wydaje, miał znakomite rozeznanie we wszystkich problemach.

Po upływie dwóch lat Cooper odszukał niejakiego Yikkora Mallansohna, ekscentrycznego pustelnika, w lasach Kalifornii, pozbawionego krewnych i przyjaciół, lecz obdarzonego śmiałym i niekonwencjonalnym spojrzeniem na świat. Cooper stopniowo się z nim zaprzyjaźnił, przyzwyczaił go do myśli, że spotkał wędrowca z przyszłości, i zaczął uczyć tego człowieka zasad matematyki.

W miarę upływu czasu Cooper przyswoił sobie zwyczaje tamtego, nauczył się wykorzystywać niezdarny generator elektryczny napędzany silnikiem Diesla i kable, które uniezależniały ich od elektrowni.

Lecz postąp był powolny, a Cooper stwierdził, że nie jest zbyt zdolnym nauczycielem. Mallansohn coraz bardziej tetryczał, nie chciał pracować, a potem pewnego jesiennego dnia zmarł nagle w kanionie dzikiego górzystego kraju, gdzie mieszkali. Cooper po tygodniach rozpaczy nad ruiną dzieła swego życia i prawdopodobnie całej Wieczności podjął rozpaczliwą decyzję. Nie zawiadomił nikogo o śmierci Mallansohna. Zamiast tego powoli rozpoczął budową Pola Czasowego z podręcznych materiałów.

Szczegóły nie mają znaczenia. Harując ciężko i improwizując odniósł w końcu sukces i zawiózł swój generator do Kalifornijskiego Instytutu Technologii. Parę lat wcześniej spodziewał się, że zrobi to Mallansohn.

Znasz tę historię z własnych studiów. Znasz niedowierzanie i szorstkie odmowy, z jakimi się najpierw spotkał, okres, kiedy był pod obserwacją, jego ucieczkę, w czasie której o mało nie stracił generatora, wiesz o pomocy, jaką otrzymał od mężczyzny w barze, mężczyzny, którego nazwiska nigdy się nie dowiedział, a który jest teraz jednym z bohaterów Wieczności, i o końcowym pokazie przed profesorem Zimbalistem, kiedy to demonstrował białą mysz, poruszającą się wstecz i naprzód w Czasie. Nie chcę cię tym nudzić.

Cooper używał nazwiska Yikkora Mallansohna, ponieważ czyniło go ono autentycznym produktem 24 Stulecia. Ciała prawdziwego Mallansohna nigdy nie odnaleziono.

Przez resztę życia Cooper cieszył się ze swego generatora i współpracował z naukowcami Instytutu przy konstruowaniu następnych. Nie ośmielił się robić nic więcej. Nie mógł nauczyć ich równań Lefebvre'a, nie przeskakując trzech następnych Stuleci rozwoju matematyki. Nie mógł, nie ośmielił się przyznać, do swego

prawdziwego pochodzenia. Nie ośmielił się robić nic więcej, niż zgodnie z tym, co wiedział, robiłby Yikkor Mallansohn.

Ci, co z nim pracowali, nie mogli się pogodzić z tym, że człowiek, który potrafi działać tak genialnie, nie umie wytłumaczyć zasad swego działania. Ale on również się denerwował, ponieważ przewidywał, nie będąc w stanie przyśpieszyć pracy, rozwój prowadzący stopniowo do klasycznych doświadczeń Jana Yerdeera, w oparciu o które wielki Antoine Lefebvre sformułuje podstawowe równania Rzeczywistości. I przewidywał również, jak potem zostanie skonstruowana Wieczność.

Dopiero pod koniec swego długiego życia Cooper, przyglądając się zachodowi słońca nad Pacyfikiem (opisuje tę scenę ze szczegółami w swym pamiętniku), uświadomił sobie, że jest Yikkorem Mallansohnem, a nie jego substytutem. Nazwisko mogło być inne, lecz człowiek, którego historia nazwała Mallansohnem, to był naprawdę. Brinsley Sheridan Cooper.

Rozpalony tą myślą i wszystkim, co z niej wynikało, pragnąc jakoś przyśpieszyć proces budowy Wieczności, ulepszyć go i zabezpieczyć, napisał swój pamiętnik i umieścił go w sześcianie sejfu czasowego, w jednym z pokoi swego domu.

I w ten sposób krąg został zamknięty, intencje Coopera-Mallansohna, gdy pisał swój pamiętnik, zostały oczywiście zlekceważone. Cooper musi przejść przez życie, dokładnie tak, jak przez nie przechodził. Rzeczywistość Prymitywu nie pozwala na żadne Zmiany. W tym momencie fizjoczasu Cooper, którego znasz, nie jest świadom tego, co go ma spotkać. Wierzy, że ma tylko poinstruować Mallansohna i wrócić. I będzie w to wierzył, aż po latach zrozumie, że powinno być inaczej, i zasiądzie do pisania pamiętnika.

Celem kręgu w Czasie jest wiedza o podróżach w Czasie i o naturze Rzeczywistości, zbudowanie Wieczności, wyprzedzającej jej naturalny czas. Pozostawiona samej sobie ludzkość nie nauczyłaby się prawdy o Czasie, bo przedtem rozwój technologiczny w innych kierunkach uczyniłby samobójstwo gatunku ludzkiego nieuniknionym.

Harlan słuchał w napięciu, mając przed oczyma wizję potężnego kręgu w Czasie, zamkniętego w sobie i przecinającego Wieczność w części swego biegu. Był w owej chwili bliski zapomnienia o Noys na tyle, na ile było to możliwe.

Zapytał:

— A więc przez cały czas wiedział pan wszystko, co pan ma robić, wszystko, co ja miałem robić, wszystko, co robiłem?

Twissell, który jakby zatracił się w swym opowiadaniu, tak że tylko oczy błyskały mu poprzez błękitną chmurę dymu tytoniowego, teraz z wolna wracał do przytomności. Jego stare, mądre oczy zatrzymały się na Harlanie, a potem powiedział z wyrzutem:

— Nie. Oczywiście, że nie. Między pobytem Coopera w

Wieczności a chwilą, gdy zaczął pisać swój pamiętnik, minęły dziesięciolecia fizjoczasu. Mógł zapamiętać tylko tyle i tylko to, czego sam był świadkiem. Powinieneś to sobie uświadomić.

Twissell westchnął i swoim sękatym palcem przeciągnął po smudze płynącego ku górze dymu, przecinając jąna małe wirujące chmurki.

— Wszystko się zgadza. Najpierw znaleziono mnie i sprowadzono do Wieczności. Kiedy w pełni fizjoczasu stałem się Starszym Kalkulatorem, otrzymałem pamiętnik i powierzono mi całe to zadanie. Byłem opisany jako kierujący akcją, więc powierzono mi kierowanie. Znowu w odpowiednim fizjoczasie pojawiłeś się ty w Zmianie Rzeczywistości (dokładnie obserwowaliśmy twoje wcześniejsze odpowiedniki), następnie Cooper.

Uzupełniłem detale, posługując się zdrowym rozsądkiem i komputapleksem. Jak starannie, na przykład, instruowaliśmy Edukatora Yarrowa w sprawie jego roli, nie zdradzając jednak ani jednego istotnego szczegółu. Jak starannie on ze swej strony podniecał twoje zainteresowanie Prymitywem !

Jak musieliśmy czuwać nad Cooperem, by nie nauczył się niczego, o czym nie wspominał w swym pamiętniku. — Twissell uśmiechnął się smutno. — Sennor bawi się takimi rzeczami. Nazywa to odwróceniem przyczyny i skutku. Znając skutek, dopasowuje się przyczynę. Na szczęście, nie jestem takim teoretykiem jak Sennor.

Byłem zadowolony, chłopcze, że okazałeś się tak znakomitym Obserwatorem i Technikiem. Pamiętnik o tym nie wspominał. Cooper bowiem nie miał możliwości obserwowania twej pracy ani oceniania jej. To mi odpowiadało. Mogłem cię wykorzystać do zadań drobniejszych, które odwracały uwagę od zadania zasadniczego. Nawet twój ostatni pobyt u Kalkulatora Finge'a pasował do pamiętnika. Cooper wspominał o okresie twojej nieobecności, podczas której program jego studiów matematycznych został tak rozszerzony, że tęsknił za twoim powrotem. Raz jednak mnie przeraziłeś.

Harlan zapytał od razu:

— Jak wziąłem wtedy Coopera w podróż w Czasie?

— W jaki sposób to odgadłeś? — zapytał Twissell.

— To był jedyny raz, kiedy się pan naprawdę na mnie rozgniewał. Przypuszczam, że kolidowało to z pamiętnikiem Mallansohna.

— Niezupełnie. Chodziło po prostu o to, że pamiętnik nie wspominał o kotłach. Wydawało mi się, że brak wzmianki o tak istotnym aspekcie Wieczności oznaczał, że Cooper mało miał z tym do czynienia. Dlatego moją intencją było trzymać go w miarę możności z dala od kotłów. Fakt, że zabrałeś go w przyszłość, bardzo mnie zmartwił, ale szczęśliwie nic się nie stało. Wszystko rozwija się tak, jak powinno, a więc w porządku.

Stary Kalkulator zatarł ręce, wpatrując się w młodego Technika ze zdziwieniem i z ciekawością.

— A jednak ty to wszystko odgadłeś. To mnie po prostu zdumiewa. Przysiągłbym, że nawet całkowicie wyedukowany Kalkulator nie mógłby wyciągnąć właściwych wniosków, mając tylko te informacje co ty. Niesamowite, że doszedł do tego Technik. — Pochylił się i poklepał Mariana po kolanie. — Pamiętnik Mallansohna, oczywiście, nie mówi nic o twoim życiu po wyjeździe Coopera.

— Rozumiem, Kalkulatorze — powiedział Harlan.

— Więc, że tak powiem, będziemy mieli swobodę działania w tej sprawie. Wykazujesz zdumiewający talent, którego nie można zmarnować. Sądzę, że czeka cię awans. Niczego teraz nie obiecuję, lecz przypuszczam, że możesz się spodziewać stanowiska Kalkulatora.

Harlan bez trudu utrzymał obojętny wyraz twarzy. Miał w tym wiele praktyki.

Pomyślał: dodatkowa łapówka.

Lecz niczego nie wolno było pozostawić przypadkowi. Jego przypuszczenia, na początku chaotyczne i pozbawione uzasadnienia, dzięki jego przenikliwości w ciągu tej niezwykłej i podniecającej nocy nabrały sensu — jak wyniki systematycznych badań bibliotecznych. Teraz, gdy Twissell opowiedział mu całą historię, stały się one pewnikami. Ale przynajmniej w jednym przypadku istniała różnica. Cooper był Mallansohnem.

Po prostu wzmocnił swą pozycję, lecz, myląc się w jednym punkcie, mógł mylić się i w innych. Więc niczego nie wolno pozostawić przypadkowi. Wyjaśnić to! Upewnić się!

Powiedział spokojnie, niemal obojętnie:

— Ciąży więc na mnie wielka odpowiedzialność teraz, gdy znam prawdę.

— Tak.

— Jak bardzo napięta jest sytuacja? Przypuśćmy, że zdarzy się coś nieoczekiwanego i będę musiał opuścić dzień, w którym powinienem uczyć Coopera czegoś ważnego?

— Nie rozumiem cię.

(Czy to tylko złudzenie, czy rzeczywiście w starych, zmęczonych oczach pojawił się błysk przerażenia?).

— Chodzi mi o to, czy krąg może pęknąć? Może ujmę to w ten sposób: jeśli nieoczekiwany cios w głowę wyłączyłby mnie z akcji w tym czasie, gdy pamiętnik wyraźnie stwierdzi, że jestem w dobrym zdrowiu, czy cały plan załamałby się? Albo przypuśćmy, że z jakiegoś powodu świadomie postanowię nie stosować się do pamiętnika. Co wtedy?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Wygląda to całkiem logicznie. Wydaje mi się, że przez

nieostrożność albo świadomie mogą przerwać krąg. I co z tego wyniknie? Zniszczenie Wieczności? Na to mi wygląda. Jeśli tak jest — dodał Harlan spokojnie — powinienem o tym wiedzieć, żebym był ostrożny, i nie zrobił nic niewłaściwego. Jakkolwiek chyba tylko jakieś niezwykłe okoliczności mogłyby mnie do tego zmusić.

Twissell śmiał się, lecz ten śmiech brzmiał fałszywie i pusto w uszach Harlana.

— To są wszystko czysto akademickie rozważania, chłopcze. Nic podobnego. Nic podobnego się nie zdarzy, skoro się dotąd nie zdarzyło. Krąg się nie przerwie.

— Może — powiedział Harlan. — Dziewczyna z 482…

— Jest bezpieczna — odparł Twissell. Podniósł się niecierpliwie. — W ten sposób można by gadać bez końca, a już mam dosyć rozszczepiania włosa na czworo przez komitet do spraw tego projektu. Muszę ci powiedzieć, po co właściwie cię wezwałem, fizjoczas ucieka. Możesz iść ze mną?

Harlan był zadowolony. Sytuacja się wyjaśniła, a jego pozycja była niewątpliwie silna. Twissell wiedział, że może powiedzieć, jeśli tylko przyjdzie mu ochota: „Nie chcę mieć dalej nic do czynienia z Cooperem". Twissell wiedział, że Harlan w każdej chwili może zniszczyć Wieczność, dostarczając Cooperowi zasadniczych informacji w sprawie pamiętnika.

Harlan wiedział dosyć, by zrobić to wczoraj. Twissell zamierzał przytłoczyć go wagą jego zadania, lecz jeżeli myśli, że w ten sposób zmusi go do posłuszeństwa, to się grubo myli.

Harlan sformułował swą groźbę wystarczająco jasno, mając na uwadze bezpieczeństwo Noys, a wyraz twarzy Twissella, gdy warknął: , Jest bezpieczna", wskazywał, że uświadamia sobie istotę groźby.

Podniósł się i poszedł za Starszym Kalkulatorem.

Harlan nigdy dotychczas nie widział sali, do której weszli. Była ona duża i wyglądało na to, że usunięto ściany, by uzyskać przestrzeń. Wchodziło się do niej przez wąski korytarz, zamknięty kurtyną siłową, która nie ustępowała, póki automatyczne urządzenie nie sprawdziło dokładnie twarzy Twissella.

Większą część sali wypełniała kula, która sięgała niemal sufitu. Otwarte drzwi ukazywały cztery schodki, prowadzące na dobrze oświetloną platformę wewnątrz kuli.

Dochodziły stamtąd jakieś głosy, a gdy Harlan spojrzał, w otworze ukazały się nogi. Wynurzył się jakiś człowiek, a za nim ukazała się następna para nóg. Był to Sennor z Rady Wszechczasów i ktoś z grupy, z którą Harlan spotkał się na obiedzie.

Twissell nie był zachwycony. Zapytał jednak uprzejmie:

— Czy komitet jeszcze tu jest?

— Tylko my dwaj — oświadczył Sennor. — Rice i ja. Bardzo

piękny instrument. Równie skomplikowany jak statek kosmiczny.

Rice był brzuchatym mężczyzną o udręczonym wyglądzie człowieka, który ma rację, lecz w sposób nieoczekiwany przegrywa w dyskusji. Potarł swój kartoflany nos i powiedział:

— Sennor ostatnio dużo rozmyśla o podróżach kosmicznych. Łysa głowa Sennora połyskiwała w świetle.

— Ciekawy problem, Twissell — rzekł. — Jak myślisz: czy podróże kosmiczne są pozytywnym czy negatywnym czynnikiem z punktu widzenia Rzeczywistości?

— Pytanie jest bez sensu — odparł Twissell niecierpliwie. — Jakiego rodzaju podróże kosmiczne, w jakich okolicznościach?

— Ale, ale! Z pewnością można powiedzieć coś o podróżach kosmicznych w ogóle.

— Tylko tyle, że są samoograniczone, same się wyczerpują i zamierają.

— Są więc bezużyteczne — podchwycił Sennor z satysfakcją. A w związku z tym stanowią czynnik negatywny. To pokrywa się z moim poglądem.

— Przepraszam — powiedział Twissell. — Zaraz tu przyjdzie Cooper. Potrzebna nam jest platforma.

— Oczywiście — Sennor ujął Rice'a pod rękę i wyprowadził go z pomieszczenia. Słychać było, jak peroruje: — Okresowo, mój drogi Rice, cały umysłowy wysiłek ludzkości koncentruje się na podróżach kosmicznych, które z natury rzeczy skazane są na niesławny koniec. Przedstawiłbym odpowiednie dowody statystyczne, gdybym nie był pewny, że dla pana jest to oczywiste. Gdy ludzie koncentrują się na przestrzeni kosmicznej, lekceważy się właściwy rozwój spraw ziemskich. Przygotowuję teraz dla Rady tezę, by zmieniano Rzeczywistości w ten sposób, aby ery podróży kosmicznych zostały całkowicie wyeliminowane.

Rozległ się głos Rice'a:

— Ale nie może pan robić tak drastycznych posunięć. Podróże kosmiczne są ważną klapą bezpieczeństwa w niektórych cywilizacjach.

Weźmy Rzeczywistość nr 54 z 290 Stulecia, którą przypadkowo doskonale pamiętam. Wtedy…

Głosy ucichły, a Twissell powiedział:

— To dziwny człowiek ten Sennor. Intelektualnie wart jest tyle, co jakikolwiek z dwóch spośród nas, ale jego wartość gubi się w słomianym zapale.

Harlan zapytał:

— Uważa pan, że on ma rację? Chodzi mi o podróże kosmiczne.

— Wątpię. Mielibyśmy lepszą kazję ocenić to, gdyby Sennor przedłożył nam tę tezę, o której wspominał. Ale nie zrobi tego. Zanim ją skończy opracowywać, zapali się do czegoś nowego, a tamtą pracę

rzuci. Ale mniejsza o to… — Klepnął dłonią kulę, tak że zabrzęczała, a potem wyjął papierosa z ust. — Możesz odgadnąć, co to jest, Techniku?

Harlan odpowiedział:

— Wygląda to jak bardzo wielki kocioł z przykrywą.

— Właśnie. Masz rację. Trafnie to ująłeś. Wejdź do środka. Harlan wszedł za Twissellem do kuli, dość dużej, by pomieścić czterech lub pięciu mężczyzn. Jej wnętrze było puste. Podłoga gładka, dwa okna we wklęsłych ścianach. To wszystko.

— Nie ma sterowania? — zapytał Harlan.

— Zdalne sterowanie — odparł Twissell. Przesunął dłonią po gładkiej ścianie i powiedział: — Podwójne ściany. Wnętrze stanowi zamknięte w sobie Pole Czasowe. To urządzenie to kocioł, który nie jest ograniczony do tras szybów komunikacyjnych, lecz może przekroczyć najniższy próg Wieczności. Jego projekt i możliwość skonstruowania zawdzięczamy cennym wskazówkom z pamiętnika Mallansohna. Chodź ze mną.

Sterownia znajdowała się w małym pomieszczeniu w jednym z rogów dużej sali. Harlan wszedł do środka i patrzył ponuro na olbrzymie dźwignie.

Twissell zapytał:

— Słyszysz mnie, chłopcze?

Harlan drgnął i rozejrzał się dokoła. Nie uświadomił sobie, że Twissell nie wszedł za nim. Odruchowo przesunął się w stronę okna, a Twissell pomachał mu ręką.

Harlan powiedział:

— Słyszę, Kalkulatorze. Chce pan, żebym wyszedł?

— Bynajmniej. Jesteś zamknięty.

Harlan skoczył do drzwi, a żołądek podjechał mu do gardła. Twissell mówił prawdę, ale co, u Czasu, tu się dzieje?

Twissell powiedział:

— Zostaniesz stąd wypuszczony, chłopcze, gdy twoja odpowiedzialność się skończy. Martwiłeś się o tę odpowiedzialność, chciałeś się czegoś więcej o niej dowiedzieć i chyba domyślam się, o co ci chodziło. Ta odpowiedzialność nie powinna cię obciążać. To wyłącznie moja sprawa. Niestety, musimy cię trzymać w sterowni, ponieważ zostało stwierdzone, że byłeś w sterowni i obsługiwałeś aparaturę. Tak mówi pamiętnik Mallansohna. Cooper zobaczy cię przez okno i to wystarczy.

Ponadto poproszę cię, byś dokonał ostatniego kontaktu — stosownie do instrukcji, jakich ci udzielę. Jeśli uważasz, że to również jest zbyt odpowiedzialne zadanie dla ciebie, możesz nic nie robić. Mamy tu drugi, równoległy, obwód, obsługiwany przez kogoś innego. Jeśli z jakichkolwiek powodów jesteś niezdolny do obsłużenia tego

kontaktu, on to zrobi. Ponadto przerwę łączność radiową z wnętrza sterowni. Będziesz mógł nas słyszeć, ale nie będziesz mógł mówić. A więc nie bój się, że jakiś mimowolny twój okrzyk przerwie krąg.

Harlan bezradnie wyglądał przez okno.

Twissell kontynuował:

— Za chwilę przyjdzie tu Cooper, a jego wyprawa do Prymitywu zamknie się w granicach dwóch fizjogodzin. Potem, chłopcze, całe zadanie będzie zakończone, a my wolni.

Dla Harlana było to jak zmora. Dusił się i wszystko wirowało mu przed oczyma. Czy Twissell go oszukał? Czy to, co robił, było ukartowane jedynie w tym celu, by zwabić go do zamkniętej sterowni? A może stwierdziwszy, że Harlan zdaje sobie sprawę ze swojej niezbędności, improwizował przebiegle, zajmując go rozmową, ukrywając swe prawdziwe uczucia, prowadząc go to tu, to tam, aż wreszcie go zamknął?

Ta szybka i łatwa kapitulacja w sprawie Noys! „Nikt jej nie zrobi krzywdy”! — powiedział Twissell. Wszystko będzie dobrze.

Jak mógł w to uwierzyć! Jeśli nie zamierzają jej skrzywdzić ani nawet tknąć, to po co ta bariera czasowa w szybie na stutysięcznym Stuleciu? Już samo to całkowicie zdemaskowało Twissella.

Ale on (głupiec!) pragnął wierzyć, i dlatego pozwolił się ślepo prowadzić przez ostatnie dwie fizjogodziny i wsadzić do zamkniętego pomieszczenia, gdzie już nie był potrzebny nawet po to, by nacisnąć ostatni kontakt.

Za jednym zamachem pozbawiono go całego znaczenia. Umiejętnie wyjęto mu z ręki wszystkie atuty, raz na zawsze utracił Noys.

Jakkolwiek jeszcze zechcą go ukarać, nie było już ważne. Na zawsze utracił Noys.

Nie przyszło mu do głowy, że projekt już dobiega końca. To oczywiście umożliwiło jego porażkę.

Głos Twissella dochodził go niewyraźnie.

— Teraz cię odłączymy, chłopcze.

Harlan pozostał sam, bezradny, bezużyteczny…

13. Poniżej dolnej granicy

Wszedł Brinsley Cooper. Na jego szczupłej twarzy malowało się podniecenie, dzięki czemu wyglądał młodzieńczo mimo sumiastego mallansohnowskiego wąsa, który zdobił górną wargę.

(Harlan widział go przez okno i słyszał wyraźnie przez radio. Myślał z rozgoryczeniem: mallansohnowski wąs! Oczywiście!). Cooper podszedł do Twissella.

— Nie chcieli mnie do tej pory wypuścić, Kalkulatorze.

— Bardzo słusznie — powiedział Twissell. — Mieli takie instrukcje.

— A teraz jest już pora? Wyjadę?

— Już niedługo.

— I wrócę? Zobaczę znowu Wieczność?

Mimo że Cooper usiłował trzymać się dzielnie, w jego głosie brzmiała niepewność.

(Wewnątrz sterówki Harlan zbliżył zaciśnięte pięści do pancernego szkła w oknie; pragnął je rozbić i krzyknąć: „Przerwać to! Przyjmijcie moje warunki albo ja…". Ale to byłoby daremne).

Cooper rozejrzał się po sali, najwidoczniej nie uświadamiając sobie, że Twissell nie odpowiedział na jego pytanie. Zobaczył Harlana w oknie sterówki.

Podniecony, pomachał ręką.

— Techniku Harlan! Niech pan wyjdzie. Chcę się z panem pożegnać przed wyjazdem.

— Nie teraz, chłopcze, nie teraz. On siedzi przy sterach — wtrącił Twissell.

Cooper:

— Jakoś kiepsko wygląda. Twissell:

— Przedstawiłem mu nasz projekt. Myślą, że każdego mogłoby to wyprowadzić z równowagi.

Cooper:

— Wielki Czasie, tak! Wiem o tym od tygodni, a jeszcze się nie przyzwyczaiłem. — Jego śmiech zabrzmiał histerycznie. — Do tej pory jakoś nie mogę przekonać samego siebie, że naprawdę mam w tym swój udział. Ja… Ja się trochę boję.

— Nie mogę ci mieć tego za złe.

— Szczególnie w żołądku, wie pan… To najbardziej niespokojny organ mego ciała.

Twissell:

— Cóż, to bardzo naturalne. Przejdzie. Tymczasem został ustalony termin twego odjazdu w standardowym międzyczasowym i musisz jeszcze otrzymać nieco informacji. Na przykład, do tej pory nie

widziałeś kotła, którego będziesz używał.

Przez dwie godziny Harlan przysłuchiwał się temu wszystkiemu, niezależnie od tego, czy ich widział, czy nie. Twissell pouczał Coopera w dziwacznie wyrywkowy sposób; Harlan wiedział dlaczego. Coopera informowano tylko o tym, o czym miał wspomnieć w pamiętniku Mallansohna.

(Zamknięty krąg. Zamknięty krąg. I nie ma sposobu, by przerwać ten krąg jednym potężnym szarpnięciem Samsona. Krąg wiruje, ciągle wiruje).

Słyszał, jak Twissell mówi:

— Zwykłe kotły są zarówno popychane, jak i ciągnięte, jeśli możemy użyć takich określeń w stosunku do sił międzyczasowych. W podróży ze Stulecia X do Stulecia Y wewnątrz Wieczności nie ma całkowicie naładowanego energią punktu początkowego i punktu końcowego.

Mamy tutaj kocioł z naładowanym energią punktem początkowym, lecz nie naładowanym punktem przeznaczenia. Może więc być tylko popychany, nie zaś ciągnięty. Wskutek tego musi zużywać energię w ilości o wiele większej niż zwyczajne kotły. Trzeba było założyć specjalne jednostki przekazu mocy wzdłuż szybów, by uzyskać odpowiednią koncentrację energii z Nova Soi.

Ten specjalny kocioł, jego sterowanie i zaopatrzenie w energię stanowią skomplikowany aparat. Przez wiele fizjodziesięcioleci przeszukiwano mijające Rzeczywistości, by znaleźć specjalne aparaty i specjalne techniki. Trzynasta Rzeczywistość wieku 222 stanowiła klucz.

Wynaleziono wtedy kondensator czasowy, bez którego nie można byłoby zbudować tego kotła. Trzynasta Rzeczywistość 222 Stulecia.

Wymówił to z przesadnym naciskiem.

(Harlan pomyślał: zapamiętaj to, Cooper! Zapamiętaj — trzynasta Rzeczywistość 222 Stulecia — żebyś mógł to napisać w pamiętniku Mallansohna, żeby Wiecznościowcy wiedzieli, gdzie zajrzeć, żeby wiedzieli, co ci powiedzieć… Zamknięty krąg. Zamknięty krąg…).

Twissell:

— Oczywiście kocioł nie został sprawdzony poniżej dolnej granicy Wieczności, ale odbywał liczne podróże wewnątrz niej. Jesteśmy przekonani, że nie wystąpią żadne niepożądane efekty.

— Czy rzeczywiście nic takiego nie może się zdarzyć? — zapytał Cooper. — Chodzi mi o to, że ja muszę się tam dostać, bo inaczej Mallansohnowi nie uda się zbudować Pola. A przecież mu się udało.

— Właśnie. Znajdziesz się w dość odosobnionym miejscu w słabo zaludnionym rejonie południowo-zachodnim Stanów Zjednoczonych Ammelliki…

— Ameryki — poprawił Cooper.

— Niech będzie Ameryki. Będzie to 24 Stulecie albo, mówiąc dokładnie, dwudzieste trzecie i siedemnaście setnych. Sądzę, że możemy nawet nazywać ten okres rokiem 2317, jeśli mamy ochotę. Jak widziałeś, kocioł jest duży, o wiele większy niż ci potrzeba. Jest w nim pod dostatkiem jedzenia, wody, są urządzenia służące do kamuflażu i obrony. Otrzymasz szczegółowe instrukcje, które oczywiście nie będą zrozumiałe dla nikogo prócz ciebie. Przede wszystkim pamiętaj, żeby nikt z pierwotnych mieszkańców cię nie odkrył, zanim się nie przygotujesz do spotkania z nimi. Otrzymasz specjalne kopaczki energetyczne, które pozwolą ci wkopać się głęboko w skałę i wybudować kryjówkę. Musisz bardzo szybko wyładować zawartość kotła. Będzie ona w tym celu specjalnie ułożona.

(Harlan pomyślał: powtórz! powtórz! Na pewno już mu to wszystko przedtem mówili, ale musi powtórzyć, żeby mu się utrwaliło w pamięci. Jeszcze raz i jeszcze raz…).

Twissell:

— Będziesz musiał wyładować to wszystko w piętnaście minut. Potem kocioł wróci automatycznie do punktu startu, zabierając ze sobą te narzędzia, które sązbyt nowoczesne jak na tamto Stulecie. Będziesz miał ich listę. Po odejściu kotła możesz liczyć tylko na własne siły.

Cooper:

— Czy kocioł musi wracać tak szybko?

Twissell:

— Szybki powrót powiększa prawdopodobieństwo sukcesu. (Harlan pomyślał: kocioł musi powrócić za piętnaście minut, ponieważ powrócił za piętnaście minut. Wszystko tak samo…)-Twissell mówił szybko:

— Nie możemy fałszować ich środków wymiany, ich banknotów. Otrzymasz złoto w formie małych bryłek. Będziesz mógł wytłumaczyć, skąd je wziąłeś, wedle załączonej szczegółowo instrukcji. Otrzymasz ubrania z tamtej epoki, a przynajmniej takie, które mogą uchodzić za tubylcze.

— Słusznie — powiedział Cooper.

— Ale pamiętaj: powoli. Czekaj tygodniami, jeśli będzie potrzeba. Przygotowuj się psychicznie do tego okresu. Instrukcje Technika Harlana stanowią dobrą podstawę, lecz nie są wyczerpujące. Otrzymasz odbiornik radiowy zbudowany na zasadach 24 Stulecia, który umożliwi ci śledzenie bieżących wydarzeń i — co ważniejsze — nauczy cię właściwej wymowy i intonacji języka tamtych czasów. Staraj się naśladować to dokładnie. Jestem pewny, że Harlan zna angielski bardzo dobrze, lecz nic nie zastąpi miejscowej wymowy.

Cooper:

— A co będzie, jeśli nie trafię na właściwe miejsce? To znaczy w

rok 2317?

— Oczywiście sprawdź to starannie. Ale wszystko będzie dobrze. Wszystko się zgodzi.

(Harlan pomyślał: wszystko się zgodzi, ponieważ się zgodziło). Cooper musiał wyglądać na nieprzekonanego. Twissell bowiem powiedział:

— Cała aparatura została dokładnie zogniskowana w Czasie. Zamierzałem wyjaśnić ci nasze metody i akurat teraz trafiła się okazja. Ponadto pomoże to Harlanowi zrozumieć urządzenie sterownicze.

(Nagle Harlan odwrócił się od okna i utkwił oczy w sterownicy. Zauważył, że istnieje luka w zasłonie. A co będzie, jeśli…).

Twissell nadal pouczał Coopera z przesadną belferską precyzją. Harlan słuchał go jeszcze jednym uchem.

Twissell:

— Niewątpliwie poważnym problemem było ustalenie, jak daleko w Prymityw można posłać dany obiekt przy określonej dawce energii. Najprostszą metodą byłoby wysłanie człowieka w przeszłość za pomocą tego kotła, przy jednoczesnym starannym stopniowaniu ładunku energii napadu. Jednak zastosowanie tej metody w każdym przypadku wymagałoby pewnego czasu, tak by wysłany człowiek mógł określić poszczególne lata Stulecia wedle obserwacji astronomicznych lub odpowiednich informacji uzyskiwanych przez radio. Trwałoby to długo i byłoby niebezpieczne, ponieważ ten człowiek mógłby zostać wykryty przez ówczesnych tubylców, co prawdopodobnie miałoby katastrofalne skutki dla całej naszej akcji.

Zastosowaliśmy więc innąmetodę: Wysłaliśmy w przeszłość określoną masę izotopu radioaktywnego, niobium 94, który rozkłada się przez wydzielanie cząsteczki meta tworząc izotop stały, molibden 94. Proces ten trwa niemal dokładnie pięćset Stuleci. Pierwotna intensywność radiacji tej masy była znana. Ta intensywność maleje wraz z upływem czasu, wedle prostego wzoru wynikającego z kinetyki pierwszego stopnia, i oczywiście można to mierzyć z wielką precyzją.

Gdy kocioł osiągnie swe przeznaczenie w czasach Prymitywu, ampułkę zawierającą izotop wstrzeliwuje się w zbocze góry, a kocioł powraca potem do Wieczności. W tym momencie fizjoczasu, kiedy ampułka zostaje wystrzelona, pojawia się ona natychmiast we wszystkich późniejszych epokach, tylko odpowiednio starsza. W miejscu wstrzelenia w 575 Stuleciu (w normalnym Czasie, a nie w Wieczności) Technik wykrywa ampułkę dzięki jej promieniowaniu i wydobywają.

Następnie mierzy się intensywność promieniowania, dzięki czemu dowiadujemy się, jak długo ampułka przebywała w zboczu góry, a więc Stulecie, do którego zawędrował kocioł, można określić z dokładnością do dwóch miejsc dziesiętnych. W ten sposób za pomocą

eksplozji energetycznych o różnej sile, w przeszłość wysłano dziesiątki ampułek, sporządzając ich krzywą balistyczną. Krzywa służyła do sprawdzenia ampułek wysyłanych nie tylko do Prymitywu, ale i do wczesnych Stuleci Wieczności, gdzie również można było poczynić bezpośrednie obserwacje.

Niekiedy zdarzały się porażki. Pierwsze ampułki straciliśmy, nim nauczyliśmy się uwzględniać niezbyt wielkie zmiany geologiczne między Prymitywem a 575 Stuleciem. Kiedyś znów trzy kolejne ampułki nie pojawiły się w ogóle w 575. Prawdopodobnie zawiódł mechanizm miotający i utkwiły zbyt głęboko w skale. Przerwaliśmy nasze eksperymenty, gdy intensywność promieniowania wzrosła tak, że obawialiśmy się, iż ampułkę może wykryć któryś z mieszkańców Prymitywu i zacząć się zastanawiać, co robią sztuczne wyroby tego rodzaju w tym rejonie. Ale uzyskaliśmy dość danych dla naszych celów i jesteśmy pewni, że potrafimy wysłać człowieka w dowolne Stulecie Prymitywu. Rozumiesz to, Cooper, prawda? Cooper powiedział:

— Doskonale, Kalkulatorze. Widziałem krzywą balistyczną, nie rozumiejąc wtedy jej celu. Teraz już rozumiem.

Harlan zainteresował się nagle. Patrzył na odmierzony łuk, podzielony na Stulecia. Łuk był z połyskującej porcelany, na metalowej podkładce, a delikatne kreski dzieliły go na wieki, decywieki i centywieki. Srebrzysty metal połyskiwał w przecinających porcelanę kreskach. Liczby były wykonane równie subtelnie, a pochylając się, Harlan mógł odczytać Stulecia od 17 do 27. Strzałka wskazywała liczbę 23,17.

Widywał już podobne urządzenia czasowe i niemal odruchowo sięgnął do dźwigni sterowania ciśnieniowego. Dźwignia nie zareagowała. Strzałka pozostała na miejscu).

Nagle odezwał się głos Twissella:

— Techniku Harlan!

— Tak jest, Kalkulatorze! — krzyknął i przypomniał sobie, że tamten go i tak nie usłyszy. Podszedł do okna i skinął głową.

Twissel powiedział, jakby odgadując jego myśli:

— Ster czasowy nastawiony jest na 23,17 wstecz. Nie trzeba go ruszać. Twoim zadaniem jest tylko włączenie energii w odpowiednim momencie fizjoczasu. Chronometr jest po prawej stronie podziałki. Daj znak, czy go widzisz.

Harlan skinął głową.

— Cofa się do punktu zerowego. W momencie minus piętnaście sekund złącz końcówki kontaktu. To proste. Wiesz jak?

Harlan znowu skinął głową. Twissell kontynuował:

— Synchronizacja nie jest sprawą zasadniczą. Możesz to zrobić w momencie minus czternaście, trzynaście czy nawet minus pięć sekund,

lecz proszę cię, dołóż wszelkich starań, żeby ze względów bezpieczeństwa nie przekroczyć minus dziesięciu. Gdy tylko zamkniesz obwód, zsynchronizowane urządzenie siłowe dokona reszty i ostateczny udar energetyczny nastąpi precyzyjnie w punkcie zero. Zrozumiałeś?

Harlan jeszcze raz skinął głową. Rozumiał więcej niż Twissell wyjawił. Gdyby nie połączył końcówek w momencie minus dziesięć sekund, zostanie to wykonane przez kogoś z zewnątrz.

Harlan pomyślał ponuro: pomocnicy nie będą potrzebni.

Twissell powiedział:

— Zostało nam jeszcze trzydzieści fizjominut. Pójdziemy z Cooperem sprawdzić zapasy.

Wyszli. Drzwi się za nimi zamknęły, a Harlan pozostał sam razem z dźwignią wyrzutni, czasem (cofającym sięjuż powoli ku zeru) i całkowitą świadomością, co ma zrobić.

Odwrócił się od okna. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął do połowy neuronowy bicz. Przez cały czas miał bicz przy sobie. Dłoń drżała mu lekko.

Powróciła ta myśl: Samson obala dom! Ilu Wiecznościowców słyszało kiedykolwiek o Samsonie? Ilu wie, jak umarł?

Zostało zaledwie dwadzieścia pięć minut. Nie był pewny, ile czasu potrwa cała operacja. Nie był właściwie pewny, czy w ogóle się uda.

Ale czy miał wybór? Wilgotne palce omal nie upuściły broni, zanim udało mu się odłączyć kolbę.

Pracował szybko i w zupełnej koncentracji. Ze wszystkiego, co mogło się wydarzyć na skutek jego działania, możliwość przejścia do niebytu zajmowała go najmniej i w ogóle nie przerażała.

O minus jedna minuta Harlan stał przy sterownicy.

Myślał obojętnie: ostatnia minuta życia?

Nie widział nic poza cofającą się czerwoną kreską, która znaczyła upływające sekundy.

Minus trzydzieści sekund.

Myślał: to nie będzie bolało. To nie śmierć.

Próbował myśleć tylko o Noys.

Minus piętnaście sekund.

Noys!

Lewa dłoń Harlana przesunęła się ku kontaktowi. Nie śpieszyć się!

Minus dwanaście sekund!

Kontakt!

Teraz zacznie działać urządzenie napędowe. Ruszy w momencie zerowym. A to pozostawiało Marianowi czas na ostatnią czynność. Chwyt Samsona.

Prawa ręka Harlana poruszyła się. Nie patrzył na nią.

Minus pięć sekund.

Noys!

Prawa ręka znowu po — ZERO — ruszyła się. Nie patrzył na nią. Czyżby już niebyt?

Nie. Jeszcze nie.

Harlan patrzył przez okno. Nie poruszał się. Czas upływał, a on nie był tego świadom.

Sala była pusta. Tam, gdzie stał gigantyczny, zamknięty kocioł, nie było teraz nic. Metalowe bloki, które stanowiły jego łożysko, ziały pustką.

Twissell, dziwacznie malutki i skarlały w sali, która stała się teraz poczekalnią, stanowił jedyny poruszający się element. Spacerował sztywno tam i z powrotem.

Harlan towarzyszył mu wzrokiem przez chwilę.

A potem bez żadnego dźwięku czy ruchu kocioł znalazł się w tym samym miejscu, które opuścił. Przekroczył nieuchwytną granicę między czasem przeszłym a obecnym nie poruszywszy nawet drobiny powietrza.

Na chwilę Twissell zniknął Harlanowi z oczu za kotłem, ale potem okrążył pojazd i pokazał się znowu. Biegł.

Jeden ruch ręki wystarczył, by uruchomić mechanizm otwierający drzwi sterowni. Kalkulator wpadł do środka, krzycząc z niemal histerycznym podnieceniem.

— Gotowe! Koniec! Zamknęliśmy krąg! Brakło mu tchu. Harlan milczał.

Twissell patrzył przez okno, przykładając dłonie do szyby. Harlan widział, jak drżą, widział na nich starcze plamy. Wydawało się, że jego mózg nie umie już odróżniać rzeczy ważnych od nieważnych, lecz selekcjonuje materiał obserwacyjny w sposób czysto przypadkowy. Zmęczony myślał: co to ma za znaczenie? Czy teraz cokolwiek ma znaczenie?

Twissell powiedział (Harlan słyszał go niewyraźnie):

— Powiadam ci, że bałem się bardziej niż się przyznawałem. Sennor mówił kiedyś, że cała sprawa jest niemożliwa, Twierdził, że musi się zdarzyć coś, co ją udaremni… O co chodzi?

Odwrócił się na dziwne chrząknięcie Harlana. Harlan potrząsnął głową, wykrztusił:

— O nic.

Twissell zadowolił się tym i odwrócił znowu. Nie wiadomo było, czy mówi do Harlana, czy w powietrze. Wydawało się, że obawy tłumione przez długie lata znajdą ujście w potoku słów:

— Sennor — mówił — stale wątpił. Rozmawialiśmy z nim, dyskutowaliśmy. Przedstawialiśmy dowody matematyczne i wyniki całych pokoleń badaczy, którzy nas poprzedzali w fizjoczasie Wieczności. Odrzucał to wszystko i bronił swego poglądu, cytując

paradoks o człowieku spotykającym samego siebie. Słyszałeś, jak o tym mówił. To jego ulubiony temat.

Sennor powiada, że znamy naszą przyszłość. Na przykład ja, Twissell, wiedziałem, że choć już będę stary, przeżyję wyjazd Coopera poniżej dolnego progu Wieczności. Znałem inne szczegóły z mojej przyszłości, wiedziałem, co zrobię.

Niemożliwe — on na to. Rzeczywistość musi się zmieniać, by korygować twoją wiedzę, nawet jeśli to oznacza, że krąg nigdy się nie zamknie i nigdy nie powstanie Wieczność.

Dlaczego tak się upierał, nie wiem. Możliwe, że szczerze w to wierzył, możliwe, że była to dla niego intelektualna gra, a może tylko chciał nas wszystkich szokować niepopularnym poglądem. Tak czy inaczej, przygotowania postępowały naprzód, a niektóre dane pamiętnika zaczęły się sprawdzać. Na przykład, umiejscowiliśmy Coopera w tym Stuleciu i tej Rzeczywistości, które podane były w pamiętniku. Już samo to obalało pogląd Sennora, ale on wcale się tym nie martwił. Tymczasem zainteresował się innym problemem.

A jednak… — Twissell zaśmiał się cicho z odcieniem zakłopotania, papieros wypalił mu się niemal do samych palców — w głębi duszy nigdy nie byłem spokojny. Coś mogło się zdarzyć. Rzeczywistość, w której Wieczność została ustanowiona, mogła się zmienić w jakiś sposób i umożliwić to, co Sennor nazywał paradoksem. Mogła się zmienić na taką, w której Wieczność by nie istniała. Czasami, leżąc bezsennie, byłem niemal pewny, że to prawda… a teraz już jest po wszystkim i śmieję się z samego siebie. Stetryczały głupiec.

Harlan powiedział zniżając głos:

— Kalkulator Sennor miał rację. Twissel odwrócił się gwałtownie.

— Co?

— Akcja się nie udała. — Umysł Harlana wydobywał się z mroku (dlaczego i w jakim celu, nie był pewny). — Krąg nie jest zamknięty.

— O czym ty mówisz? — Starcze dłonie Twissella opadły na barki Harlana ze zdumiewającą siłą. — Jesteś chory, chłopcze. Nerwowo wyczerpany.

— Nie jestem chory. Po prostu wszystko mi obmierzło. Pan. Ja sam. To nie moja choroba, to skala. Niech pan spojrzy.

— Skala? — Kreska wskaźnika stała na 27 Stuleciu, na prawym końcu skali. — Co się stało? — Radość zniknęła z twarzy Twissella. Zastąpiła ją groza.

Harlan mówił obojętnie:

— Stopiłem mechanizm blokujący, zwolniłem sterowanie mocy.

— Jak mogłeś to…

— Miałem bicz neuronowy. Rozłamałem go i jego mikroogniwo zużyłem w jednym pojedynczym wyładowaniu w charakterze palnika.

Oto, co z tego zostało. — Kopnął w róg małą kupkę odłamków metalu.

Twissell nie zwrócił na to uwagi.

— W 27 Stuleciu? Mówisz, że Cooper jest w 27?

— Nie wiem, gdzie on jest — odparł Harlan głucho. — Dźwignię mocy przesunąłem w przeszłość dalej niż w 24 Stulecie. Nie wiem, do jakiego wieku. Nie patrzyłem. Potem cofnąłem jaz powrotem, też nie patrząc.

Twissell wytrzeszczał na niego oczy, był blady na twarzy niezdrową, żółtawą bladością, ręce mu drżały.

— Nie wiem, gdzie on jest teraz — powtórzył Harlan. — Zginął w Prymitywie. Krąg jest przerwany. Myślałem, że wszystko się skończy, gdy przesunąłem dźwignię do chwili zerowej. To głupie. Będziemy musieli czekać. Nastąpi taki moment w fizjoczasie, w którym Cooper zorientuje się, że jest w niewłaściwym Stuleciu, i zrobi coś niezgodnego z pamiętnikiem, kiedy… — Urwał, a potem wybuchnął wymuszonym, chrapliwym śmiechem. — Co za różnica? Po prostu trochę się wszystko odwlecze, nim Cooper dokona ostatniego wyłomu w kręgu. Nie ma sposobu, żeby tego uniknąć. Minuty, godziny, dnie. Co za różnica… Niebawem nie będzie już Wieczności. Słyszy mnie pan? Nastąpi koniec Wieczności.

14. Wcześniejsza zbrodnia

Dlaczego? Dlaczego? Twissell patrzył całkowicie bezradnie to na skalę, to na Technika; w jego oczach odbijał się ten sam bezsilny i pełen zdumienia gniew co w jego głosie.

Harlan podniósł głowę. Miał do powiedzenia tylko jedno: — Noys!

Twissell:

— Myślisz o tej kobiecie, którą wziąłeś do Wieczności? Harlan uśmiechnął się gorzko i nie powiedział nic. Twissell:

— Co ona ma z tym wspólnego? Wielki Czasie, nie rozumiem, chłopcze.

— Co tu jest do zrozumienia? — wybuchnął Harlan. — Dlaczego udaje pan naiwnego? Miałem kobietę. Byłem szczęśliwy i ona też. Nikomu nie przeszkadzaliśmy. Ona nie istniała w nowej Rzeczywistości. Kogo to kłuło w oczy?

Twissel na próżno próbował przerwać. Harlan krzyczał:

— Ale w Wieczności są zasady, prawda? Znam je wszystkie. Zawarcie związku wymaga zezwolenia; zawarcie związku wymaga kalkulacji; wymaga wreszcie zatwierdzenia — to sprawy delikatne. Co przeznaczyliście dla Noys, kiedy to wszystko się skończy? Fotel w eksplodującej rakiecie? Czy może bardziej atrakcyjną rolę — wspólnej kochanki szanownych Kalkulatorów? Myślę, że nie będziecie już snuć żadnych planów.

Zakończył niemal z rozpaczą, a Twissell podszedł szybko do płyty wizjofonu. Jej funkcja transmisyjna najwidocznie została przywrócona.

Kalkulator krzyczał do niej, aż wreszcie usłyszał odpowiedź. Potem powiedział:

— Mówi Twissell. Nikogo tu nie wpuszczać. Rozumiecie?… Więc uważajcie. Dotyczy to również członków Rady Wszechczasów. A nawet szczególnie ich.

Zwrócił się z roztargnieniem do Harlana:

— Zastosują się do tego, bo jestem starym człowiekiem i starszym członkiem Rady i ponieważ uważają mnie za stetryczałego dziwaka. Tak, ulegają mi, bo jestem stetryczałym dziwakiem. — Na chwilę pogrążył się w milczeniu. Potem dodał: — Myślisz, że jestem pomylony? — Szybko zwrócił ku Harlanowi swą pomarszczoną małpią twarz.

Harlan pomyślał: Wielki Czasie, to wariat. Pod wpływem wstrząsu postradał zmysły.

Odruchowo cofnął się o krok, ale opanował się szybko. Choćby nawet wpadł w szał, to jest słaby, a zresztą jego szaleństwo nie potrwa

długo.

Niedługo? A dlaczego w ogóle miałoby trwać? Co odwleka koniec Wieczności?

Twissell powiedział (nie miał papierosa w palcach ani nie sięgał po papierosa) natarczywym tonem:

— Nie odpowiedziałeś mi. Uważasz, że jestem pomylony? Przypuszczam, że tak myślisz: zbyt pomylony, by z nim gadać. Gdybyś traktował mnie jak przyjaciela, a nie jak zgrzybiałego staruszka, kapryśnego i nieobliczalnego, otwarcie wyznałbyś mi swoje wątpliwości. Nie postąpiłbyś tak, jak postąpiłeś.

Harlan zastanowił się. Ten człowiek uważa, że to on jest wariatem. Otóż właśnie! Odparł gniewnie:

— Mój postępek był słuszny. Jestem przy zdrowych zmysłach. Twissell:

— Mówiłem ci, że dziewczynie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Pamiętasz?

— Byłem głupcem, że wierzyłem w to choćby przez chwilę. Byłem głupcem, myśląc, że Rada okaże się sprawiedliwa wobec Technika.

— Kto ci mówił, że R.ada coś o tym wie?

— Finge wiedział i wysłał odpowiedni raport do Rady.

— A skąd o tym wiesz?

— Wyciągnąłem to z Finge'a pod groźbą użycia neuronowego bicza. Bicz unicestwia hierarchię służbową.

— Tego samego bicza, którym dokonałeś tego? — Twissell wskazał przełącznik z grudkami stopionego metalu na powierzchni skali.

— Tak.

— Bardzo przydatny bicz. — A potem ostro: — Wiesz, dlaczego Finge przedłożył to Radzie zamiast załatwić sprawę samemu?

— Ponieważ mnie nienawidzi i chciał, bym utracił swe stanowisko. Pragnął Noys.

Twissell:

— Jesteś naiwny! Gdyby pragnął tej dziewczyny, łatwo mógłby załatwić związek. Technik nie stanowi przeszkody. Ten człowiek nienawidził mnie, chłopcze. (Nadal nie miał papierosa. Bez niego sprawiał dziwne wrażenie, a poplamiony palec, który przyłożył Harlanowi do piersi, gdy wygłaszał ostatnie zdanie, wyglądał niemal nieprzyzwoicie nago).

— Pana?

— Istnieje coś takiego, chłopcze, jak polityka Rady. Nie każdy Kalkulator jest jej członkiem. Finge chciał być w Radzie. Jest ambitny, bardzo tego pragnął. Przeszkodziłem temu, ponieważ uważam, że jest niezrównoważony. O Czasie, nigdy nie doceniałem, jak dalece miałem rację… Słuchaj, chłopcze. On wiedział, że jesteś moim protegowanym.

Przecież z Obserwatora zrobiłem cię znakomitym Technikiem.

Wiedział, że stale dla mnie pracujesz. W jaki sposób najłatwiej mógł mi zaszkodzić i zniszczyć moje wpływy? Gdyby zdołał udowodnić, że mój ulubiony Technik popełnił okropną zbrodnię przeciwko Wieczności, trafiłoby to we mnie. Mogłoby zmusić mnie do rezygnacji z Rady Wszechczasów, a kto, jak sądzisz, byłby najprawdopodobniej moim następcą?

Ręce bez papierosa zrobiły ruch ku ustom, Twissell popatrzył tępo na pustą przestrzeń między palcem wskazującym i serdecznym.

Harlan pomyślał: nie jest taki spokojny, jakiego udaje. Nie może być. Ale po co mówi teraz te wszystkie nonsensy? Teraz, kiedy Wieczność się kończy?

A potem w ostatecznym napięciu: Ale dlaczego ona sienie skończyła?

Twissell:

— Kiedy ostatnio pozwoliłem ci jechać do Finge'a, podejrzewałem niebezpieczeństwo. Lecz pamiętnik Mallansohna stwierdzał, że nie było cię przez ostatni miesiąc, a nie istniał żaden inny naturalny powód twojej nieobecności. Na szczęście Finge sfuszerował grę.

— W jaki sposób? — zapytał Harlan ze zmęczeniem w głosie. Właściwie nie interesowało go to, lecz Twissell gadał i gadał, a łatwiej było wziąć w tym udział niż nie przyjmować do wiadomości tego, co mówił.

Twissel:

— Finge zatytułował swój raport: „W sprawie wykroczenia służbowego Technika Harlana". On jest idealnym Wiecznościowcem, uważasz; jest beznamiętny, bezstronny, nie denerwuje się. Myślał, że Rada wpadnie we wściekłość i zaatakuje mnie. Na nieszczęście dla siebie nie był świadom twojego prawdziwego znaczenia. Nie wiedział, że każdy raport dotyczący ciebie zostanie natychmiast przekazany mnie, jeśli nie jest wyraźnie zaznaczone w nagłówku, że ma go otrzymać ktoś inny.

— Nigdy pan ze mną o tym nie mówił.

— Jak mogłem mówić? Bałem się zrobić cokolwiek, co mogłoby cię zdenerwować i wywołać kryzys naszego planu. Dałem ci wszelkie możliwości, abyś się sam do mnie zwracał ze swoimi problemami.

Wszelkie możliwości? Harlan wykrzywił usta w grymasie niedowierzania, lecz przypomniał sobie zmęczoną twarz Twissella na ekranie wizjofonu i spytał, czy nie ma mu nic do powiedzenia. To było wczoraj. Nie dalej jak wczoraj.

Harlan potrząsnął głową, lecz odwrócił twarz.

Twissell powiedział miękko:

— Od razu zrozumiałem, że świadomie sprowokował cię do twojej… szybkiej akcji.

Harlan podniósł głową:

— Pan o tym wie?

— Czy to cię dziwi? Wiedziałem, że Finge na mnie czyha. Wiedziałem o tym od dawna. Jestem stary, chłopcze. Znam się na tych sprawach. Ale są sposoby, którymi można sprawdzać wątpliwych Kalkulatorów. Zawsze istnieją pewne urządzenia ochronne, wydobyte z Czasu, których nie wystawia się w muzeach. Jest kilka, o których wie jedynie Rada.

Harlan pomyślał gorzko o blokadzie w 100 000 Stuleciu.

— Z raportu i posiadanych przeze mnie informacji łatwo było wydedukować, co się stanie.

Harlan powiedział nagle:

— Przypuszczam, że Finge podejrzewał pana o szpiegowanie.

— Możliwe. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Harlan pomyślał o pierwszych dniach u Finge'a, kiedy Twissell okazał niezwykłe zainteresowanie młodym Obserwatorem. Finge nic nie wiedział o projekcie Mallansohna i zaniepokoił się wystąpieniem Twissella. „Czy kiedykolwiek widziałeś się ze Starszym Kalkulatorem Twissellem?" — zapytał. Harlan wyczuwał wyraźnie niepewność w głosie Finge'a. Już wówczas Finge musiał podejrzewać, że Harlan jest człowiekiem Twissella. Stąd jego wrogość i nienawiść.

— Więc gdybyś przyszedł do mnie…

— Przyjść do pana? — krzyknął Harlan. — A co z Radą?

— Z całej Rady tylko ja jeden wiedziałem.

— I nic pan im nie powiedział? — Harlan próbował szydzić.

— Nic.

Harlanowi zrobiło się gorąco. Ubranie go dusiło. Czy ta zmora będzie trwała wiecznie? Bzdurne, idiotyczne gadanie. Po co? Dlaczego?

Czemu Wieczność się nie skończyła? Dlaczego nie ogarnął ich wielki spokój Niewieczności? Co się tu nie udało?

Twissell:

— Nie wierzysz mi?

— Dlaczego miałbym wierzyć?! — krzyknął Harlan. — Zebrali się, żeby mnie obejrzeć, prawda? Po co by to mieli robić, gdyby nie znali raportu? Przyszli obejrzeć dziwacznego faceta, który złamał prawa Wieczności, ale którego nie można ruszyć jeszcze przez jeden dzień. Nazajutrz projekt będzie skończony. Wybałuszali oczy, myśląc o jutrze, którego oczekiwali.

— Nic podobnego, chłopcze. Chcieli cię zobaczyć tylko dlatego, że są ludźmi. Członkowie Rady są również ludźmi. Nie mogli być świadkami ostatniego startu kotła, bo pamiętnik Mallansohna ich nie przewidział. Nie mogli rozmawiać z Cooperem, ponieważ pamiętnik również o tym nie wspomina. A jednak coś chcieli zobaczyć. Ojcze

Czasie, chłopcze, nie wiedziałeś, że oni chcą coś zobaczyć? Ty byłeś najbliżej, więc cię sprowadzili, żeby się na ciebie pogapić.

— Nie wierzę panu.

— A jednak to prawda.

— Czyżby? Przecież przy obiedzie Radca Sennor mówił o człowieku, który spotyka samego siebie. Musiał wiedzieć o moich nielegalnych wycieczkach w 482 Stulecie i o tym, że omal nie spotkałem samego siebie. W ten sposób dręczył mnie, bawił się sprytnie moim kosztem.

— Sennor? Martwisz się Sennorem? Wiesz, co to za żałosna postać? Pochodzi z 803, z czasów jednej z nielicznych kultur, kiedy ciało ludzkie świadomie zniekształcano, by odpowiadało estetycznym wymogom tego okresu. Pozbawiono go wszystkich włosów już w młodości.

Wiesz, co to znaczy z punktu widzenia rozwoju gatunku ludzkiego? Z pewnością wiesz. Zniekształcenie takie izoluje człowieka od jego przodków i jego potomstwa. Ludzie z 803 są kiepskimi kandydatami na Wiecznościowców, ponieważ tak bardzo się różnią od reszty z nas. Bardzo niewielu z nich się wybiera. Z tego Stulecia jedyny Sennor znalazł się w Radzie.

Nie wiesz, jak to na niego wpływa? Na pewno rozumiesz, co to znaczy niepewność. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że członek Rady może czuć się niepewnie? Dlatego Sennor przysłuchuje się wszelkim dyskusjom na temat zlikwidowania jego Rzeczywistości. A usunięcie tej Rzeczywistości oznaczałoby, że tylko on i paru innych z całego pokolenia pozostanie nadal tak zniekształconych. Ale któregoś dnia tak się to skończy.

Znajduje ucieczkę w filozofii. Kompensuje to sobie grając pierwsze skrzypce w dyskusji, świadomie reprezentując niepopularne albo nie akceptowane poglądy. Paradoks o człowieku spotykającym samego siebie jest jego ulubionym tematem. Mówiłem ci, że prorokował klęskę projektu i to nam, członkom Rady, a nie tobie chciał dokuczyć. To nie ma nic wspólnego z tobą. Nic!

Twissell podniecał się. W powodzi słów zapomniał, gdzie jest, zapomniał o kryzysie, jaki groził, stał się na nowo szybko gestykulującym, niezdarnym gnomem, którego Harlan tak dobrze znał. Wyciągnął nawet papierosa z kieszonki w rękawie i połamał go na kawałki.

Nagle przerwał, odwrócił się na pięcie i znowu popatrzył na Harlana, jak gdyby dopiero teraz przypominając sobie, co Technik ostatnio powiedział.

— Co miałeś na myśli mówiąc, że o mało nie spotkałeś samego siebie?

Harlan opowiedział mu krótko i spytał:

— Pan o tym nie wiedział?

— Nie.

Nastąpiła chwila ciszy, która dla rozgorączkowanego Harlana była jak łyk wody, po czym Twissell powiedział:

— Czyżby to było to? A gdybyś tak istotnie spotkał samego siebie?

— Ale nie spotkałem. Twissell zignorował to.

— Zawsze pozostaje jakiś margines. Przy nieskończonej liczbie Rzeczywistości nie może istnieć coś takiego jak determinizm. Przypuśćmy, że w Rzeczywistości Mallansohnowskiej, w poprzednim cyklu…

— Czy krąg obraca się wiecznie? — zapytał Harlan z tym odcieniem zdziwienia, na jaki jeszcze potrafił się zdobyć.

— A myślałeś, że tylko dwa razy? Myślisz, że dwa jest magiczną liczbą? To ciągłe obroty koła w określonym fizjoczasie. Zupełnie jakbyś prowadził ołówek po obwodzie koła nieskończoną ilość razy, zamykając jednak określoną przestrzeń. W poprzednim cyklu nie spotkałeś samego siebie. W tym konkretnym przypadku statystyczne prawdopodobieństwo zdarzeń pozwoliło ci na to. Rzeczywistość musiała się zmienić, by uniemożliwić spotkanie, i w nowej Rzeczywistości nie wysłałeś Coopera do 24, lecz…

Harlan krzyknął:

— Po co to całe gadanie? Do czego pan zmierza? Wszystko skończone. Wszystko! Teraz proszę mnie zostawić samego! Proszę mnie zostawić!

— Chciałbym, żebyś wiedział, że postąpiłeś źle. Żebyś sobie uświadomił, że popełniłeś błąd.

— Nie popełniłem. A jeśli nawet, to jest już po wszystkim.

— Nie jest po wszystkim. Bądź łaskaw jeszcze trochę mnie posłuchać. — Twissell kręcił się, niemal szczebiocąc z nerwową uprzejmością. — Będziesz miał swoją dziewczynę. Obiecałem ci to. I obietnicę ponawiam. Nikt jej nie zrobi krzywdy. Daję ci moją osobistą gwarancję.

Harlan patrzył na niego rozszerzonymi oczami.

— Przecież jest za późno. Po co to?

— Nie jest za późno. Wszystko da się naprawić. Z twoją pomocą może nam się jeszcze uda. Musisz mi pomóc. Musisz zrozumieć, że zrobiłeś źle. Musisz naprawić to, co zepsułeś.

Harlan oblizał suche wargi suchym językiem i pomyślał: on oszalał. Jego umysł nie potrafi pojąć prawdy… czy też może Rada wie coś więcej?

A może? Może? Może Rada potrafi odwrócić kolejność Zmian? Potrafi zatrzymać Czas albo go cofnąć?

— Zamknął mnie pan w sterówce, chciał mnie pan obezwładnić,

póki się wszystko nie skończy.

— Powiedziałeś, że boisz się, żebyś nie popełnił jakiejś omyłki, że może nie uda ci się odegrać twojej roli.

— To miała być pogróżka.

— Wziąłem to dosłownie. Przepraszam. Musisz mi pomóc.

Do tego doszło. Potrzebna jest pomoc Harlana, Twissell oszalał? Czy Harlan oszalał? Czy to zresztą ma jakiekolwiek znaczenie? Czy cokolwiek ma teraz znaczenie?

Radzie potrzebna jest jego pomoc. Za tę pomoc obiecują mu wszystko. Noys. Godność Kalkulatora. Na wszystko się zgodzą. A gdy już im pomoże, co wtedy? Nie da zrobić z siebie durnia po raz drugi.

— Nie! — powiedział.

— Będziesz miał Noys.

— Uważa pan, że Rada zechce złamać prawa Wieczności, gdy minie niebezpieczeństwo? Nie mogę w to uwierzyć. (Jak może minąć niebezpieczeństwo — zastanawiał się przy tym. Po co to wszystko?)

— Rada nigdy się nie dowie.

— W takim razie pan będzie łamał te prawa? Pan jest ideałem Wiecznościowca. Gdy minie niebezpieczeństwo, będzie pan posłuszny prawom. Nie może pan postąpić inaczej.

Na policzkach Twissella wystąpiły czerwone plamy. Ze starejtwarzy zniknął wyraz chytrości i siły. Pozostała tylko troska.

— Dotrzymam danego ci słowa i złamię prawo — rzekł Twissell i to z powodu, którego sobie nie możesz nawet wyobrazić. Nie wiem, ile nam czasu zostało do zniknięcia Wieczności. Może godziny, może miesiące. Lecz straciłem go już tyle, żeby ci przemówić do rozsądku, że mogę stracić jeszcze trochę. Wysłuchasz mnie?

Harlan zawahał się. Następnie, bardziej z przekonania, że to i tak wszystko jest daremne, niż z jakiegokolwiek innego powodu, powiedział ze zmęczeniem.

— Niech pan mówi.

— Słyszałem — zaczął Twissell — że już urodziłem się stary, że gdy wyrzynały mi się zęby, obgryzałem mikrokomputaplex, że podczas snu trzymam podręczny komputer w kieszeni piżamy, że mój mózg jest zrobiony z małych ogniw elektrycznych, połączonych równolegle, i że każda cząsteczka mojej krwi jest mikroskopijną kartą przestrzenno-czasową, pływającą w oliwie do komputerów.

Wszystkie te teorie dotarły w końcu do mnie i chyba nawet byłem z nich po trosze dumny. Możliwe, że nawet w nie wierzę. To głupie, jak na takiego starego człowieka, ale jest mi z tym odrobinę lżej.

Czy to cię nie dziwi? Że ja mam również ciężkie życie? Ja, Starszy Kalkulator Twissell, starszy członek Rady Wszechczasów?

Może dlatego palę. Czy kiedyś się nad tym zastanawiałeś? Muszę przecież mieć do tego jakiś powód. Wieczność jest w zasadzie

społeczeństwem niepalącym, a większa część Czasu również. Niekiedy myślę, że to bunt przeciwko Wieczności. Coś, co jest namiastką większego buntu, który się nie udał…

Nie, w porządku. Jedna czy dwie łzy nie zaszkodzą. Ja nie udaję, wierz mi. Po prostu od dawna o tym nie myślałem. Dlatego mi smutno.

Oczywiście, w całą sprawę była zamieszana kobieta, podobnie jak w twoim przypadku. To nie przypadek. To prawie nieuniknione. Wiecznościowiec, który musi sprzedać normalne przyjemności rodzinnego życia za kolumny perforacji na folii, łatwo ulega infekcji. Dlatego, między innymi, Wieczność musi stosować środki zapobiegawcze. I prawdopodobnie z tego samego powodu Wiecznościowcy są tak pomysłowi w omijaniu tych środków, jeśli zajdzie potrzeba.

Pamiętam moją kobietę. Możliwe, że to głupie, ale nie pamiętam nic poza nią z tamtego fizjoczasu. Moi dawni koledzy są dla mnie tylko nazwiskami w księgach dokumentów. Zmiany, jakie nadzorowałem poza jedną jedynie pozycją w zasobnikach pamięciowych komputapleksu. A jednak ją pamiętam bardzo dobrze. Chyba potrafisz to zrozumieć.

Miałem w aktach od bardzo dawna podanie o związek, a gdy potem osiągnąłem stanowisko Młodszego Kalkulatora, wyznaczono mi ją. Była to dziewczyna z tego samego Stulecia, z 575. Nie widziałem jej, oczywiście, aż do zawarcia związku. Była inteligentna i miła. Ani piękna, ani nawet ładna, ale wtedy, nawet gdy byłem młody (tak, byłem kiedyś młody wbrew wszelkim mitom), nie uchodziłem za przystojnego. Bardzo odpowiadaliśmy sobie temperamentem, a jako człowiek Czasu byłbym dumny, gdyby została moją żoną. Powtarzałem jej to wiele razy. Myślę, że jej się to podobało. Nie wszyscy Wiecznościowcy, którzy muszą wybierać sobie takie żony, na jakie pozwala kalkulacja, mają podobne szczęście.

W tamtej określonej Rzeczywistości miała umrzeć młodo, a z żadnym z jej odpowiedników nie mogłem zawrzeć związku. Najpierw przyjmowałem to filozoficznie. Przecież to właśnie dzięki jej krótkiemu życiu mogłem żyć z nią bez szkodliwego oddziaływania na Rzeczywistość.

Wstydzę się tego teraz, wstydzę się faktu, że cieszyłem się, iż niewiele życia jej pozostało. Cieszyłem się tylko na początku. Tylko na początku.

Odwiedzałem ją tak często, jak na to pozwalał plan czasowo-przestrzenny. Wykorzystałem go co do minuty, rezygnując z posiłków i snu, jeśli było trzeba, bezwstydnie wykręcając się od roboty. Jej słodycz przeszła moje oczekiwania, byłem zakochany. Mówię to otwarcie. Moje doświadczenie w miłości jest bardzo niewielkie, a

zrozumienie jej przez obserwację w Czasie — bardziej niż wątpliwe. Lecz, o ile się orientuję, byłem zakochany.

To, co zaczęło się jako zaspokojenie potrzeby uczuciowej i fizycznej, stało się czymś o wiele poważniejszym. Jej rychła śmierć przestała być sprawą oczywistą, a stała się klęską. Przebadałem jej Biografię, ale sam, bez pomocy Wydziału Biografowania. Jesteś pewnie zaskoczony. To było wykroczenie, ale zupełnie błahe w porównaniu ze zbrodniami, jakie popełniłem później.

Tak, właśnie ja, Laban Twissell. Starszy Kalkulator Twissell.

Trzy razy przychodził i mijał ten moment w fizjoczasie, w którym przez pewne proste posunięcie mogłem zmienić jej osobistą Rzeczywistość. Wiedziałem, że żadna tego rodzaju Zmiana, przeprowadzona z powodów osobistych, nie zyska akceptu Rady. Zaąłem się jednak czuć osobiście odpowiedzialny za jej śmierć. Widzisz, to był jeden z motywów mojego późniejszego działania.

Zaszła w ciążę. Nie przeciwdziałałem tego, chociaż powinienem. Znałem jej Biografię, o tyle zmodyfikowaną, by mieścił się w niej jej związek ze mną, i wiedziałem, że prawdopodobieństwo ciąży będzie duże. Może wiesz, a może nie wiesz, że kobiety z Czasu niekiedy zachodzą w ciążę z Wiecznościowcami mimo środków zapobiegawczych. Takie rzeczy się zdarzają. Ponieważ jednak żaden Wiecznościowiec nie ma prawa mieć dzieci, ewentualne ciąże przerywa się bezboleśnie i bezpiecznie, istnieje wiele metod.

Moja analiza Biografii wskazywała, że dziewczyna umrze przed porodem, a więc nie uczyniłem nic, by ciążę przerwać. Była szczęśliwa i chciałem, żeby taka pozostała. Patrzyłem więc tylko i próbowałem się uśmiechać, gdy powiadała mi, że czuje, jak budzi się w niej życie.

Lecz nastąpił przedwczesny poród…

Nie dziwię się, że tak patrzysz. Miałem dziecko. Własne dziecko. Prawdopodobnie nie znajdziesz innego Wiecznościowca, który mógłby to o sobie powiedzieć. Popełniłem więcej niż wykroczenie, poważne przestępstwo, ale to jeszcze nic.

Nie spodziewałem się tego. Urodziny i związane z nim problemy stanowiły dziedzinę, w której miałem niewielkie doświadczenie.

W panice przestudiowałem na nowo Biografię i odkryłem, że dziecko może żyć w rezultacie mało prawdopodobnego rozdwojenia wątku, którego przedtem nie dostrzegłem. Zawodowy Biografista nie przeoczyłby tego, ja zaś popełniłem błąd, ufając zbytnio w swoje umiejętności.

Ale co mogłem teraz zrobić?

Matka zmarła, jak przewidziano i w przewidziany sposób. Siedziałem w jej pokoju przez cały czas dozwolony przez kartę przestrzenno-czasową, skręcając się z bólu, tym silniejszego, że przecież przez rok z górą z całą świadomością czekałem na jej śmierć.

W ramionach trzymałem swego i jej syna.

Tak, pozostawiłem go przy życiu. Czemu tak krzyczysz? Ty masz zamiar mnie potępić?

Skąd możesz wiedzieć, co to znaczy trzymać w ramionach atom własnego życia? Może masz komputaplex zamiast nerwów i karty przestrzenno-czasowe zamiast krwiobiegu?

Pozostawiłem dziecko przy życiu. Popełniłem i tę zbrodnię. Oddałem je pod opiekę właściwej organizacji i wracałem, kiedy się dało (w ścisłym następstwie czasowym, zsynchronizowanym z fizjoczasem), by dokonywać niezbędnych wpłat i patrzeć, jak chłopiec rośnie.

W ten sposób minęły dwa lata. Regularnie sprawdzałem Biografię chłopca (teraz przyzwyczaiłem się już do łamania tego właśnie prawa) i byłem zadowolony, widząc, że nie ma oznak szkodliwego wpływu na istniejącą wówczas Rzeczywistość z prawdopodobieństwem do około 0,0001. Chłopiec nauczył się chodzić, poznał kilka słów. Nie uczono go, by mnie nazywał „tatą". Co myśleli sobie czasowi ludzie z Instytutu Opieki nad Dzieckiem — tego nie wiem. Brali pieniądze i nie mówili nic.

Po upływie dwóch lat Radzie Wszechczasów przedstawiono konieczność Zmiany, która zahaczała o 575 Stulecie. Mnie, jako promowanemu ostatnio na Zastępcę Kalkulatora, polecono przeprowadzenie Zmiany. Była to pierwsza Zmiana, którą powierzono wyłącznie mnie.

Oczywiście byłem dumny, ale jednocześnie bałem się. Mój syn był obcy w Rzeczywistości. Trudno było oczekiwać, by miał odpowiedniki. Przygnębiała mnie ta myśl o jego przejściu do niebytu.

Pracowałem przy Zmianie i pochlebiałem sobie, że wykonałem zadanie bez zarzutu. Pierwsze w życiu. Ale uległem pokusie. Uległem tym łatwiej, że już nie było to dla mnie nic nowego. Stałem się zatwardziałym przestępcą, recydywistą. Badałem nową Biografię mego syna w nowej Rzeczywistości, pewny tego, co znajdę.

Lecz wtedy, przez dwadzieścia cztery godziny bez jedzenia i bez snu, siedziałem w swoim gabinecie, walcząc z zamkniętą Biografią, szarpiąc jaw rozpaczliwym wysiłku, by znaleźć błąd.

Nie było błędu.

Następnego dnia, odkładając decyzję Zmiany, przygotowałem kartę przestrzenno-czasową, używając prymitywnej metody przybliżenia (mimo wszystko Rzeczywistość nie miała trwać długo) i wszedłem w Czas w punkcie odległym o trzydzieści lat od urodzin mojego syna.

Miał wtedy trzydzieści cztery lata, czyli tyle co ja. Przedstawiłem się jako daleki krewny, wykorzystując swą znajomość rodziny jego matki. Nic nie wiedział o swoim ojcu, nie pamiętał z dzieciństwa

moich odwiedzin.

Pracował jako inżynier aeronautyczny. Wiek 575 specjalizował się w kilku rodzajach podróży powietrznych (i nadal się specjalizuje w bieżącej Rzeczywistości), a mój syn był szczęśliwym i wartościowym członkiem tego społeczeństwa. Ożenił się z gorąco zakochaną w nim dziewczyną, lecz nie mieli dzieci. Dziewczyna ta nie wyszłaby w ogóle za mąż w Rzeczywistości, w której mój syn by nie istniał. Wiedziałem o tym od początku. Wiedziałem, że nie będzie szkodliwego oddziaływania na Rzeczywistość. W przeciwnym wypadku może nie zdobyłbym się na to, by mego syna zostawić przy życiu. Bo nie jestem całkowicie wyzuty z zasad.

Spędziłem z nim jeden dzień. Rozmawiałem oficjalnie, uśmiechałem się grzecznie, pożegnałem się chłodno, w chwili gdy nakazywała to karta przestrzenno-czasowa. Ale obserwowałem i pochłaniałem wszystko, usiłując przeżyć przynajmniej jeden dzień poza Rzeczywistością, jakby następny dzień (w fizjoczasie) miał nigdy nie nadejść.

Jakże pragnąłem odwiedzić moją żonę po raz drugi, w tym okresie, kiedy jeszcze żyła, ale zużyłem ostatnią wolną sekundę. Nie ośmieliłem się nawet wejść do Czasu, by ją zobaczyć, samemu pozostając niewidzialnym. Następnego dnia złożyłem wyliczenia wraz z moimi zaleceniami Zmiany.

Twissell zniżył głos do szeptu i wreszcie zamilkł. Siedział oklapnięty, utkwiwszy oczy w podłogę, splatając i rozplatając palce.

Harlan próżno czekał na dalszy ciąg. Odchrząknął. Stwierdził, że współczuje temu człowiekowi, współczuje mu mimo wielu zbrodni, jakie popełnił. Zapytał:

— To wszystko? Twissell szepnął:

— Nie, najgorsze… najgorsze, że… odpowiednik mego syna istniał. W nowej Rzeczywistości istniał jako paralityk od czwartego roku życia. Czterdzieści dwa lata w łóżku, w okolicznościach, które uniemożliwiały mi zastosowanie techniki regeneracji nerwów z 900 Stulecia albo nawet bezbolesne zakończenie jego życia.

Nowa Rzeczywistość istnieje. Mój syn znajduje się w niej nadal w odpowiedniej części Stulecia. To ja mu to zrobiłem. To mój umysł i mój komputaplex odkrył dla niego to nowe życie i moje słowo zarządziło Zmianę. Popełniłem dla niego i dla jego matki wiele zbrodni, lecz ten ostatni czyn, jakkolwiek ściśle związany z moją przysięgą Wiecznościowca, zawsze wydawał mi się moją największą zbrodnią, prawdziwą zbrodnią.

Harlan milczał.

Twissell podjął:

— Ale teraz widzisz, że rozumiem twój przypadek, i dlatego chętnie pozostawię ci tę dziewczynę. To nie zaszkodzi Wieczności i w

pewnym sensie będzie zadośćuczynieniem za moją zbrodnię.

I Harlan uwierzył. W jednej chwili całkowicie zmienił poglądy i uwierzył!

Osunął się na kolana i podniósł zaciśnięte pięści do skroni. Pochylił głowę. Ogarnęła go dzika rozpacz.

Porzucił Wieczność i stracił Noys, a gdyby nie ów chwyt Samsona — mógł ocalić jedno i zachować drugie.

15. Poszukiwania w Prymitywie

Twissell, potrząsając Harlana za ramiona, wołał niecierpliwie: — Harlan! Harlan! Na miłość Czasu, człowieku! Harlan powoli budził się z odrętwienia.

— Co mamy robić?

— Z pewnością nie to. Nie rozpaczać. Na początek słuchaj. Zapomnij o swym technicznym poglądzie na Wieczność i spojrzyj na nią oczyma Kalkulatora. Ten pogląd jest bardziej skomplikowany. Kiedy wprowadzasz pewne odchylenie w Czasie i tworzysz Zmianę Rzeczywistości, Zmiana może nastąpić natychmiast. Dlaczego tak powinno być?

Harlan zapytał roztrzęsionym głosem:

— Bo to odchylenie uczyniło Zmianę nieuniknioną?

— Czyżby? Możesz przecież się cofnąć i odwrócić odchylenie.

— Sądzę, że tak. Jednak nigdy tego nie próbowałem. Ani nie słyszałem, żeby ktoś to robił.

— Słusznie. Nie ma intencji cofnięcia odchylenia, więc wszystko odbywa się tak, jak planowano. Ale tu mamy coś innego. Niezamierzone odchylenie. Posłałeś Coopera do niewłaściwego Stulecia, a teraz ja koniecznie chcę odwrócić to odchylenie i sprowadzić go z powrotem.

— Na miłość Czasu, jak?

— Nie jestem jeszcze pewny, ale musi istnieć jakiś sposób. W przeciwnym razie odchylenie byłoby nieodwracalne. Zmiana nastąpiłaby natychmiast. A przecież nie nastąpiła. Pozostajemy nadal w Rzeczywistości pamiętnika Mallansohna. Oznacza to, że odhylenie jest odwracalne i zostanie odwrócone.

— Co? — prześladująca Harlana zmora potężniała, stawała się coraz bardziej dokuczliwa.

— Musi istnieć sposób ponownego połączenia kręgu w Czasie, a to, że wpadniemy na właściwy sposób, jest wysoce prawdopodobne. Oczywiście póki istnieje nasza Rzeczywistość. Jeśli w którejkolwiek chwili ty czyja podejmiemy złą decyzję, jeśli prawdopodobieństwo połączenia kręgu spadnie poniżej pewnej krytycznej wielkości, Wieczność zniknie. Rozumiesz?

Harlan niezupełnie rozumiał, ale nawet się o to zbytnio nie starał. Powoli wstał i powlókł się do krzesła.

— Uważa pan, że możemy odzyskać Coopera?…

— I posłać go we właściwe miejsce. Tak. Wystarczy złapać go w chwili, gdy opuszcza kocioł, a będzie mógł się znaleźć we właściwym miejscu w 24 Stuleciu, starszy zaledwie o kilka godzin fizjoczasu. Oczywiście, będzie to odchylenie, lecz niewątpliwie niezbyt ważne.

Rzeczywistość się zachwieje, człowieku, ale nie runie.

— Ale jak go ściągniemy?

— Wiemy, że jest sposób, bo inaczej Rzeczywistość już by nie istniała. I właśnie do znalezienia tego sposobu potrzebuję ciebie, dlatego walczyłem, by cię pozyskać. Jesteś ekspertem w sprawach Prymitywu. Powiedz mi.

— Nie mogę — jęknął Harlan.

— Możesz — nalegał Twissell.

Nagle z twarzy starca znikły wszelkie ślady wieku czy zmęczenia. Jego oczy płonęły ogniem walki, wymachiwał papierosem jak lancą. Nawet otumaniony rozpaczą Harlan widział, że Kalkulator się cieszy, cieszy się w tej właśnie chwili, gdy trzeba przystąpić do boju.

— Możemy zrekonstruować wydarzenia — powiedział Twissell. Tu masz dźwignię rozruchu. Stoisz przy niej czekając na sygnał. Włączasz kontakt i jednocześnie naciskasz w dół dźwignię mocy. Jak daleko?

— Nie wiem, mówię panu. Nie wiem.

— Ty nie wiesz, ale twoje mięśnie wiedzą. Stań tam i weź do ręki dźwignię. Skup się. Bierz dźwignię. Czekasz na sygnał. Nienawidzisz mnie. Nienawidzisz Rady. Nienawidzisz Wieczności. Pęka ci serce z żalu po Noys. Cofnij się do tej chwili. Czuj się tak, jak się wtedy czułeś. A teraz ja znowu włączę zegar. Dam ci minutę, chłopcze, byś sobie przypomniał swoje uczucia i zmusił się do działania. Następnie, gdy będzie się zbliżało zero, niech twoja ręka szarpnie dźwignię, tak jak zrobiła to przedtem. A teraz cofnij rękę. Nie przesuwaj dźwigni z powrotem. Jesteś gotów?

— Chyba nie dam rady.

— Chyba?… Ojcze Czasie, nie masz przecież wyboru. Czy w inny sposób możesz odzyskać swoją dziewczynę?

Nie było sposobu. Harlan zmusił się, by podejść do steru, a gdy to uczynił, uczucia napłynęły z powrotem. Nie potrzebował ich wywoływać. Powtarzanie fizycznych ruchów obudziło je znowu. Czerwony włosek na zegarze zaczął się poruszać.

Z rozpaczą myślał: ostatnia minuta życia?

Minus trzydzieści sekund.

To nie będzie bolało. To nie śmierć.

Próbował myśleć wyłącznie o Noys.

Minus piętnaście sekund.

Noys!

Lewa ręka Harlana puściła przełącznik.

Minus dwanaście sekund.

Kontakt!

Prawa ręka poruszyła się.

Minus pięć sekund.

Noys!

Prawa ręka po — ZERO — ruszyła się kurczowo.

Odskoczył oddychając ciężko.

Podszedł Twissell i popatrzył na skalę.

— Dwudzieste Stulecie — powiedział. — Dokładnie 19,38. Harlan wykrztusił:

— Nie wiem. Starałem się odczuwać to samo, ale to było co innego. Wiedziałem, co robię, i to zmieniało postać rzeczy.

— Wiem, wiem. Możliwe, że to wszystko jest błędne. Nazwijmy to pierwszym przybliżeniem. — Urwał na chwilę rachując w pamięci, wyjął kieszonkowy komputer, do połowy wyciągnął go z pojemnika i schował znowu, nie próbując uruchomić. — Do Czasu, z dziesiętnymi. Powiedzmy, że prawdopodobieństwo wynosi 0,99, że posłałeś go do drugiej ćwierci dwudziestego Stulecia. Gdzieś między 19,25 a 19,50. W porządku?

— Nie wiem.

— No, to teraz słuchaj. Jeśli podejmę mocną decyzję skoncentrowania się na tej części Prymitywu, wykluczając wszystko inne, i jeśli się mylę, to prawdopodobnie stracę ostatnią możliwość zamknięcia kręgu w Czasie i Wieczność zniknie. Sama decyzja będzie kluczowym punktem. Minimum Potrzebnych Zmian, MPZ, aby umożliwić Zmianę. Teraz podejmuję decyzję. Decyduję definitywnie…

Harlan rozejrzał się ostrożnie dokoła, jakby Rzeczywistość stała się tak krucha, że gwałtowny ruch głową mógł ją zniweczyć, i powiedział:

— Jestem całkowicie świadom Wieczności. (Zdecydowanie Twissella wpłynęło na niego do tego stopnia, że własny głos zabrzmiał mu mocno w uszach).

— A więc Wieczność istnieje nadal — powiedział Twissell rzeczowo — to znaczy, że podjęliśmy właściwą decyzję. Na razie nie mamy tu nic do roboty. Chodźmy do mego gabinetu i pozwólmy, by komitet Rady przybiegł do tej sali, jeśli to mu potrzebne do szczęścia. Dla nich akcja zakończyła się pomyślnie. A jeśli nie, to nigdy się o tym nie dowiedzą, bo nie będą żyli. Ani my.

Twissell uważnie przyglądał się swemu papierosowi.

— Teraz powinniśmy sobie odpowiedzieć na pytanie: Co zrobi Cooper, gdy znajdzie się w niewłaściwym Stuleciu?

— Nie wiem.

— Jedno jest oczywiste. To bardzo bystry chłopak, inteligentny, z wyobraźnią, nie uważasz?

— No cóż, przecież on jest Mallansohnem.

— Otóż właśnie. I zastanawiał się, czy się nic złego nie stanie. Jedno z jego ostatnich pytań brzmiało: „A co będzie, jeśli nie wyląduję we właściwym miejscu”? Pamiętasz?

Harlan nie miał pojęcia, dokąd to prowadzi.

— Jest więc psychicznie przygotowany na przesunięcie w czasie. Coś zrobi. Spróbuje się z nami skomunikować. Będzie próbował zostawić dla nas jakieś ślady. Pamiętaj, że przez część swego życia był Wiecznościowcem. To ważna sprawa. — Twissell wydmuchnął kółko dymu, zahaczył o nie palcem i patrzył, jak się zwija i rozpada. — Jest przyzwyczajony do pojęcia łączności w Czasie. Wątpię, czy pogodzi się z myślą, że został wystrychnięty na dudka. Będzie wiedział, że go szukamy.

Harlan rzekł:

— Bez kotłów i bez Wieczności, w 20 Stuleciu, jak uda mu się z nami skomunikować?

— Z tobą, Techniku, z tobą. Używaj liczby pojedynczej. Jesteś ekspertem w sprawach Prymitywu. Udzielałeś Cooperowi lekcji Prymitywu. Tylko po tobie może się spodziewać, że potrafisz odnaleźć jego ślady.

— Jakie ślady, Kalkulatorze?

Stara twarz Twissella przybrała chytry wyraz, zmarszczki pogłębiły się.

— Zamierzaliśmy pozostawić Coopera w Prymitywie. Brak mu ochronnej tarczy fizjoczasu. Całe jego życie jest wplecione w tkankę Czasu i pozostanie takie, aż ty i ja zmienimy odchylenie. Podobnie wpleciony w tkankę Czasu jest każdy przedmiot, znak czy wiadomość, jakie on może nam zostawić. Z pewnością muszą istnieć określone źródła, jakimi się posługiwałeś studiując 20 Stulecie. Dokumenty, archiwa, filmy, dzieła sztuki, podręczniki. Chodzi mi o pierwotne źródła pochodzące z tego właśnie Czasu.

— Owszem, są takie źródła.

— I on je z tobą studiował?

— Tak.

— Czy jest wśród nich jakieś szczególnie przez ciebie cenione, o którym wiedział, że je znasz doskonale, tak żebyś rozpoznał w nim wiadomość od niego?

— Już widzę, do czego pan zmierza — powiedział Harlan. Zamyślił się.

— Więc? — zapytał Twissell z odcieniem niecierpliwości.

— Prawie na pewno czasopisma. Czasopisma są zjawiskiem wczesnych lat 20 Stulecia. Jedno z nich, którego mam niemal cały komplet, zaczyna się w początkach 20 i wychodzi niemal do końca 22 wieku.

— Dobrze. A teraz, czy przypuszczasz, że istnieje jakiś sposób, by Cooper użył tego tygodnika do przekazania wiadomości? Pamiętaj, że on wie, iż będziesz czytał ten periodyk, że jesteś z nim obznajomiony, że będziesz wiedział, jak w nim szukać.

— Trudno powiedzieć — Harlan potrząsnął głową. — Tygodnik posługiwał się wymyślnym stylem. Stosował ścisłą selekcję materiału, i to w sposób dość zaskakujący. Trudno się spodziewać, że wydrukuje coś, co ktoś zaproponuje. Nawet gdyby Cooperowi udało się uzyskać pracę w redakcji, co jest bardzo mało prawdopodobne, to i tak nie miałby pewności, że dokładnie to, co napisał, przejdzie przez różne komórki. Nie widzę możliwości, Kalkulatorze.

— Na miłość Czasu, myśl! Skoncentruj się na tym tygodniku. Jesteś w 20 Stuleciu, jesteś Cooperem, z jego wykształceniem i wychowaniem. Uczyłeś tego chłopaka, Harlan. Kształtowałeś jego umysł. Więc co według ciebie powinien zrobić? Jakby postąpił, by umieścić coś w tygodniku? Coś, co zawierałoby dokładnie te sformułowania, jakie mu są potrzebne?

Oczy Harlana rozszerzyły się.

— Ogłoszenie.

— Co?

— Ogłoszenie. Płatna notatka, którą muszą wydrukować dokładnie tak, jak się żąda. Od czasu do czasu dyskutowaliśmy na ten temat.

— Ach tak. W 186 Stuleciu mieli coś w tym rodzaju — powiedział Twissell.

— To nie to, co w wieku dwudziestym. Wtedy ogłoszenia osiągnęły swój szczyt. Środowisko kulturalne…

— Wracając do ogłoszeń — przerwał szybko Twissell — jakiego rodzaju byłoby to ogłoszenie?

— Sam chciałbym wiedzieć.

Twissell wpatrzył się w rozżarzony koniuszek papierosa, jakby szukając natchnienia. — Nie może nic powiedzieć bezpośrednio. Nie może napisać: „Cooper z 78 wylądował w 20 i wzywa Wieczność”.

— Skąd pan ma tę pewność?

— To niemożliwe! Podanie dwudziestemu Stuleciu informacji, której ówcześni ludzie nie powinni uzyskać, byłoby równie szkodliwe dla kręgu Mallansohna, jak niewłaściwa akcja z naszej strony. My istniejemy nadal, a więc przez całe swoje życie w bieżącej Rzeczywistości Prymitywu Cooper nie wyrządził szkody tego rodzaju.

— Poza tym — powiedział Harlan, wycofując się z kontemplacji problemów kręgu Wieczności, o które Twissell wyraźnie mało się troszczył — tygodnik najprawdopodobniej nie zgodziłby się na opublikowanie czegokolwiek, co wydawałoby się redakcji majaczeniem wariata albo czego by nie rozumiała. Podejrzewałaby oszustwo albo jakąś nielegalną działalność, do której nie chciałaby się mieszać. Więc Cooper nie może użyć standardowego międzyczasowego w swoim ogłoszeniu.

— To musi być coś finezyjnego — rzekł Twissell. — Musi nas

zawiadomić pośrednio. Zamieścić ogłoszenie, które będzie się wydawało całkowicie normalne ludziom Prymitywu. Absolutnie normalne! A jednak musi być to coś oczywistego dla nas. Bardzo oczywistego na pierwszy rzut oka, ponieważ musimy to znaleźć wśród niezliczonych ogłoszeń. Jak wielkie powinno ono być? Czy te ogłoszenia są kosztowne?

— Sądzę, że dość kosztowne.

— A Cooper musi oszczędzać pieniądze. Poza tym, żeby nie wzbudzić nadmiernego zainteresowania, powinno być jednak małe. Ale jakie?

Harlan rozłożył ręce.

— Pół szpalty?

— Szpalty?

— To są drukowane tygodniki, wie pan. Na papierze. Druk ułożony jest w szpalty.

— Och, tak. Jakoś nie potrafię odróżnić literatury od filmu… Dobrze, mamy więc pierwszą wskazówkę. Musimy szukać półszpaltowego ogłoszenia, które praktycznie na pierwszy rzut oka powinno świadczyć, że człowiek, który je zamieścił, pochodzi z innego Stulecia (oczywiście z przyszłości), a które jednak jest na tyle normalnym ogłoszeniem, że żaden człowiek z tamtego Stulecia nie dostrzeże w nim nic podejrzanego.

— A co będzie, jeśli go nie znajdę?

— Znajdziesz. Wieczność istnieje, prawda? A jak długo istnieje, jesteśmy na właściwym tropie. Powiedz mi, nie przypominasz sobie takiego ogłoszenia z czasów twojej pracy z Cooperem? Czegoś, co cię uderzyło, choćby tylko na chwilę, jako dziwaczne, zwariowane, niesamowite, w jakiś sposób fałszywe?

— Nie.

— Nie chcę, żebyś odpowiadał tak szybko. Namyśl się pięć minut.

— Nie ma potrzeby. Kiedy przerabiałem z Cooperem czasopisma, on nie był w 20 Stuleciu.

— Proszę, chłopcze. Rusz głową. Wysłanie Coopera w 20 Stulecie wprowadziło odchylenie. To nie jest Zmiana, to nie jest odchylenie nieodwołalne. Ale bywają pewne zmiany przez małe „z”, albo mikrozmiany, jak sieje zwykle określa w komputacji. W chwili gdy Cooper został wysłany w 20 wiek, w odpowiednim numerze magazynu ukazało się ogłoszenie. Nasza Rzeczywistość zmieniła się minimalnie, w tym sensie, że mogłeś patrzeć na stronę z tym ogłoszeniem, choć nie robiłeś tego w poprzedniej Rzeczywistości. Rozumiesz?

Harlan znowu zdumiał się łatwością, z jakąTwissell torował sobie drogę przez dżunglę logiki czasowej i „paradoks” Czasu. Potrząsnął głową.

— Nie przypominam sobie nic w rym rodzaju.

— A gdzie trzymasz roczniki tego periodyku?

Mam specjalną bibliotekę zbudowaną na poziomie drugim, specjalnie z myślą o Cooperze.

— Doskonale — powiedział Twissell. — Idziemy tam. Natychmiast.

Twissell wpatrywał się z zaciekawieniem w stare oprawne tomy w bibliotece, a następnie wziął jeden z nich. Były tak stare, że papier należało konserwować specjalnymi metodami. Zatrzeszczał przy niezbyt delikatnym dotknięciu.

Harlan jęknął. W lepszych czasach kazałby Twissellowi odejść od książek, mimo że był on Starszym Kalkulatorem.

Stary człowiek oglądał pomarszczone stronice i poruszał wargami czytając archaiczne słowa.

— To jest ten angielski, o którym zawsze mówią filologowie, prawda? — zapytał stukając palcem w kartę.

— Tak, angielski — mruknął Harlan. Twissell odłożył tom.

— Ciężki i niezgrabny.

Harlan wzruszył ramionami. Dla wyjaśnienia: większość Stuleci Wieczności była to era filmu. Znaczna mniejszość — era zapisu cząstkowego. Jednak druk i papier nie należały do rzeczy zupełnie nieznanych.

Powiedział:

— Książki nie wymagają takiego rozwoju technologii jak filmy. Twissell potarł podbródek.

— Właśnie. Możemy zaczynać?

Wyciągnął inny tom z półki, otworzył na samym początku i wpatrywał się w stronę w niezwykłym skupieniu.

Harlan pomyślał: czy on sądzi, że znajdzie rozwiązanie przez szczęśliwy przypadek?

Twissell, widząc dezaprobatę we wzroku Technika, poczerwieniał i odłożył książkę.

Harlan wziął pierwszy tom z 19,25 centycenturii i zaczął systematycznie przewracać strony. Siedział sztywno, tylko jego ręka i oczy się poruszały.

Od czasu do czasu wstawał po nowy tom i wtedy robili przerwę na kawę i na posiłki.

Wreszcie powiedział ciężko:

— Nie ma sensu, żeby pan tu siedział. Twissell spytał:

— Czy ci przeszkadzam?

— Nie.

— A więc zostanę — mruknął Kalkulator.

Niekiedy podchodził do półek z książkami, wpatrując się bezradnie w ich okładki. Dopalające się papierosy od czasu do czasu parzyły mu palce, ale me zwracał na to uwagi.

Jeden fizjodzień dobiegł końca.

Spali kiepsko i krótko. Rano, między jednym a drugim tomem, Twissell wypił ostatni łyk kawy i powiedział:

— Czasami zastanawiam się, czemu nie rzuciłem Kalkulacji po tej sprawie mojego… wiesz…

Harlan skinął głową.

— Ale mam na to ochotą — kontynuował stary. — Mam na to ochotę. Całe fizjomiesiące marzyłem rozpaczliwie, żeby nie mieć do czynienia z żadnymi Zmianami. Miałem ich dosyć. Zacząłem się. zastanawiać, czy Zmiany są słuszne. Zabawne, jakie kawały mogą człowiekowi płatać uczucia natury osobistej.

Znasz historię Prymitywu, Harlan. Wiesz, jak wyglądał. Rzeczywistość płynęła ślepo wzdłuż linii maksymalnego prawdopodobieństwa. Jeśli w tym maksimum mieściło się dziesięć Stuleci niewolniczej ekonomii, upadek techniki albo nawet… nawet wojna atomowa, o ile była wtedy możliwa, no to cóż, u Czasu, to dochodziło do tych wydarzeń. Nic nie mogło ich powstrzymać.

Ale tam, gdzie istnieje Wieczność, poczynając od 28 Stulecia, rzeczy tego rodzaju się nie zdarzają. Ojcze Czasie, podnieśliśmy naszą Rzeczywistość do poziomu dobrobytu, jaki w czasach Prymitywu trudno sobie nawet wyobrazić; do poziomu, którego osiągnięcie bez ingerencji Wieczności byłoby wręcz niemożliwe.

Harlan myślał ze wstydem: O co mu chodzi? Żebym jeszcze więcej pracował? Robię, co mogę.

Twissell:

— Jeśli nie wykorzystamy okazji, Wieczność zniknie, prawdopodobnie w całym flzjoczasie. I w jednej ogromnej Zmianie cała Rzeczywistość wróci do maksymalnego prawdopodobieństwa, wraz — jestem tego pewny — z atomowymi wojnami i zagładą człowieka.

Harlan:

— Lepiej wezmę się za następny tom.

Podczas kolejnej przerwy Twissell powiedział bezradnie:

— Tyle roboty… Czy nie ma jakiegoś szybszego sposobu? Harlan:

— Niech go pan wymyśli. Mnie się wydaje, że muszę obejrzeć każdą stronę z osobna. Jak mogę robić to szybciej?

Metodycznie przewracał kartki.

— Druk zaczyna migać mi przed oczyma, a to oznacza, że pora na sen.

Minął drugi fizjodzień.

O 10.20 rano wedle standardowego fizjoczasu, trzeciego dnia poszukiwań, Harlan, ze zdumieniem wpatrując się w jedną ze stronic, powiedział:

— Jest!

Twissell nie zrozumiał okrzyku.

— Co? — zapytał.

Harlan spojrzał na niego, był oszołomiony.

— A ja nie wierzyłem! Na Czas, ja nigdy naprawdę w to nie wierzyłem, nawet jak pan opowiadał historie nie z tej ziemi o czasopismach i ogłoszeniach.

Twissell pojął dopiero teraz:

— Znalazłeś!

Podskoczył do tomu, który trzymał Harlan, i chwycił go drżącymi palcami.

Harlan cofnął książkę, i zatrzasnął ją.

— Chwileczkę… Pan tego nie znajdzie, nawet gdybym panu pokazał stronice,.

— Co robisz? — wrzasnął Twissell. — Zgubiłeś to.

— Nie zgubiłem. Wiem, gdzie to jest. Ale najpierw…

— Co najpierw?

— Pozostał jeszcze jeden punkt, Kalkulatorze. Mówił pan, że mogę mieć Noys. Więc niech mi pan ją sprowadzi. Chcę ją zobaczyć.

Twissell wytrzeszczył oczy, jego białe włosy były zmierzwione.

— Żartujesz.

— Nie — odparł Harlan ostro. — Nie żartuję. Zapewniał mnie pan, że poczyni odpowiednie kroki… A może to pan żartuje? Noys i ja mieliśmy być razem. Pan mi obiecał.

— Obiecałem. To sprawa załatwiona.

— Więc niech ją pan sprowadzi żywą i zdrową.

— Nie rozumiem cię. Przecież ja jej nie mam. Ani nikt. Ona nadal pozostaje w dalekiej przyszłości, jak meldował Finge. Nikt jej nie ruszał. Wielki Czasie, mówiłem ci, że jest bezpieczna.

Harlan patrzył na starca z rosnącym napięciem.

— Pan igra ze mną- wykrztusił. — Oczywiście, że jest w dalekiej przyszłości, ale co mi z tego? Zdejmijcie barierę z wieku stutysięcznego.

— Zdejmijcie co?

— Barierę. Kocioł nie przechodzi.

— Nic mi o tym nie mówiłeś! — zawołał Twissell gwałtownie.

— Nie mówiłem? — zapytał Harlan zdziwiony.

Czyżby rzeczywiście nie mówił? Myślał o tym bez przerwy. Nigdy nie mówił o tym ani słowa? Nie mógł sobie przypomnieć. Ale natychmiast podjął decyzję.

— Dobrze. Więc mówię teraz. Usuńcie blokadę.

— Przecież cała ta historia jest niemożliwa. Blokada kotłowa? Bariera czasowa?

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że wyście jej nie założyli?

— Ja nie. Przysięgam.

— Więc… więc… — Harlan poczuł, że blednie. — Więc zrobiła to Rada. Oni wiedzą o wszystkim, podjęli akcję niezależnie od pana… i klnę się na wszelki Czas i Rzeczywistość, że mogą się pożegnać ze swoim ogłoszeniem, Cooperem, Mallansohnem i całą Rzeczywistością. Nic z tego nie zobaczą. Nie zobaczą.

— Czekaj. Czekaj. — Twissell rozpaczliwie chwycił Harlana za łokieć. — Opanuj się. Myśl, chłopcze, myśl. Rada nie założyła żadnej bariery.

— Ale bariera jest.

— Przecież oni nie mogli wznieść takiej bariery. Nikt nie mógł. To jest teoretycznie niemożliwe.

— Pan nie wie wszystkiego. Bariera istnieje.

— Wiem więcej niż inni w Radzie i taka rzecz nie wchodzi w rachubę.

— Ale istnieje.

— Więc jeśli istnieje…

Harlan zwracał już teraz uwagę na otoczenie i spostrzegł, że w oczach Twissella pojawiło się coś w rodzaju panicznego strachu; strachu, którego nie było nawet wtedy, gdy dowiedział się o błędnym skierowaniu Coopera i groźbie końca Wieczności.

16. Ukryte Stulecia

Andrew Harlan patrzył pustym wzrokiem na pracujących ludzi. Ignorowali go grzecznie, ponieważ był Technikiem. Normalnie to on by ich ignorował, i to nie tak grzecznie, ponieważ byli ludźmi z Obsługi. Lecz teraz patrzył na nich i w swej rozpaczy stwierdził, że nawet im zazdrości.

Byli to pracownicy Wydziału Transportu Międzyczasowego w ciemnoszarych uniformach z naramiennikami, na których widniała czerwona strzała o dwóch grotach na czarnym tle. Używali skomplikowanego sprzętu pola siłowego, by zbadać silniki kotłów i stopnie hiperprzelotowości w szybach kotłów. Tak jak sobie Harlan wyobrażał, mieli niewielką wiedzą teoretyczną w zakresie inżynierii Czasu, lecz rzucało się w oczy, że mają ogromną wiedzą praktyczną w tej dziedzinie.

Jako Nowicjusz Harlan nie nauczył się wiele o Obsłudze. Albo, żeby ująć to ściślej, nie miał zbytniej chąci się uczyć. Nowicjuszy, którzy nie uzyskali dyplomów, przenoszono do Obsługi. „Zawód bez specjalizacji", jak go eufemistycznie określano, stanowił symbol porażki życiowej i przeciętny Nowicjusz odruchowo unikał tego tematu. Lecz teraz, gdy obserwował ludzi z Obsługi przy pracy, wydawali mu się spokojni, rzeczowi i — szczęśliwi.

Czemu by nie? Ich liczba dziesięciokrotnie przewyższała liczbę Specjalistów — „prawdziwych Wiecznościowców". Mieli własne środowisko, własne kondygnacje mieszkalne, własne rozrywki, ich praca ograniczała się do określonej liczby godzin na fizjodzień i nie wywierano na nich nacisku, by wolne chwile poświęcali swemu zawodowi. Mieli czas, którego brakło Specjalistom, na to, by zajmować się literaturąi dramatyzacjami filmowymi, wydobytymi z różnych Rzeczywistości.

To mimo wszystko oni byli ludźmi o pełniejszej osobowości. To życie Specjalisty było przeciążone pracą, skomplikowane i nienaturalne w porównaniu ze spokojnym i prostym życiem w Obsłudze.

Obsługa stanowiła fundament Wieczności. Dziwne, że tak oczywisty fakt nie uderzył go wcześniej. Obsługa zapewniała transport żywności i wody z Czasu, dbała o usuwanie odpadów, o funkcjonowanie siłowni. Utrzymywała w ruchu całą machiną Wieczności. Gdyby wszystkich Specjalistów nagle trafił na miejscu szlag, Wieczność działałaby dalej dzięki Obsłudze. Lecz gdyby Obsługa zniknęła, Specjaliści musieliby porzucić Wieczność w ciągu kilku dni, bo inaczej zginęliby marnie.

Czy ludziom z Obsługi brakowało ich rodzimych epok, kobiet,

dzieci? Czy zabezpieczenie przed nędzą, chorobami i Zmianami Rzeczywistości było wy starczającą rekompensatą? Czy w ogóle brano pod uwagę ich poglądy? Harlan poczuł w sobie zapał reformatora społecznego.

Starszy Kalkulator Twissell, który właśnie nadbiegł, przerwał tok myślenia Technika. Wyglądał na jeszcze bardziej wystraszonego niż godziną temu, gdy odchodził, zostawiając Obsługę przy pracy.

Harlan myślał: jak on to wytrzymuje? To przecież starzec.

Twissell rozejrzał się czujnie dokoła, a ludzie odruchowo przyjęli pełną szacunku postawę zasadniczą.

— Co z szybami?

Jeden z Obsługowców odpowiedział:

— Nic złego, Starszy Kalkulatorze. Szlaki są czyste, pola sczepione.

— Sprawdziliście wszystko?

— Tak, Starszy Kalkulatorze. Dokąd tylko sięgają stacje Wydziału.

— Możecie odejść.

Nie było wątpliwości co do intencji tej szorstkiej odprawy. Skłonili się, odwrócili i szybko odeszli.

Twissell i Harlan pozostali sami wśród szybów, Twissell zwrócił się do Harlana:

— Ty tu zostaniesz. Proszę. Harlan potrząsnął głową.

— Muszę jechać.

— Nie rozumiesz, o co chodzi. Jeśli coś mi się stanie, ty jeden wiesz, jak znaleźć Coopera. Jeśli coś stanie się tobie, ani ja, ani żaden inny Wiecznościowiec nic nie poradzi.

Harlan znowu potrząsnął głową. Twissell włożył papierosa do ust.

— Sennor jest podejrzliwy. W ciągu dwóch dni wzywał mnie kilka razy. Chce wiedzieć, dlaczego się izoluję. Kiedy się dowie, że zarządziłem generalny przegląd maszynerii… Muszę iść, Harlan. Nie mogę zwlekać.

— Nie musimy zwlekać. Jestem gotów.

— Koniecznie chcesz jechać?

— Jeśli nie ma bariery, to nie ma niebezpieczeństwa. A nawet jeśli jest, to ja już tam byłem i wróciłem. Czego się pan boi, Kalkulatorze?

— Nie lubię ryzykować, jeśli nie muszę.

— Niech pan pomyśli logicznie, Kalkulatorze. Niech pan podejmie decyzję, że mam z panem jechać. Jeśli Wieczność nadal będzie istnieć, to znaczy, że krąg można jeszcze zamknąć. Czyli że przeżyjemy. A jeśli to decyzja niewłaściwa, wtedy Wieczność przejdzie do niebytu, ale i tak przejdzie, jeśli ja nie pojadę, bez Noys bowiem nie kiwnę palcem, by odszukać Coopera. Przysięgam.

— Przy wiozę ci ją.

— Jeśli to takie proste i bezpieczne, nie zaszkodzi, jeśli i ja po nią pojadę.

Widać było wahanie Twissella. Wreszcie oświadczył szorstko:

— Dobrze więc, jedziemy! I Wieczność przetrwała.

Wystraszony wyraz twarzy Twissella nie znikał, nawet gdy znaleźli się w kotle. Patrzył na przesuwające się liczby temporometru. Nawet większa skala, która wskazywała kilocenturie i którą Obsługa przystosowała do tego specjalnego celu, stukała w minutowych odstępach. Powiedział:

— Nie powinieneś jechać. Harlan wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie?

— To mnie niepokoi. Nie ma sensownego powodu. Możesz to nazwać przesądem, ale to budzi we mnie niepokój. — Złożył dłonie i zacisnął je mocno.

— Nie rozumiem pana. Twissell zapalił się.

— Możliwe, że się z tym zgodzisz. Jesteś ekspertem w sprawach Prymitywu. Jak długo istniał człowiek w Prymitywie?

— Dziesięć tysięcy Stuleci. Może piętnaście.

— Tak. Powstał jako coś w rodzaju prymitywnej małpiatki i skończył jako homo sapiens! Prawda?

— To wszyscy wiedzą. Tak.

— W takim razie wszyscy muszą wiedzieć, że ewolucja postępuje dość szybkim krokiem. Piętnaście tysięcy Stuleci od małpy do homo sapiens.

— Więc?

— Ja pochodzę z 30 000 Stulecia…

— (Harlan nie mógł się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć. Nie wiedział dotychczas, jaka jest macierzysta epoka Twissella, ani nie znał nikogo, kto by to wiedział).

— Jestem z 30 000 Stulecia — powtórzył znowu Twissell — a ty z 95. Czas między naszymi macierzystymi epokami jest dwa razy dłuższy niż istnienie człowieka w Prymitywie, a jakie są między nami różnice? Mam o cztery zęby mniej niż ty i brak mi wyrostka robaczkowego. Różnice fizjologiczne na tym się kończą. Mamy prawie taki sam metabolizm. Największa różnica polega na tym, że twoje ciało może syntetyzować steroidalne jądra, a moje ciało nie, tak że w mojej diecie powinien być cholesterol, a w twojej nie. Mogę mieć stosunek z kobietą z wieku 575. Oto jak zmienił się w Czasie nasz gatunek.

Na Harlanie nie zrobiło to wrażenia. Nigdy nie kwestionował zasadniczej identyczności człowieka w ciągu Stuleci. Była to jedna z tych spraw, wśród których się żyje i przyjmuje sieje za oczywiste.

— Były przypadki, że gatunki żyły nie zmieniając się. przez miliony Stuleci.

— Ale nieliczne. A jest faktem, że koniec ewolucji człowieka wydaje się zbiegać z rozwojem Wieczności. Czy to tylko przypadek? Nikt nie zastanawia się nad tym problemem, poza kilkoma ludźmi w rodzaju Sennora, a ja nigdy nie byłem Sennorem. Nie uważam, żeby rozmyślania były rzeczą właściwą. To, czego nie można sprawdzić w komputapleksie, nie powinno zajmować czasu Kalkulatorowi. A jednak, w dniach młodości, myślałem niekiedy…

— O czym? — spytał Harlan i pomyślał: cóż, tego warto posłuchać.

— Niekiedy myślałem, jak wyglądała Wieczność, gdy tylko ją ustanowiono. Obejmowała zaledwie kilka Stuleci w wiekach trzydziestych i czterdziestych, a jej główną funkcję stanowiła wymiana handlowa. Przeprowadzano ponowne zalesianie obszarów bezdrzewnych, handlując próchnicą, świeżą wodą, chemikaliami. To były nieskomplikowane czasy.

Lecz wtedy odkryliśmy Zmiany Rzeczywistości. Jak wiadomo, Starszy Kalkulator Henry Wadsman w dramatyczny sposób zapobiegł wojnie usuwając hamulec bezpieczeństwa w pojeździe naziemnym pewnego kongresmana. Potem Wieczność coraz bardziej zaczęła się przestawiać z wymiany handlowej na Zmiany Rzeczywistości. Dlaczego?

Harlan powiedział:

— Powód jest oczywisty. Ulepszenie ludzkości.

— Tak, tak. Normalnie ja również tak myślę. Ale teraz mówię o tym, co mnie dręczy po nocach. A może istnieje jakiś inny powód, nie wyrażony, podświadomy… Człowiek, który potrafi przenosić się w przyszłość bez żadnych ograniczeń, może spotkać ludzi tak dalece górujących nad nim w rozwoju, jak on sam góruje nad małpą. Czemu nie?

— Możliwe. Lecz ludzie są ludźmi…

— Nawet w wiekach 70 000. Wiem. A czy nasze Zmiany Rzeczywistości mają z tym coś wspólnego? Wykluczamy niezwykłość. Nawet macierzysta epoka Sennora, z jej bezwłosymi istotami, nie przerywa ciągłości i mało się różni od innych. Może, mówiąc uczciwie i szczerze, zapobiegliśmy ewolucji człowieka, ponieważ nie chcieliśmy spotkać się z nadludźmi.

Harlana i to nie poruszyło.

— No to co? Czy to ważne?

— A jeśli człowiek istnieje mimo wszystko w dalszej przyszłości, gdzie już nie możemy sięgnąć? Nasze możliwości sięgają tylko do 70 000 wieku. Dalej są Ukryte Stulecia. A dlaczego one są ukryte? Ponieważ wysoko zorganizowany człowiek nie chce mieć z nami do czynienia i odcina się od nas w ten sposób. Dlaczego mu na to pozwalamy? Bo też nie chcemy się z nim spotkać, i skoro nie powiodła

nam się pierwsza próba sforsowania Ukrytych Stuleci, nie chcemy robić dalszych. Nie powiem, żeby to był świadomy powód, lecz świadomy czy podświadomy — pozostaje powodem.

— W porządku — oświadczył Harlan ponuro. — My ich nie możemy dosięgnąć, a oni nas. Trzeba żyć i pozwolić żyć innym.

To zdanie uderzyło Twissella.

— Żyć i pozwolić żyć innym. Lecz my nie pozwalamy. Przeprowadzamy Zmiany. Zmiany rozciągają się tylko na kilka Stuleci, bo inercja Czasu powoduje zaniknięcie ich skutków. Pamiętasz, Sennor poruszył tę sprawę wtedy podczas śniadania jako jeden z nierozwiązanych problemów Czasu. Mógłby powiedzieć, że to wszystko zależy od statystyki. Niektóre Zmiany wpływają na więcej Stuleci niż inne. Teoretycznie dowolna liczba Stuleci powinna ulegać wpływowi odpowiedniej Zmiany: sto Stuleci, tysiąc, dziesięć tysięcy. Rozwinięty człowiek w Ukrytych Stuleciach może o tym wiedzieć. Przypuśćmy, że jest zaniepokojony, iż któregoś dnia Zmiana może dosięgnąć aż 200 000 wieku.

— Nie ma sensu martwić się o takie rzeczy — powiedział Harlan tonem człowieka, który ma o wiele poważniejsze kłopoty.

— Lecz przypuśćmy — mówił Twissell szeptem — że oni są spokojni, póki sekcje Ukrytych Stuleci pozostawiamy puste. Oznacza to, że nie jesteśmy agresywni. Przypuśćmy, że to zawieszenie broni, czy jak to nazwać, zostaje zerwane, że ktoś urządza sobie stałą rezydencję poza 70 000 wiekiem. Mogą pomyśleć, że to wstęp do poważnej inwazji, i odciąć nas od swego Czasu, skoro ich wiedza jest o tyle bardziej rozwinięta od naszej. Mogą pójść dalej i zrobić to, co nam zdaje się niemożliwe, mianowicie położyć zaporę w szybach kotłów, odgradzając nas od…

Harlan zerwał się, ogarnięty zgrozą:

— Oni mająNoys?

— Nie wiem. To tylko teoretyczne rozważania. Może nie ma bariery. Może po prostu coś się zepsuło w naszych kot…

— Byłabariera! — wrzasnął Harlan. — Czy istnieje jakieś inne wytłumaczenie? Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?

— Nie wierzą w to — jęknął Twissell. — Nadal nie wierzę. Nie powinienem mówić ani słowa o tych bzdurnych rojeniach. Ja się obawiam… problem Coopera… to wszystko… Ale poczekaj jeszcze kilka minut.

Wskazał na temporometr. Instrument mówił, że znajdują się między 95 000 a 96 000 Stuleciem.

Dłoń Twissella na sterownicy zwolniła bieg kotła. Minęli 99 000 wiek. Kilocenturie przestały się pojawiać. Można było odczytywać poszczególne Stulecia.

99 726… 99 727… 99 728…

— Co zrobimy? — mruknął Harlan, Twissell potrząsnął głową gestem, który świadczył wymownie o cierpliwości i nadziei, ale może również o bezradności.

99 851…99 852… 99853…

Harlan naprężył mięśnie w oczekiwaniu wstrząsu przy barierze i myślał rozpaczliwie: czy tylko przez ocalenie Wieczności znaleźlibyśmy czas na zwalczanie istot z Ukrytych Stuleci? Jak w inny sposób odzyskać Noys? Popędzić z powrotem do 575, i pracować jak szaleniec, by…

99938… 99939… 99940…

Harlan wstrzymał oddech. Twissell dalej hamował kocioł, który doskonale reagował na stery.

99984… 99985… 99986…

— Teraz, teraz, teraz… — szeptał Harlan, zupełnie sobie tego nie uświadamiając.

99998… 99999… 100000… 100001… 100002… Liczby wzrastały, a dwaj mężczyźni patrzyli na nie w paraliżującej ciszy.

Wreszcie Twissell powiedział:

— Nie ma bariery.

— Była! Była! — odparł Harlan i dodał z rozpaczą: — Może złapali Noys i niepotrzebna im już bariera.

111 394!

Harlan wyskoczył z kotła i zaczął krzyczeć: — Noys! Noys!

Echo odbijało się od ścian pustej sekcji. Twissell, wysiadłszy spokojnie, zawołał za młodym człowiekiem:

— Czekaj, Harlan…

Ale na próżno. Harlan pędził korytarzami do tej części sekcji, gdzie urządzili sobie z Noys coś w rodzaju mieszkania.

Myślał o możliwości spotkania jednego z „wysoko zorganizowanych ludzi" Twissella i przeszły go ciarki, ale tylko na chwilę. Gwałtowne pragnienie odnalezienia Noys stłumiło wszystkie inne uczucia.

— Noys!

I nagle — nim zdołał zdać sobie z tego sprawę — znalazła się w jego ramionach; obejmowała go rękami, jej policzek dotykał jego barku, a ciemne włosy muskały miękko jego twarz.

— Andrew? — spytała stłumionym głosem. — Gdzie byłeś? Minęło tyle dni, że zaczynałam się bać.

Harlan odsunął ją na długość ramienia, wpatrując się w nią pożądliwie i radośnie.

— Nic ci się nie stało?

— Mnie nic. Myślałam, że może tobie… Myślałam… — urwała, a w jej oczach pojawiło się przerażenie. — Andrew!

Harlan odwrócił się gwałtownie. Ale był to tylko zasapany

Twissell.

Noys odzyskała równowagę ducha, widząc wyraz twarzy Harlana. Zapytała spokojnie:

— Znasz go, Andrew? Wszystko w porządku?

— W porządku. To mój zwierzchnik, Starszy Kalkulator Laban Twissell. Wie o tobie.

— Starszy Kalkulator? — Noys odskoczyła ze strachem. Twissell podszedł powoli.

— Pomogę ci, moje dziecko. Chcę wam pomóc obojgu. Obiecałem to Technikowi, tylko nie bardzo chciał mi uwierzyć.

— Przepraszam, Kalkulatorze — powiedział Harlan sztywno i wcale nie skruszonym tonem.

— Wybaczam ci — odparł Twissell. Wyciągnął rękę i ujął niepewną dłoń Noys. — Powiedz mi, nie miałaś tu kłopotów?

— Martwiłam się.

— Czy nie było tu nikogo od czasu, jak Harlan odjechał?

— Nie, proszę pana.

— Nikogo w ogóle?

Potrząsnęła głową. Jej ciemne oczy spotkały się z oczyma Harlana.

— Dlaczego pan pyta?

— Nic, to tylko grupie przywidzenia. Chodź, zabierzemy cię do 575 Stulecia.

Wróciwszy do kotła Andrew Harlan zamyślił się i coraz bardziej pogrążał w milczeniu. Nie podniósł głowy, gdy mijali 100 000 Stulecie, a Twissell odetchnął z wyraźną ulgą, jakby się obawiał, że wpadną w pułapkę po tej stronie przyszłości. Prawie się nie poruszył, gdy dłoń Noys wśliznęła się w jego dłoń, i niemal obojętnie odpowiedział na jej uścisk.

Noys spała w sąsiednim pomieszczeniu, ale teraz niepokój Twissella osiągnął szczyt.

— Ogłoszenie, chłopcze! Masz teraz swoją dziewczynę. Ja dotrzymałem umowy.

W milczeniu, nadal roztargniony, Harlan przewracał stronice tomu na biurku. Znalazł odpowiednie miejsce.

— To bardzo proste — powiedział — ale po angielsku. Przeczytam to panu, a potem przetłumaczę.

Pokazał małe ogłoszenie w górnym lewym rogu kolumny, oznaczonej numerem 30. Na tle szkicowego rysunku zwykłymi wersalikami był wydrukowany tekst:

A TY TEZ POWINIENEŚ WIEDZIEĆ O CZYM MÓWIĄ MILIONERZY NA GIEŁDZIE

Pod spodem, mniejszymi literami, widniał napis: „Biuletyn Inwestycji, Denver, Colorado, Skrytka pocztowa 14".

Twissell słuchał w napięciu tłumaczenia Harlana i najwidoczniej był rozczarowany.

— Co to jest giełda? Co oni przez to rozumieją?

— Rynek akcyjny — odparł Harlan niecierpliwie. — System, poprzez który prywatny kapitał inwestowano w przedsiębiorstwa. Ale to nie ma znaczenia. Widzi pan rysunek stanowiący tło tego ogłoszenia?

— Tak. Grzyb wybuchu atomowego. Żeby zwrócić uwagę. No to co?

— Harlan wybuchnął:

— Wielki Czasie, Kalkulatorze, co jest z panem? Niech pan spojrzy na datę tygodnika.

Wskazał u góry strony, na lewo od numeru: 28 marca 1932, i powiedział:

— To nie wymaga nawet tłumaczenia. Cyfry przypominają standardowy międzyczasowy i widzi pan, że jest 19,32 Stulecia. Nie wie pan, że żaden człowiek, który wtedy żył, nie widział jeszcze chmury wybuchu atomowego? Nikt nie mógł narysować jej tak dokładnie, z wyjątkiem…

— Nie, czekaj. To tylko kreski — zaprotestował Twissell, usiłując zachować równowagę. — To może zupełnie przypadkowo przypominać grzyb eksplozji.

— Czyżby? Zechce pan spojrzeć jeszcze raz na tekst — Harlan wskazywał palcem poszczególne wiersze:

A TY
TEŻ POWINIENEŚ WIEDZIEĆ
O CZYM MÓWIĄ
MILIONERZY…

— Początkowe litery układają się w słowo ATOM. Czy to również przypadkowa zbieżność? Wykluczone!

Nie widzi pan, Kalkulatorze, iż ogłoszenie to spełnia pana warunki? Natychmiast przyciągnęło mój wzrok. Cooper wiedział, że tak będzie, bo to czysty anachronizm. Jednocześnie nie ma znaczenia, poza czysto formalnym, dla czytelników z 19,32 Stulecia, nie ma w ogóle żadnego znaczenia.

To musiał zamieścić Cooper. To wiadomość od niego. Mamy datę z dokładnością do jednego tygodnia Stulecia. Mamy adres pocztowy. Trzeba tylko jechać do niego, a ja jestem jedynym człowiekiem, który dość wie o Prymitywie, by tego dokonać.

— I pojedziesz? — Twarz Twissella promieniała pod wpływem ulgi i szczęścia.

— Pojadę… pod jednym warunkiem. Twissell zmarszczył czoło.

— Znowu warunki?

— Warunek jest ten sam. Nie dodaję nowych. Noys musi być

bezpieczna. Musi jechać ze mną. Nie zostawię jej tutaj.

— Nadal mi nie wierzysz? Czy pod jakimkolwiek względem cię zawiodłem? Co cię jeszcze niepokoi?

— Jedna sprawa, Kalkulatorze — powiedział Harlan poważnie. — Ta sama sprawa. W 100 000 była jednak bariera. Dlaczego? To mnie właśnie niepokoi.

17. Krąg się zamyka

I niepokoiło go coraz bardziej. Ta sprawa nabierała dlań coraz większego znaczenia w dniach gorączkowych przygotowań, kładła się. między nim a Twissellem, między nim a Noys. Kiedy nadszedł dzień odjazdu, ledwie uświadamiał sobie ten fakt.

Z trudem potrafił wzbudzić w sobie cień zainteresowania, gdy Twissell wrócił z posiedzenia komitetu Rady.

— Jak poszło?

Twissell odpowiedział ze zmęczeniem:

— To nie była najprzyjemniejsza rozmowa.

Harlan o mało na tym nie poprzestał, lecz po chwili mruknął:

— Myślę, że nic pan nie powiedział o…

— Nie, nie — odburknął Twissell rozdrażniony. — Nic nie powiedziałem o dziewczynie ani o twojej roli w złym skierowaniu Coopera. Była to nieszczęśliwa omyłka, usterka mechanizmu. Przyjąłem pełną odpowiedzialność.

W sumieniu Harlana, jakkolwiek obciążonym, znalazło się miejsce na wyrzuty.

— To może źle wpłynąć na pana pozycję — powiedział.

— Co mi zrobią? Muszą czekać na korekturę, zanim będą mogli wziąć się za mnie. Jeśli nam się nie uda, nikt nie zdoła tu nic pomóc ani zaszkodzić. A jeśli nam się uda, to samo powodzenie prawdopodobnie mnie osłoni… — Stary człowiek wzruszył ramionami. — Mam zamiar tak czy inaczej wycofać się potem z czynnego udziału w Wieczności. — Bawił się najpierw papierosem, a potem wyrzucił go, nie wypaliwszy nawet do połowy.

— Wolałbym im nie mówić tego wszystkiego, ale nie było innego sposobu, by otrzymać specjalny kocioł do kolejnej podróży poza najbliższą stację.

Harlan odwrócił się. Myślami był daleko. Poprzednią wypowiedź Twissella usłyszał niewyraźnie, dopiero kiedy Kalkulator powtórzył, wzdrygnął się i zapytał:

— Proszę?

— Pytałem, czy twoja dziewczyna jest gotowa, chłopcze? Czy rozumie, co ma robić?

— Gotowa. Powiedziałem jej wszystko.

— Jak to przyjęła?

— Co?… Aach, tak… hm, tak jak się spodziewałem. Nie boi się.

— Pozotały niecałe trzy fizjogodziny.

— Wiem.

Na tym się na razie skończyło i Harlan został sam ze swymi myślami i świadomością tego, co musi zrobić.

Gdy załadowano kocioł i wyregulowano stery, Harlan i Noys przebrali się w kostiumy najbardziej zbliżone do tych, jakich używano na obszarach miejskich w pierwszej połowie 20 Stulecia.

Noys zmieniła nieco propozycje Harlana w sprawach garderoby, kierując się wyczuciem, jakie, jej zdaniem, kobiety wykazują w sprawach ubrania i estetyki. Wybierała z namysłem wzory z fotografii i ogłoszeń w tygodnikach i błyskawicznie zbadała obiekty importowane z dziesiątka różnych Stuleci.

Od czasu do czasu pytała Harlana:

— Co myślisz o tym? Wzruszył ramionami.

— To sprawa instynktu. Pozostawiam to tobie.

— Zły znak, Andrew — oświadczyła z pozorną beztroską. — Jesteś zbyt zgodny. A właściwie o co chodzi? Przestałeś być sobą. I to już od wielu dni.

— Wszystko jest w porządku — odparł sucho Harlan.

Gdy Twissell ujrzał ich po raz pierwszy w roli tubylców z 20 Stulecia, pozwolił sobie na żartobliwy ton.

— Ojcze Czasie! — zawołał. — Jakież to brzydkie stroje były w Prymitywie, ale nawet one nie potrafią ukryć twojej piękności, moja… moja droga.

Noys uśmiechnęła się do niego ciepło, a Harlan stojąc w milczeniu i bezruchu musiał przyznać, że staromodna galanteria Twissella jest przynajmniej szczera. Makijaż Noys ograniczał się do muśnięć różu na wargach i policzkach i brzydkiej linii brwi. Jej wspaniałe włosy (i to było najgorsze ze wszystkiego) bezlitośnie obcięto. A jednak pozostała piękna.

Harlan już się przyzwyczaił do niewygodnego pasa, do garnituru za ciasnego pod pachami i w kroku i do szarzyzny grubej tkaniny. Noszenie dziwacznych ubrań, by dostosować się do odpowiedniego Stulecia, nie było dla niego niczym nowym.

— Bardzo chciałem zainstalować w kotle ster, jak o tym mówiliśmy — powiedział Twissell. — Niestety, nie ma sposobu. Inżynierowie po prostu muszą mieć wystarczające źródło energii, by móc przeciwdziałać odkształceniu czasowemu, a to nie jest osiągalne poza Wiecznością.

Wszystko, co da się osiągnąć, to napięcie czasowe w chwili wejścia do Prymitywu. Wmontowaliśmy jednak dźwignię powrotu.

Odprowadził ich do kotła wymijając stosy zapasów i wskazał na metalowy pręt wystający z gładkich wewnętrznych ścian kotła.

— To działa na zasadzie prostego przełącznika — oświadczył. — Zamiast wracać automatycznie do Wieczności, kocioł pozostałby w Prymitywie w nieskończoność. Jeśli jednak przesuniecie dźwignię na wsteczny bieg, to wrócicie. Potem będzie jeszcze sprawa następnej i, mam nadzieję, ostatniej podróży…

— Druga podróż? — zapytała Noys. Harlan:

— Nie wyjaśniłem ci tego. Widzisz, zadaniem pierwszej podróży jest tylko precyzyjnie ustalić moment przybycia Coopera. Nie wiemy, jak długi okres minął między jego zjawieniem się tam a umieszczeniem tego ogłoszenia. Odnajdziemy go przez pocztę i dowiemy się, możliwie dokładnie, co do minuty, daty jego przybycia. Wtedy możemy wrócić do tego momentu plus piętnaście minut tolerancji dla kotła, by zdążył pozostawić Coopera…

Wtrącił się Twissell:

— Kocioł nie może być w tym samym miejscu w różnych fizjoczasach, wiesz. — Próbował się uśmiechnąć.

— Rozumiem — powiedziała, ale niezbyt pewnie. Twissel:

— Ale uchwycenie Coopera w czasie jego przybycia odwróci wszystkie mikrozmiany. Ogłoszenie z bombą atomową zniknie, a Cooper będzie tylko wiedział, że kocioł odleciał, tak jak zapowiadaliśmy, lecz że nieoczekiwanie pojawił się znowu. Nie będzie wiedział, że znalazł się w niewłaściwym Stuleciu, i nie powiemy mu o tym. Powiemy tylko, że zapomnieliśmy mu udzielić pewnych ważnych instrukcji (coś tam wymyślimy). Pozostaje nam jedynie mieć nadzieję, że Cooper potraktuje sprawę jako błahą i nie wspomni w swym pamiętniku, że wysyłano go dwa razy.

Noys uniosła wyskubane brwi:

— To bardzo skomplikowane.

— Tak. Niestety. — Twissell zatarł ręce i popatrzył tak, jakby dręczyła go jakaś myśl. Potem wyprostował się, wyciągnął nowego papierosa i nawet zdobył się na żartobliwy ton: — A teraz, chłopcze, powodzenia. — Dotknął dłoni Harlana, skinął Noys i wyszedł z kotła.

— Już odjeżdżamy? — zapytała Noys Harlana, gdy znaleźli się sami. — Za kilka minut — odparł.

Zerknął z ukosa na dziewczynę. Patrzyła na niego, uśmiechnięta, wcale się nie bojąc. Natychmiast jego nastrój dostosował się do jej nastroju. Ale było to tylko przelotne wrażenie, nie przejaw rozsądku, instynkt, a nie myśl. Odwrócił oczy.

Podróż nie odznaczała się niczym szczególnym; nie różniła się wcale od zwykłej jazdy kotłem. Po drodze przeżyli coś w rodzaju wewnętrznego wstrząsu — może przy mijaniu najniższej stacji, a może było to zjawisko wyłącznie psychosomatyczne. Wstrząs był ledwie zauważalny.

A potem znaleźli się w Prymitywie i wyszli w skalisty świat, rozjaśniony blaskiem popołudniowego słońca. Wiał słaby, ale dość chłodny wietrzyk i panowała cisza.

Dokoła wznosiły się skały, spiętrzone i potężne, zabarwione tęczą z warstw żelaza, miedzi i chromu. Rozległość bezludnego i pozbawionego życia krajobrazu przytłaczała Harlana. Wieczność,

która nie należała do świata materii, nie miała słońca i tylko importowane powietrze. Jego wspomnienia o macierzystej epoce były mętne. Jego obserwacje w różnych Stuleciach ograniczały się do ludzi i miast. Nigdy nie przeżywał czegoś podobnego.

Noys dotknęła jego łokcia.

— Andrew! Zimno mi. Wzdrygnął się i obrócił ku niej. Spytała:

— Czy nie należałoby włączyć radianta? Odparł:

— Owszem. Jest w jaskini Coopera.

— Wiesz, gdzie mieści się ta jaskinia?

— Na prawo — powiedział krótko.

Nie miał wątpliwości. Pamiętnik dokładnie określał położenie groty i najpierw Cooper, a teraz oni zostali naprowadzeni na nią z wielką dokładnością.

Od czasów swego Nowicjatu nigdy nie wątpił w dokładność nawigacji w podróżach w Czasie. Pamiętał, jak poważnie stał przed Edukatorem Yarrowem, pytając:

— Lecz Ziemia obraca się wokół Słońca, Słońce obraca się wokół centrum Galaktyki, a Galaktyka również się przesuwa? Jeśli więc ktoś wyruszy z jakiegoś punktu na Ziemi i znajdzie się o sto lat w przyszłości, trafi na pustą przestrzeń, albo trzeba będzie stu lat, żeby Ziemia osiągnęła ten punkt.

A Edukator Yarrow uciął w odpowiedzi:

— Nie odróżniasz Czasu od przestrzeni. Poruszając się przez Czas, bierzesz udział w ruchach Ziemi. Czy może uważasz, że ptak lecący w powietrzu wyskoczy w Kosmos, ponieważ Ziemia pędzi wokół Słońca z prędkością dwudziestu dziewięciu kilometrów na sekundę i zniknie spod ptaka?

Argumentowanie za pomocą porównania jest ryzykowne, lecz Harlan otrzymał bardziej konkretny dowód w późniejszym okresie; teraz, po nie mającym niemal precedensu wypadzie w Prymityw, mógł się odwrócić, pewny, że znajdzie wejście do jaskini dokładnie w tym miejscu, gdzie być powinno.

Usunął maskowanie, składające się z usypiska kamieni i odłamków skał, i wszedł do środka.

Zbadał ciemność, używając białego promienia swej latarki niemal jak skalpela. Centymetr po centymetrze obmacywał ściany, sklepienie i dno jaskini.

Noys, idąc tuż za nim, szepnęła:

— Czego szukasz? Powiedział:

— Czegoś. Wszystkiego.

Znalazł to coś w samym kącie jaskini, w postaci płaskiego kamienia przykrywającego zielonkawe papierki.

Odrzucił kamień i przesunął kciukiem po papierkach.

— Co to jest? — zapytała Noys.

— Banknoty. Środki wymiany. Pieniądze.

— Wiedziałeś, że tu będą?

— Nie wiedziałem. Spodziewałem się tylko.

Należało się tylko posłużyć odwróconą logiką Twissella, by wykalkulować przyczynę ze skutku. Było naturalne, że jeśli po ogłoszeniu Harlan trafił do właściwej epoki, to jaskinia musi stanowić dodatkowy punkt łączności.

Wszystko układało się lepiej niż ośmielał się oczekiwać. Nieraz podczas przygotowań do podróży w Prymityw myślał, że idąc do miasta bez pieniędzy, z samymi tylko kosztownościami, wywoła podejrzenia i spowoduje zwłokę. Cooperowi się powiodło, lecz Cooper miał czas. (Harlan zebrał banknoty). Musiał mieć czas, by zgromadzić aż tyle. Doskonale sobie radził ten dzieciak, cudownie.

A krąg się zamykał!

Zapasy przenieśli do jaskini, kocioł pokryli dyfuzyjno-odbijają-cą błoną, która maskowała go przed oczami ciekawskich, a Harlan miał eksploder, aby się z nimi rozprawić, gdyby było potrzeba. Radiant umieścił w kącie jaskini, a latarką w szczelinie, tak że mieli ciepło i jasno.

Na dworze panowała chłodna noc marcowa.

Noys, zamyślona, wpatrywała się w gładkie paraboidalne wnętrze radiantu, który obracał się wolno.

— Co myślisz dalej robić, Andrew? — spytała.

— Jutro rano — powiedział — wyruszę do najbliższego miasta. Wiem, gdzie ono jest… albo gdzie powinno być. (W myśli zmienił znowu to „być” na, jest”). Nie będzie kłopotów. (Znowu logika Twissella).

— Pójdę z tobą, dobrze? Potrząsnął głową.

— Po pierwsze, nie znasz języka, po drugie, droga będzie dla ciebie zbyt ciężka.

Noys wyglądała dziwnie archaicznie ze swymi krótkimi włosami. Nagły gniew w jej oczach zmusił Harlana do niepewnego odwrócenia głowy.

Powiedziała:

— Nie jestem idiotką, Andrew. Prawie się do mnie nie odzywasz. Co to znaczy? Czyżby znowu wróciła ci moralność z twojej epoki? Uważasz, że zdradziłeś Wieczność i że to właśnie ja jestem temu winna? Uważasz, że cię zdemoralizowałam? O co ci chodzi?

— Nie możesz wiedzieć, co czuję — rzekł Harlan.

— Więc opisz to — odparła. — Możesz to zrobić. Nigdy nie miałeś lepszej okazji. Jesteś zakochany? We mnie? Nie możesz i nie będziesz robił ze mnie kozła ofiarnego. Po co mnie tu przywiozłeś? Powiedz. Dlaczego nie zostałam w Wieczności, jeśli tu nie jestem ci na nic potrzebna i skoro, jak mi się zdaje, nie możesz nawet na mnie

patrzeć?

Harlan mruknął:

— Grozi nam niebezpieczeństwo.

— Co ty mówisz?…

— To więcej niż niebezpieczeństwo. To zmora. Zmora Kalkulatora Twissella — powiedział. — Podczas naszego ostatniego szaleńczego wyskoku do Ukrytych Stuleci opowiedział mi, co myśli o tych Stuleciach. Dopuszczał możliwość istnienia rozwiniętych odmian człowieka, nowych ras, może nawet nadludzi, ukrywających się w dalekiej przyszłości, odcinających się od nas. Przypuszczał, że knują coś, by skończyć z naszym ulepszaniem Rzeczywistości. Uważał, że to oni umieścili zaporę w 100 000 Stuleciu. Kiedy odnaleźliśmy ciebie, Kalkulator Twissell przestał się bać. Zdecydował, że nie było zapory. Wrócił do bardziej aktualnego problemu ratowania Wieczności.

Ale widzisz, zaraził mnie swoim strachem. Natknąłem się na tą zaporę i wiem, że istniała. Nie zbudował jej żaden Wiecznościowiec; Twissell mówi, że byłoby to niemożliwe. A zapora była. Ktoś ją tam umieścił.

Oczywiście — podjął z namysłem — Twissell mylił się pod niektórymi względami. Uważał, że człowiek musi się rozwijać, a wcale nie musi tak być. Paleontologia nie należy do nauk interesujących Wiecznościowców, lecz interesowała późnych Prymitywnych, więc troszkę jej liznąłem. Wiem przynajmniej tyle: gatunki rozwijają się, by sprostać naciskowi nowego środowiska. W stałym środowisku gatunek może pozostać nie zmieniony przez miliony Stuleci. Człowiek prymitywny rozwijał się gwałtownie, ponieważ jego środowisko było surowe i zmienne. Wreszcie jednak ludzkość nauczyła się tworzyć własne środowiska, wygodne i trwałe, tak że ewolucja zanikła.

— Nie wiem, o czym mówisz — przerwała Noys tonem, który wskazywał, że nie przestała się boczyć. — Ponadto nie mówisz nic o nas, a tylko to mnie interesuje.

Harlanowi udało się zachować zewnętrzny spokój. Powiedział:

— A więc po co ta bariera w 100 000? Jakiemu celowi służyła? Tobie nic się nie stało. Jaki mogła mieć inny sens? Pytałem samego siebie: Co się w związku z nią zdarzyło; do czego by nie doszło, gdyby nie istniała?

Urwał, patrząc na swe niezdarne i ciężkie buty z naturalnej skóry. Przyszło mu do głowy, że dla wygody powinien je zdjąć na noc, ale nie teraz, nie teraz… Mówił:

— Była tylko jedna odpowiedź na to pytanie. Istnienie zapory wprawiło mnie w taki szał, że popędziłem z powrotem, chwyciłem neuronowy bicz i zagroziłem nim Finge'owi. Rozwścieczyło mnie to do tego stopnia, że chciałem zaryzykować utratę Wieczności, by ciebie odzyskać, i rozwalić Wieczność, gdy doszedłem do wniosku, że cię nie

odzyskam. Rozumiesz?

Noys wpatrywała się w niego z grozą i niedowierzaniem.

— Uważasz, że ci ludzie z przyszłości chcieli, żebyś to wszystko zrobił? Że to planowali?

— Tak. Nie patrz na mnie w ten sposób. Nie rozumiesz jak to zmienia całą sytuację? Póki działałem na własny rachunek i z osobistych powodów, mogłem przyjąć wszelkie konsekwencje materialne i duchowe. Ale robiono ze mnie durnia, wciągnięto mnie w to podstępem, kierowano mną, jakbym bł komputapleksem, do którego należy tylko włożyć odpowiednio perforowane arkusze…

Harlan uświadomił sobie, że krzyczy, i urwał nagle. Odczekał kilka chwil, a potem powiedział:

— Muszę teraz naprawić to, co zrobiłem kierowany jak marionetka. A kiedy to zrobię, będę mógł znowu odpocząć.

I uda mu się to… prawdopodobnie. Miał poczucie nieosobistego triumfu, niezależnego od osobistej tragedii, która była przedtem i będzie potem. Krąg się zamykał!

Noys wyciągnęła rękę, jakby chciała ująć dłoń Harlana.

Odsunął się, unikał jej współczucia. Powiedział:

— To wszystko było wyreżyserowane. Moje spotkanie z tobą, wszystko. Analizowano napięcia moich uczuć. Niewątpliwie. Akcje i reakcje. Naciśnij ten guzik, a facet zrobi to. Naciśnij inny guzik, a facet zrobi tamto.

Harlan mówił z trudnością, ze wstydem. Potrząsał głową, jakby chciał pozbyć się uczucia grozy, jak pies, który wytrząsa wodę z uszu.

— Jednego początkowo nie rozumiałem. Jak odgadłem, że Coopera mają posłać do Prymitywu? Było to zupełnie nieprawdopodobne. Twissell nawet tego nie rozumiał. Nieraz wyrażał zdumienie, że potrafiłem rozszyfrować całą sprawę tak mało znając matematykę.

A jednak odgadłem. Miałem poczucie, że istnieje coś, co muszę pamiętać: jakaś uwaga, jakaś myśl, coś, co dostrzegłem w chwili podniecenia i upojenia. Gdy pomyślałem dłużej, zaświtało mi w głowie, jakie jest faktyczne znaczenie Coopera, i wraz z tym zrozumiałem, że mam możność zniszczenia Wieczności. Następnie przejrzałem historię matematyki, lecz to naprawdę nie było potrzebne. Ja już wiedziałem. Miałem pewność. Ale jak się dowiedziałem? Jak?

Noys patrzyła na niego. Teraz nie próbowała go dotykać.

— Myślisz, że ludzie z Ukrytych Stuleci również to wyreżyserowali? Że włożyli ci do głowy, a potem odpowiednio tobą manewrowali?

— Tak. Tak. I nie tylko manewrowali. To jeszcze nie koniec. Krąg może się zamyka, lecz się nie zamknął.

— Jak oni mogą teraz cokolwiek zrobić? Przecież nie ma ich tu z

nami.

— Czyżby? — Wypowiedział to słowo głuchym głosem.

— Niewidoczni nadludzie? — szepnęła.

— Nie nadludzie. Nie niewidoczni. Mówiłem ci, że człowiek nie ulega ewolucji, jeśli panuje nad swym otoczeniem. Człowiek z Ukrytych Stuleci to homo sapiens. Zwykły człowiek.

— W takim razie z pewnością ich tu nie ma. Harlan powiedział ze smutkiem:

— Ty tu jesteś, Noys.

— Tak. I ty. I nikogo poza nami.

— Ty i ja — zgodził się Harlan. — Nikogo więcej. Kobieta z Ukrytych Stuleci i ja… Przestań grać, Noys. Proszę.

Patrzyła na niego ze zgrozą.

— Co ty mówisz, Andrew?

— To, co muszę powiedzieć. A co ty mówiłaś owego wieczora, kiedy dawałaś mi ten miętowy napój? Mówiłaś do mnie. Twój subtelny głos… subtelne słowa… Nie słyszałem nic, w każdym razie świadomie, lecz pamiętam, jak szeptałaś. O czym? O podróży Coopera w przeszłość. O Samsonie. Pamiętasz?

Noys:

— Nawet nie wiem, kto to był Samson.

— Lecz możesz się domyślić, Noys. Powiedz mi, kiedy weszłaś w 482 wiek? Kogo zastąpiłaś? Czy też po prostu się wcisnęłaś? Dałem do zbadania twoją Biografię pewnemu ekspertowi w 2456. W nowej Rzeczywistości nie miałaś istnieć. Nie miałaś odpowiednika. Niezwykłe, jak na taką małą Zmianę, lecz nie niemożliwe. A potem Biografista powiedział mi coś, co usłyszałem tylko uszami, ale nie dotarło to do mojej świadomości. Dziwne, że to pamiętam. Możliwe, że wtedy coś zaświtało mi w głowie, lecz byłem zbyt… pełen ciebie, by słuchać. On powiedział: „Przy tej kombinacji czynników, jakie mi pan dał, nie rozumiem, jak ona właściwie pasowała do starej Rzeczywistości”.

Miał rację. Nie pasowałaś. Byłaś obcym przybyszem z dalekiej przyszłości, kręciłaś Finge’em i mną, jak ci było wygodnie. Noys przerwała gwałtownie:

— Andrew…

— Gdybym tylko potrafił patrzeć, wszystko bym przejrzał. Książkofilm w twoim domu, zatytułowany Społeczne i ekonomiczne dzieje, zaskoczył mnie, gdy go po raz pierwszy ujrzałem. A tobie był potrzebny, prawda, żebyś się mogła nauczyć, jak najlepiej udawać kobietę z tego Stulecia. Inny fakt: pamiętasz naszą pierwszą wyprawę do Ukrytych Stuleci? To ty zatrzymałaś kocioł w 111 394 wieku. Zatrzymałaś go precyzyjnie, nie szukając odpowiedniej dźwigni. Gdzie nauczyłaś się sterować kotłem? Gdybyś była tym, za kogo się

podawałaś, byłaby to twoja pierwsza podróż kotłem, i czemu właśnie 111 394 wiek? Czy to twoja ojczysta epoka?

Zapytała miękko:

— Dlaczego sprowadziłeś mnie do Prymitywu, Andrew? Wrzasnął nagle:

— By ochronić Wieczność. Nie potrafię, nawet przewidzieć, jakie szkody byś tam jeszcze mogła wyrządzić. Tutaj jesteś bezsilna, ponieważ ja cię znam. Przyznaj się., że wszystko, co mówiłem, jest prawdą! Przyznaj się!

Zerwał się w paroksyzmie wściekłości, podnosząc rękę. Noys nie cofnęła się. Była tak spokojna, jakby ją zlepiono z ciepłego, pięknego wosku. Ręka Harlana zawisła w powietrzu.

Powtórzył:

— Przyznaj się! Powiedziała:

— Czyżbyś był nadal niepewny po wszystkich swoich dedukcjach? Robi ci to jakąś różnicę, czy się przyznam, czy nie?

Harlan czuł, że jego wściekłość wzrasta.

— Przyznaj się tak czy inaczej, żebym już nie czuł bólu. Żebym w ogóle nie czuł nic.

— Bólu?

— Ponieważ mam eksploder, Noys, i zamierzam cię zabić.

18. Początek Nieskończoności

Jednak w głębi serca Harlan nie był pewny, ogarnęło go niezdecydowanie. W ręku trzymał eksploder, wycelowany w Noys.

Lecz czemu nic nie mówiła? Dlaczego zachowywała tę uporczywą bierność?

Jak może ją zabić? Jak może jej nie zabijać? Powiedział ochryple:

— Więc?

Poruszyła się, lecz tylko po to, by opuścić ręce na kolana, by wyglądać jeszcze bardziej swobodnie, bardziej wyniośle. Gdy zaczęła mówić, jej głos niemal nie przypominał głosu istoty ludzkiej. I choć patrzyła na muszkę eksplodera, głos brzmiał pewnie, miał w sobie jakąś mistyczną siłę.

— Nie dlatego chcesz mnie zabić, żeby ochronić Wieczność. Gdyby tylko to było twoim zamiarem, mógłbyś mnie ogłuszyć, mocno związać, zamknąć w tej jaskini, a potem rano wyruszyć w drogę.

Mógłbyś poprosić Kalkulatora Twissella, by trzymał mnie w zamknięciu podczas twego pobytu w Prymitywie. Mógłbyś zabrać mnie ze sobą do miasta i po drodze zgubić na pustkowiu. Ale nie — tylko moja śmierć może cię zadowolić, a to dlatego, że cię wywiodłam w pole, że różnymi sztuczkami skłoniłam cię do miłości, wyłącznie po to, by cię później skłonić do zbrodni. Byłoby to morderstwo z powodu zranionej dumy, nie zaś wymiar sprawiedliwości, jak sobie wmawiasz.

Harlan szalał z gniewu.

— Czy jesteś z Ukrytych Stuleci? Mów! Noys powiedziała:

— Jestem. I cóż — będziesz teraz strzelał?

Palec Harlana drżał na guziczku kontaktowym eksplodera. Jednak wahał się. Coś irracjonalnego w jego duszy nadal broniło sprawy Noys, ożywiając resztki jego miłości i tęsknoty. Czy była zrozpaczona, że ją odrzucił? Czy świadomie kusiła śmierć przez kłamstwo? Czy smakowała w głupim bohaterstwie, zrodzonym z rozpaczy, wynikającej z jego zwątpienia?

Nie!

To dobre dla książkofllmów wyrosłych z ckliwych tradycji literackich 289 Stulecia, lecz nie dla takiej dziewczyny, jak Noys. Ona nie należała do tych, co przyjmuj ą śmierć z ręki fałszywego kochanka pokornie.

Czy też kpiła sobie z niego wiedząc, że nie będzie w stanie jej zabić? Czy całkowicie polegała na tym, że jest dla niego tak atrakcyjna, że to go zdemobilizuje i obezwładni?

To było bardzo prawdopodobne. Jego palec nieco mocniej dotknął kontaktu.

Noys odezwała się znowu:

— Czekasz. Czy to oznacza, że chcesz, żebym zaczęła się bronić?

— Jak bronić? — Harlan próbował szydzić, lecz był w gruncie rzeczy zadowolony z tej zwłoki. Mógł odwlec chwilę, kiedy będzie musiał patrzeć na jej rozszarpane ciało, na krwawe resztki, wiedząc, że to była piękna Noys i że on dokonał tego zniszczenia własną ręką.

Miał przynajmniej pretekst. Rozmyślał gorączkowo: Niech mówi. Niech mówi wszystko, co wie o Ukrytych Stuleciach. Dzięki temu on obroni Wieczność.

Nadawało to jego działaniu pozory świadomej polityki i przez chwilę mógł patrzeć na Noys z tak spokojną twarzą, jak ona na niego.

Noys jakby czytała w jego myślach. Zapytała:

— Chcesz się czegoś dowiedzieć o Ukrytych Stuleciach? Próbujesz się zabezpieczyć? Nie mam nic przeciwko temu. Chciałbyś, na przykład, wiedzieć, czy po 150 000 na Ziemi nie ma już ludzi? To cię interesuje?

Harlan nie miał zamiaru prosić o tę wiadomość ani jej kupować. Miał eksploder. Bardzo pragnął nie okazywać słabości. Powtórzył:

— Mów! — i poczerwieniał na widok uśmieszku, jakim odpowiedziała na jego okrzyk.

— W pewnym momencie fizjoczasu, zanim Wieczność sięgnęła bardzo daleko w przyszłość, zanim sięgnęła nawet do l0 000 wieku, my z naszego Stulecia — a miałeś rację, że to jest 111 394 Stulecie — dowiedzieliśmy się o jej istnieniu. Widzisz, my również mieliśmy podróże w Czasie, lecz były one oparte na całkowicie innych przesłankach niż wasze. Woleliśmy raczej oglądać Czas, niż przekształcać masę. Ponadto zajmowaliśmy się tylko naszą przeszłością.

Odkryliśmy Wieczność pośrednio. Najpierw opracowaliśmy rachunek Rzeczywistości i tą metodą zbadaliśmy naszą Rzeczywistość. Ze zdumieniem odkryliśmy, że żyjemy w Rzeczywistości dość niskiego stopnia prawdopodobieństwa. Powstało poważne pytanie: skąd taka nieprawdopodobna Rzeczywistość?… Nie słuchasz, Andrew! Czy cię to w ogóle interesuje?

Harlan usłyszał, że wypowiada jego imię z intymną czułością minionych tygodni. Ta jej cyniczna przewrotność powinna go była rozdrażnić, rozzłościć. A jednak nie rozdrażniła.

Powiedział rozpaczliwie:

— Mów i kończ to, kobieto.

Usiłował zrównoważyć jej ciepłe „Andrew”, chłodnym „kobieto”, ale Noys tylko uśmiechnęła się blado.

— Przebadaliśmy Czas w przeszłości i trafiliśmy na rozwijającą się Wieczność. Niemal od razu stało się dla nas oczywiste, że w pewnym punkcie fizjoczasu (znamy również to pojęcie, lecz pod inną nazwą) istniała inna Rzeczywistość. Inną Rzeczywistość, o

największym prawdopodobieństwie, nazywamy Stanem Podstawowym. W tym Stanie Podstawowym mieściliśmy się kiedyś my albo przynajmniej nasze odpowiedniki. Na razie nie mogliśmy powiedzieć nic o istocie Stanu Podstawowego.

Wiedzieliśmy jednak, że pewna Zmiana, przeprowadzona przez Wieczność w dalekiej przeszłości, zdołała zmienić Stan Podstawowy aż do naszego Stulecia i dalej. Zabraliśmy się do badania natury Stanu Podstawowego, zamierzając zaradzić złu, jeśli to było zło. Najpierw musieliśmy ustanowić rejon kwarantanny, który nazywacie Ukrytymi Stuleciami, izolując Wiecznościowców od przyszłości dalszej niż 70 000 Stulecie. Ta izolacja mogła nas osłonić niemal przed wszystkimi dokonywanymi Zmianami. Nie zapewniało nam to całkowitego bezpieczeństwa, lecz dawało czas.

Następnie dokonaliśmy czegoś, na co w zasadzie nie pozwalała nam nasza kultura i etyka. Zbadaliśmy naszą przyszłość. Zbadaliśmy przeznaczenie człowieka w Rzeczywistości, która aktualnie istniała, zamierzając ją w końcu porównać ze Stanem Podstawowym. Gdzieś po wieku 125 000 ludzkość pozna tajemnicę komunikacji międzygwiezdnej. Nauczy się, jak dokonać skoku przez hiperkosmos. W końcu osiągnie gwiazd.

Harlan przysłuchiwał się jej słowom ze wzrastającą uwagą. Ile prawdy było w tym wszystkim? A ile wyrachowanej chęci oszukania go? Usiłował wyzwolić się spod uroku, przerywając strumień jej wymowy. Powiedział:

— A skoro mogą osiągnąć gwiazd, zrobią to i opuszczą Ziemię. Niektórzy z nas to odgadli.

— W takim razie niektórzy z was odgadli błędnie. Ludzie próbowali opuścić Ziemię. Jednak, na nieszczęście, nie jesteśmy sami w Galaktyce. Wiesz, że istnieją inne gwiazdy, inne planety. Istnieją również inne skupiska inteligentnych istot. Co prawda żadne z nich, przynajmniej w Galaktyce, nie jest tak stare jak ludzkość, lecz przez 125 000 Stuleci człowiek pozostawał na Ziemi, a młodsze istoty dopędziły nas i wyminęły, rozwinęły komunikację międzygwiezdną i zasiedliły Galaktykę.

Gdy wyruszyliśmy w kosmos, wszędzie spotykaliśmy tablice ostrzegawcze: „Zajęte”, „Wstęp wzbroniony”, „Nie zbliżać się!” Ludzkość cofnęła swe badawcze czułki i została na miejscu. Lecz teraz wiedziała już, czym naprawdę jest Ziemia: więzieniem otoczonym przez nieskończoną wolność… I ludzkość wymarła!

Harlan powiedział:

— Po prostu wymarła. Nonsens!

— Wymarła nie po prostu. To trwało tysiące Stuleci. Ten proces przebiegał z różnym nasileniem, lecz najważniejszą przyczyną było poczucie utraty celu, poczucie zbędności, beznadziejności, których nie

dało się przezwyciężyć. Wreszcie nastąpił krańcowy spadek liczby urodzeń i ostateczna zagłada. To rezultat działań twojej Wieczności.

Harlan mógł już teraz bronić Wieczności, tym bardziej gorąco i zawzięcie, że niedawno atakował ją tak szczerze. Powiedział:

— Wpuśćcie nas do Ukrytych Stuleci, a wszystko naprawimy. Potrafiliśmy osiągnąć najwyższe dobro w tych Stuleciach, do których mamy dostęp.

— Najwyższe dobro? — zapytała Noys wyraźnie szyderczym tonem. — A co to jest? To wasze maszyny wam to mówią. Wasze komputapleksy. Ale kto przygotowuje te maszyny, kto mówi im, co mają ważyć na szalach? Maszyny nie rozwiązują problemów bardziej wnikliwie niż ludzie, tylko szybciej. Tylko szybciej! A co Wiecznościowcy uważają za dobro? Powiem ci: spokój i bezpieczeństwo. Umiarkowanie. Żadnych ekscesów. Żadnego ryzyka bez stuprocentowej pewności, że wszystko się uda.

Harlan przełknął ślinę. Nagle przypomniał sobie bardzo wyraźnie słowa Twissella o rozwiniętych ludziach z Ukrytych Stuleci. Kalkulator powiedział: „Wykluczamy niezwykłość". I czyż tak nie było?

— Wydaje się — podjęła Noys — że myślisz. Pomyśl więc o tym. Dlaczego w obecnie istniejącej Rzeczywistości człowiek ustawicznie próbuje podróży kosmicznych i ustawicznie kończy się to fiaskiem? Z pewnością każda era podróży kosmicznych musi wiedzieć o poprzednich rozczarowaniach. Dlaczego więc próbują na nowo?

— Nie studiowałem tego — rzekł Harlan. Lecz pomyślał niepewnie o koloniach na Marsie, ciągle zakładanych od nowa i zawsze rozpadających się. Pomyślał o dziwnej atrakcji, jaką zawsze stanowiły loty kosmiczne, nawet dla Wiecznościowców. Słyszał głos Socjologa Kantora Voya z 2456 Stulecia, który obserwując koniec elektrograwitacyjnego lotu kosmicznego w jednym Stuleciu, oświadczył z żalem: „To było bardzo piękne". A Biografista Neron Feruk, widząc to, klął i wymyślał na metody załatwiania surowicy antyrakowej przez Wieczność.

Czy istnieje coś takiego jak instynktowna tęsknota inteligentnych istot za ekspansją, za osiągnięciem gwiazd, za uwolnieniem się od działania prawa grawitacji? Czy to właśnie zmusiło człowieka, by dziesiątki razy opracowywał system podróży międzyplanetarnych i wyprawiał się ciągle na nowo między martwe światy systemu słonecznego, gdzie jedynie Ziemia nadaje się do życia? Czy to ostateczna klęska, świadomość, że trzeba wracać do starego więzienia, powodowała te stale zwalczane przez Wieczność frustracje? Harlan myślał o rozpowszechnieniu się narkomanii właśnie w tych Stuleciach, które przyniosły fiasko elektrograwitacji.

Noys mówiła:

— Tępiąc klęski Rzeczywistości, Wieczność wyklucza również

triumfy. To właśnie najbardziej ryzykowne próby mogą podnieść ludzkość na szczyty. Z niebezpieczeństwa i niepewności wypływa siła, która popycha ludzkość do nowych i większych zdobyczy. Rozumiesz to? Czy możesz zrozumieć, że usuwając pułapki i niebezpieczeństwa grożące człowiekowi, Wieczność przeszkadza mu znajdować własne, lepsze, prawdziwe rozwiązania?

Harlan zaczął drętwo:

— Największym dobrem największej liczby… Noys przerwała:

— Przypuśćmy, że Wieczność nigdy nie powstała.

— Co wtedy?

— Powiem ci, co by wtedy było. Energia zużywana na inżynierię Czasu zostałaby zamiast tego obrócona na rozwój nukleoniki. Wieczności by nie stworzono, lecz podróże międzygwiezdne na pewno. Człowiek osiągnąłby gwiazdy o przeszło sto tysięcy Stuleci wcześniej niż w bieżącej Rzeczywistości. Systemy gwiezdne byłyby wtedy jeszcze nie obsadzone i ludzkość osiedliłaby się w całej Galaktyce. My bylibyśmy pierwsi.

— I co byśmy na tym zyskali? — zapytał Harlan uparcie. — Bylibyśmy szczęśliwsi?

— Kogo rozumiesz przez „my”? Ludzkość nie miałaby jednego świata, lecz miliony światów, miliardy światów. Trzymalibyśmy w ręku Nieskończoność. Każdy świat miałby swe własne Stulecia, własne wartości, okazję do szukania szczęścia na swój sposób we własnym środowisku. Są różne szczęścia, różne dobra, nieskończona ich różnorodność… To jest Stan Podstawowy ludzkości.

— Zgadujesz — powiedział Harlan i był zły na siebie, że go pociąga ten obraz, który Noys odmalowała. — Jak możesz powiedzieć, co by było?

Noys:

— Śmieszy cię ignorancja Czasowców, którzy znają tylko jedną Rzeczywistość. Nas śmieszy ignorancja Wiecznościowców, którzy myślą, że istnieje wiele Rzeczywistości, lecz tylko jedna w jednym Czasie.

— Co znaczą te brednie?

— My nie kalkulujemy różnych wariantów Rzeczywistości. My je oglądamy. Widzimy je w ich stanie Nierzeczywistości.

— Upiorny kraj, gdzie wszystko być może, gdyby…

— Tak. Ale twoja ironia jest zupełnie niepotrzebna.

— A jak wy to robicie?

Noys milczała chwilą, a potem rzekła:

— Jak ci to wytłumaczyć, Andrew… Nauczono mnie pewnych rzeczy, które, prawdę mówiąc, niecałkowicie rozumiem, zupełnie tak jak ty. Czy potrafisz wytłumaczyć działanie komputapleksu? A jednak wiesz, że istnieje i działa.

Harlan zaczerwienił się.

— No więc? Noys:

— Nauczyliśmy się przyglądać Rzeczywistości i znaleźliśmy Stan Podstawowy, tak jak ci mówiłam. Odnaleźliśmy również Zmianę, która zniszczyła Stan Podstawowy. Nie była to żadna Zmiana przeprowadzona przez Wieczność — to sam fakt istnienia Wieczności. Każdy system podobny do Wieczności, który pozwala ludziom wybierać sobie przyszłość, skończy się wyborem bezpieczeństwa i przeciętności, wykluczających zdobycie gwiazd. Samo istnienie Wieczności unicestwiło Imperium Galaktyczne. Żeby je odbudować, trzeba skończyć z Wiecznością.

Liczba Rzeczywistości jest nieskończona. Liczba różnych podgrup Rzeczywistości jest również nieskończona. Na przykład, liczba Rzeczywistości zawierających Wieczność jest nieskończona; liczba Rzeczywistości, w których Wieczność nie istnieje, jest również nieskończona. Lecz moi ludzie wybrali spośród nieskończoności tę grupę, która zawierała mnie.

Nie miałam z tym nic wspólnego. Nauczyli mnie mojej pracy, tak jak Twissell i ty nauczyliście Coopera. Lecz liczba Rzeczywistości, w których pozostawałam agentką niszczącą Wieczność, była również nieskończona. Ale ja wybrałam tę właśnie, która zawiera ciebie.

Harlan spytał:

— Dlaczego ją wybrałaś? Noys odwróciła oczy.

— Ponieważ cię kochałam. Kochałam cię na długo przedtem, nim cię poznałam.

Harlan był wstrząśnięty. Wypowiedziała to z głęboką szczerością. Pomyślał z mdlącym uczuciem: aktorka… i powiedział:

— To śmieszne.

— Czyżby? Przestudiowałam Rzeczywistości będące do mojej dyspozycji. Zanalizowałam Rzeczywistość, w której przybywałam do 482, spotykałam najpierw Finge'a, a potem ciebie… Tę, w której odwiedzałeś mnie i kochałeś, z której zabrałeś mnie do Wieczności i w daleką przyszłość do mego Stulecia, w której źle skierowałeś Coopera, a potem ty i ja wracaliśmy do Prymitywu. Żyliśmy w Prymitywie przez resztę, dni. Widziałam, jak żyjemy razem i jesteśmy szczęśliwi, a ja cię. kochałam. To nic śmiesznego. Wybrałam te. właśnie Rzeczywistość, by nasza miłość mogła być prawdziwa. Harlan:

— Fałsz. Wszystko fałsz. Jak możesz się spodziewać, że ci uwierzę? — Urwał, a potem dodał nagle: — Czekaj! Mówisz, że już to wszystko z góry wiedziałaś. Wszystko, co się zdarzy?

— Tak.

— Więc kłamiesz. Wiedziałabyś, że będę cię trzymał na muszce. Wiedziałabyś, że cię zdemaskuję. Co na to odpowiesz?

Westchnęła lekko:

— Powiedziałam ci, że istnieje nieskończona liczba podgrup Rzeczywistości. Obojętne, jak dokładnie ogniskujemy określoną Rzeczywistość, zawsze przedstawia się ona jako nieskończona liczba bardzo podobnych Rzeczywistości. Trafiają się mętne obrazy. Im dokładniej ogniskujemy, tym mniej niewyraźnych miejsc, lecz doskonałej ostrości nie udaje się nigdy osiągnąć. Jedna mała plamka potrafi zniszczyć wszystko.

— Co takiego na przykład?

— Musiałeś przybyć w daleką przyszłość, gdy zapora przy 100 000 Stuleciu zostanie usunięta, i zrobiłeś to. Lecz miałeś wrócić sam. Dlatego byłam tak zaskoczona, gdy zobaczyłam z tobą Kalkulatora Twissella.

Znowu Harlan się zmieszał. Jak ona potrafiła logicznie wszystko łączyć! Noys:

— Byłabym jeszcze bardziej zaskoczona, gdybym w pełni uświadomiła sobie znaczenie tej odmiany. Gdybyś przybył sam, zabrałbyś mnie do Prymitywu, tak jak to zrobiłeś. Tam z miłości do ludzkości, z miłości do mnie, zostawiłbyś Coopera. Wasz krąg zostałby przerwany. Wieczność skończyłaby się, żylibyśmy tu razem bezpiecznie.

Lecz ty przybyłeś z Twissellem, wprowadzając przypadkowe odchylenie. Po drodze Kalkulator podzielił się z tobą swoimi myślami na temat Ukrytych Stuleci i zapoczątkował w tobie łańcuch dedukcji, który skończył się twoim zwątpieniem w moją szczerość. Skończył się eksploderem wycelowanym we mnie… To byłoby wszystko, Andrew. Możesz mnie zastrzelić. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Harlana bolała dłoń od kurczowego ściskania uchwytu broni. W oszołomieniu przełożył eksploder do drugiej raki. Czy w opowieści Noys była jakaś skaza? Potwierdzenie faktu, że Noys pochodzi z Ukrytych Stuleci, miało go skłonić do decyzji. Tymczasem jeszcze bardziej był rozdarty konfliktem, a świt się zbliżał.

Zapytał:

— Po co aż dwie próby zniszczenia Wieczności? Dlaczego Wieczność nie mogła się skończyć na zawsze, gdy wysłałem Coopera do 20 Stulecia? Wszystko by wtedy znikło.

— Ponieważ — powiedziała Noys — zniszczenie Wieczności nie wystarczy. Musimy zredukować do zera prawdopodobieństwo odrodzenia Wieczności w jakiejkolwiek formie. Więc jeszcze czegoś musimy dokonać tu, w Prymitywie: małej Zmiany. Wiesz, jak wygląda Minimum Potrzebnych Zmian. Muszę tylko wysłać list na półwysep zwany Italią, teraz w 20 Stuleciu. Obecnie mamy 19,32 Stulecia. Za parę centycenturii, zakładając, że wyślę list, pewien człowiek zacznie eksperymenty nad bombardowaniem uranu neutronami.

Harlana ogarnęła groza.

— Chcesz zmienić historię Prymitywu?

— Tak. Mamy ten zamiar. W nowej Rzeczywistości pierwsza nuklearna eksplozja odbędzie się nie w 30 Stuleciu, lecz w 19,45.

— Ale czy znacie niebezpieczeństwo? Potraficie je ocenić?

— Znamy niebezpieczeństwo. Przeglądałam arkusz pochodnych Rzeczywistości. Istnieje prawdopodobieństwo, że życie na Ziemi skończy się pod radioaktywną skorupą, lecz przedtem…

— Uważasz, że jest jakieś wyjście?

— Imperium Galaktyczne. Intensyfikacja Stanu Podstawowego.

— A jednak oskarżasz Wiecznościowców o interwencję…

— Oskarżamy ich o wielokrotne interwencje zmierzające do utrzymania ludzkości w bezpiecznym więzieniu. My wkraczamy raz, jedyny, by skierować uwagę ludzkości przedwcześnie ku nukleonice, tak aby nigdy, przenigdy nie stworzyła Wieczności.

— Nie — zaprotestował Harlan. — Musi być Wieczność.

— Jak wolisz. Od ciebie to zależy. Jeśli chcesz, by psychopaci dyktowali przyszłość człowieka…

— Psychopaci! — wybuchnął Harlan.

— A czy jest inaczej? Znasz ich. Pomyśl!

Harlan patrzył na nią pełen oburzenia, lecz musiał myśleć. Myślał o Nowicjuszach uczących się prawdy o Rzeczywistości i o Nowicjuszu Latourette, który w rezultacie próbował popełnić samobójstwo.

Latourette żył i został Wiecznościowcem, ze wszystkimi obciążeniami, których nikt nie potrafi określić. Tacy ludzie brali udział w zmienianiu Rzeczywistości.

Myślał o kastowym systemie w Wieczności, o nienormalnym życiu, w którym poczucie winy przekształcało się w gniew i nienawiść do Techników. Myślał o walczących między sobą Kalkulatorach, o Finge'u intrygującym przeciwko Twissellowi, i Twissellu szpiegującym Finge'a. Pomyślał o sobie. O Starszym Kalkulatorze, który również łamał prawa Wieczności.

Wydało mu się, że zawsze o tym wszystkim wiedział. Jeśli nie — to dlaczego tak bardzo chciał zniszczyć Wieczność? Jednak nigdy całkowicie nie przyznawał się do tego przed sobą: nigdy nie spojrzał otwarcie na ten problem, dopiero teraz.

I z wielką jasnością ujrzał Wieczność jako wylęgarnię najrozmaitszych psychoz, kłębowisko nienormalnych istot, wyrwanych brutalnie z ich rodzimych środowisk.

Popatrzył bezmyślnie na Noys, która powiedziała miękko:

— Widzisz? Wyjdźmy razem z tej jaskini, Andrew.

Poszedł za nią, zahipnotyzowany, oszołomiony tym, jak całkowicie zmienił się jego punkt widzenia. Jego eksploder po raz pierwszy odchylił się od linii łączącej go z sercem Noys.

Blady przedświt powlókł szarością niebo, a pękaty kocioł tuż przy

jaskini wyglądał jak ogromny cień. Jego zarysy były zamazane i zniekształcone przez narzuconą na niego błonę.

Noys powiedziała:

— Oto Ziemia. Nie wieczny i jedyny dom ludzkości, lecz punkt startu do niekończącej się nigdy przygody. Musisz tylko podjąć decyzję. To twoja sprawa. Ciebie, mnie i zawartość tej jaskini ochroni przed Zmianą pole fizjoczasu. Cooper zniknie wraz ze swym ogłoszeniem, Wieczność skończy się wraz z Rzeczywistością mojego Stulecia, lecz my zostaniemy, będziemy mieli dzieci i wnuki, i zostanie ludzkość, by sięgnąć gwiazd.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć: uśmiechała się do niego. To była Noys, taka jak zawsze, i jego serce biło tak jak zawsze.

Nie uświadamiała sobie nawet, że podjął decyzję, aż szarość ogarnęła całe niebo i zniknął zarys kotła. Noys podeszła powoli i znalazła się w ramionach Harlana, a on wiedział, że nastąpił koniec, ostateczny koniec Wieczności…

…i że zaczęła się Nieskończoność.